

Jerzy Maksymiuk
Nieposkromiony wulkan muzyki

Zbigniew Siemiątkowski
W PRL redakcje jak partie

Awantura o budowę
promów

Przestarzałe czołgi
polskiej armii

1111 numer

Kto kombinuje, ten żyje

POLSKA PODZIEMNA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311102

Majówkowy PRZEGLĄD książek

Zobacz, co dla Ciebie mamy

The image displays a collection of book covers from the 'Majówkowy PRZEGLĄD' (May Book Review) promotion. The books are arranged on a green background with stylized grass. Each book cover is accompanied by a yellow circular sticker indicating its price. The books include:

- „OGIEŃ” FAŁSZYWY MIT** by Jerzy S. Łątka, 36 zł
- WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI** by Jerzy S. Łątka, 44 zł
- WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI** by Jerzy S. Łątka, 34 zł
- ZEMSTA ZZA GROBU STANISŁAWA PYTLA** by Jerzy S. Łątka, 43 zł
- WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI** by Jerzy S. Łątka, 33 zł
- BEZKARNI ZABÓJCY BASI BINDER** by Jerzy S. Łątka, 45 zł
- WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI** by Jerzy S. Łątka, 35 zł
- Polekna Rzeczywiście Ludowa** by Jerzy S. Łątka, 43 zł
- Polekna Rzeczywiście Ludowa** by Jerzy S. Łątka, 33 zł
- NOWA HUTA** by Jerzy S. Łątka, 49 zł
- BUN** by Jerzy S. Łątka, 65 zł
- TOWNIK** by Jerzy S. Łątka, 49 zł
- DĄBROWSZCZACY** by Jerzy S. Łątka, 49 zł
- ORBÁN** by Jerzy S. Łątka, 42 zł
- Polekna Rzeczywiście Ludowa** by Jerzy S. Łątka, 32 zł

**Kupuj z rabatem
lub odbierz książkę gratis!**

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Promocja trwa do 30 kwietnia 2021 r. lub do wyczerpania zapasów.



Trybunał niekonstytucyjny, a rzecznik nieobywatelski

Przez siedem miesięcy nie potrafili znaleźć następcy, to go odstrzelili. Adam Bodnar z osobistą satysfakcją kończy sprawowanie funkcji rzecznika praw obywatelskich. Cieszy się dużym zaufaniem społecznym i dobrą opinią w wielu środowiskach. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego kierowanego przez Julię Przyłębską jest dla Bodnara potwierdzeniem słuszności obranej drogi. Gdy władza wysyła na RPO pluton egzekucyjny, w którym dla pewności są jej najwierniejsi nominaci, to mamy dowód, że ten rzecznik był prawdziwym gwarantem praw i wolności obywateli. Zaslugi Bodnara znamy. Zapamiętajmy więc tych, którzy wykonali brudną robotę zleconą im przez polityków. Oprócz Julii Przyłębskiej i Stanisława Piotrowicza w składzie orzekającym byli także Justyn Piskorski, Bartłomiej Sochański i Wojciech Sych. Pomylili kostiumy. Na partyjne mundury nałożyli togi sędziowskie. Rządy dojnej zmiany mają szczególne upodobanie do takich przebiezań. Nie tak dawno pisowski minister Wawrzyk udawał bezstronnego fachowca. Teraz ze zdumieniem słucham nowego kandydata PiS, posła Bartłomieja Wróblewskiego. Gra rolę spinego i kompromisowego kandydata. A kilka miesięcy wcześniej mówił językiem średniowiecznej inkwizycji. Rządząca prawica dopięta swego. Nazwa partii Prawo i Sprawiedliwość od

dawna jest kpina z tych słów i zaprzeczeniem wartości, jakie ze sobą niosą.

Doprowadzono do tego, że Trybunał nie jest konstytucyjny, a rzecznik może być nieobywatelski.

Każda władza musi mieć kaganiec. A taka jak dzisiejsza szczególnie. W relacjach z obywatelami władza zawsze jest silniejsza. I rzecznik jest po to, by ktoś mógł skutecznie interweniować w ich obronę. Tak się dzieje, gdy rzecznik jest niezależny, bezstronny, kompetentny i odważny. Właśnie taki jest obraz urzędowania prof. Bodnara. Tylko taki rzecznik jak Bodnar mógł twardo stanąć przed pisowskim walcem i nie ulec. Stał w obronie obywateli przed bezwzględny podporządkowywaniem sobie przez PiS wszystkiego. I dzieleniem obywateli na swoich i obcych. Nawet gdy tych obcych jest większość.

W styczniu Robert Walenciak tak napisał o Adamie Bodnarze: „Nadał instytucji Rzecznika Praw Obywatelskich nowy blask, nowe znaczenie. W czasach PiS, w tej Polsce prawicowej, zapchannej niekompetentnymi ministrami, gdzie prawem jest wola prezesa i tyle, Bodnar pokazał się jako człowiek z innego świata. Pokazał nam, że taki świat, w którym prawa człowieka są szanowane i w związku z tym każdemu, od sprzątaczk po ministra, żyje się lepiej, jest możliwy”. Jeszcze o nim usłyszymy.

BAKOWSKI



Drodzy Czytelnicy,

PIĘKNIE DZIĘKUJEMY

wszystkim, którzy wspomogli nas
wpłatami i darowiznami.

Dzięki Wam rozwijamy program
„Pamięć” i szykujemy kolejne książki.

**Pomagając, czynicie nasze
wspólne dzieło większym.**

CYTATY

THOMAS PIKETTY,
francuski ekonomista

*Gospodarka potrzebuje większych
uregulowań i progresywnego
opodatkowania.*
„Dziennik Gazeta Prawna”

DOMINIKA KOZŁOWSKA, redaktor
naczelna miesięcznika „Znak”

*Kobiet nie interesuje już
sprzątanie kościołów.*

TVN 24

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polska podziemna**
Lockdown – kto kombinuje, ten żyje
- 10 Pod tarczą antykrzysową**
- 12 Nie jesteśmy robotami**
– rozmowa z dr. Ewą Jarczewską-Gerc
- 13 Strategia po polsku, czyli brak strategii**
Mazury utopione przez lockdown
- 15 Manewry na promach**
700 osób może stracić pracę w PŻB
- 18 Pancerna piątka polskiej armii**
Wojsko w przestarzałych czołgach
- 22 Obywatelka kontratakuje**
Przeciw nadużyciom policji
- 24 Pasztet po „Gazecie Polskiej”**
Sprawa o ochronę dóbr osobistych

MEDIA

- 26 Redakcje jak partie polityczne**
– rozmowa ze Zbigniewem Siemiątkowskim

OPINIE

- 32 Leon Podkaminer**
Czyżby bolszewicy opanowali już MFW?
- 34 Jan Andrzejewski**
Deweloper, politycy czy obywatele winni?

ZAGRANICA

- 35 World Press Photo**
- 36 Brytyjskie wybory z rocznym opóźnieniem**
Polacy do samorządów
- 40 Markety społeczne niejedno mają imię**
Więcej niż sklep
- 42 Linia życia na pustyni**
Saudyjczycy budują miasto przyszłości

HISTORIA

- 44 Kosztowny upór Mikołajczyka**
Lewicowy autorytaryzm 1944-1948

KULTURA

- 47 Nieposkromiony wulkan energii**
85 lat Jerzego Maksymiuka
- 50 Męczenie aktorki dla dobra efektu?**
Nie, dziękuję!
– rozmowa z Dagmarą Molgą
- 53 Kulturalia**
- 66 Anubis**

EKOLOGIA

- 54 Niewidoczny zabójca**
Mikroplastik przyczyną schorzeń
- 56 Sowa z sąsiedztwa**
Sekrety puszczyków

OBSERWACJE

- 58 Kasyno zawsze wygrywa**
– rozmowa z byłą krupierką Iwoną Radoń

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Trybunał niekonstytucyjny,
a rzecznik nieobywatelski
- 21 Jan Widacki**
Polityka wschodnia
- 35 Roman Kurkiewicz**
Człowiek roku jak co roku
- 30 Andrzej Szahaj**
Czas na model skandynawski
- 33 Tomasz Jastrun**
Znowu bomba
- 39 Wojciech Kuczok**
Suche źródła
- 49 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Nudne superego,
czyli o ucieczce węża i służowcach

35 ZAGRANICA

WORLD PRESS PHOTO



MĘCZENIE AKTORKI DLA DOBRA EFEKTU? NIE, DZIĘKUJĘ!

– rozmowa z Dagmarą Molgą



56 EKOLOGIA

SOWA Z SĄSIEDZTWA Sekrety puszczyków



Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner



Plusy dodatnie i plusy ujemne

W rankingu ministrów spraw zagranicznych (PRZEGLĄD nr 14) czytam: „Za czasów Olechowskiego MSZ otworzyło się, również za pośrednictwem ogłoszeń w prasie, na młodych ludzi. Kryteria były jasne: wiek do 35 lat, bardzo dobra znajomość co najmniej dwóch języków obcych, studia wyższe i – oczywiście – uzyskanie od UOP tzw. dopuszczenia. Wielu pozyskanych wówczas ludzi pracuje w MSZ do dzisiaj, a zaczęli na najniższych szczeblach”.

Już choćby za to Andrzej Olechowski nie powinien być na 1. miejscu rankingu. Z powodu tamtej mentalności ludzi 35+, czyli „starych”, się pozbyto, a w polityce do dziś trwa pajdokracja. I niszczy Polskę. *Homo sovieticus* na śmietnik, młodzi do sprawdzenia przez UOP, ale agent i staruch (bo jego limit 35 lat nie obowiązywał) na ministra to już OK. Poza tym wszyscy ci ministrowie byli pachółkami USA i NATO, a Polska nie miała i nadal nie ma samodzielnej polityki zagranicznej.

Adam Broński

Jak zdrapać pisowski teflon

Przeczytałem gdzieś, że PiS jest teflonowe, bo jest chronione murem komunikacyjnym. Pierwsza moja myśl po przeczytaniu artykułu była taka, że to my, czytelnicy prodemokratycznych i proeuropejskich mediów powinniśmy przerzucać informacje przez ten mur komunikacyjny i jednocześnie zdrapywać propagandowy pisowsko-kościelny teflon. Powinniśmy robić to, co robiły Wolna Europa, paryska „Kultura” czy drukarze i kolporterzy prasy podziemnej.

Mając głównie na myśli czytelników prasy papierowej, proponuję, aby po przeczytaniu dziennika, tygodnika czy kwartalnika nie wyrzucać ich na makulaturę, tylko zostawiać w miejscu publicznym, np. na klatce schodowej, na lokatorskiej skrzynce na listy, na ławce w parku, w tramwaju, w pociągu, na przystanku PKS itp. Podobnie róbmy z przeczytanymi książkami. Może prodemokratyczne media papierowe skrzykną się i zachęcą swoich czytelników do akcji „Przeczytałeś? Podaj dalej!”.

Czytelnik

Powrót analfabetyzmu

Bardzo poruszający artykuł. Niestety, dzieci nie dla wszystkich rodziców są największym skarbem, w który całe życie się inwestuje. Przypomniałem sobie, z jakim zdumieniem przyjąłem wiele lat temu informację, że funkcją szkoły jest także „zbieranie” dzieci, no właśnie, wtedy mówiło się z ulicy, a dzisiaj chyba ze złego domu.

Bartłomiej

Rozmowa z synem: „A wiesz mamo, że u nas co najmniej czterech nauczycieli przeprowadza co drugą, trzecią lekcję zdalną, a jeden od września nie przeprowadził żadnej, wysyła tylko mejle z zadaniami?”. I wszystko, co mówię dzieciom o odpowiedzialności, rzetelności wywiązywania się z powierzonych obowiązków czy uczciwości, mogą sobie gdzieś włożyć.

Monika

Dużo teraz zależy od rodziców, jeśli chcą i mogą poświęcić czas swoim dzieciom, straty w nauczaniu można zminimalizować.

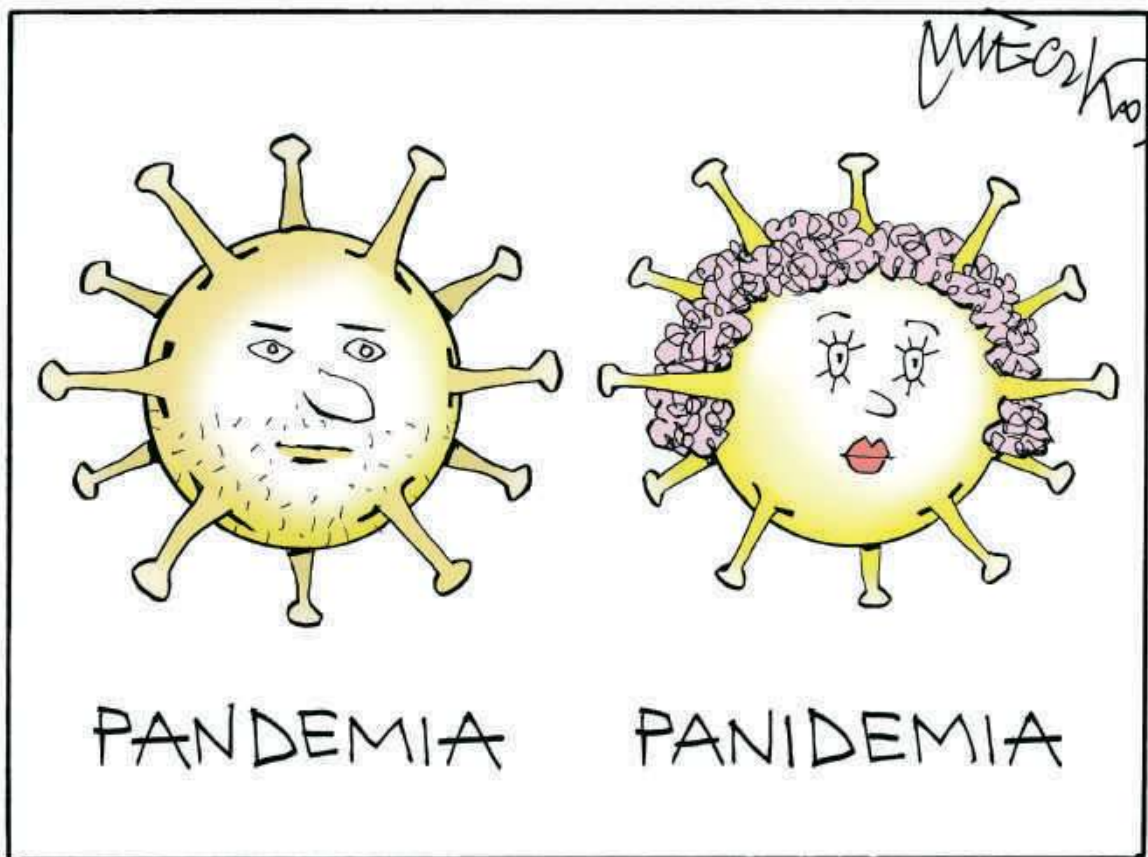
Bożena



ZDJĘCIE TYGODNIA



To było pewne. Trybunał Konstytucyjny orzekł niezgodność z konstytucją przepisu Ustawy o Rzeczniku Praw Obywatelskich, na mocy którego Adam Bodnar pełni funkcję do czasu wyboru nowego rzecznika. Orzeczenie zostało błyskawicznie opublikowane w Dzienniku Ustaw, zatem dotychczasowy przepis będzie w mocy tylko przez trzy miesiące.



PYTANIE TYGODNIA

Czy bez układów można zdobyć w Polsce dobrą posadę?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI,
socjolog, PAN

Przekonanie, że „bez układów ani rusz” jest stereotypem, który na pewno nie ma pełnego odbicia w rzeczywistości. Trudno zmierzyć, w jakim stopniu znajomości i „dobre nazwisko”, a w jakim zasługi decydują o przebiegu kariery, ale bez wątplenia tak jak we wszystkich krajach demokratycznych, w Polsce w znacznej mierze realizowana jest zasada merytokracji: ludzi zatrudnia się i wynagradza zgodnie z ich kompetencjami. Wynika to z analiz, m.in. prowadzonych przeze mnie od lat 80. Pokazują one, że takie czynniki jak poziom wykształcenia różnicują zarobki i pozycję zawodową niezależnie od pochodzenia społecznego i znajomości.

KAMIL FEJFER,
analityk rynku pracy, dziennikarz piszący o nierównościach i gospodarce

Na pewno łatwość dostać pracę, jeśli ma się znajomości, niemniej jednak rynek pracy – czy szerzej, awans społeczny – działają w Polsce trochę inaczej, niż niektórzy to sobie wyobrażają. Zdarza się, choć raczej na prowincji, że ktoś zdobę-

dzie atrakcyjne stanowisko dzięki szwagrowi, ale istotniejsza jest nierówność startu. Osoby z małych miejscowości, mają trudniejszy dostęp do wiedzy o tym, jak konkurować o dobrze płatne i prestiżowe miejsca pracy (może poza branżą IT, gdzie ścieżka awansu jest bardzo merytokratyczna). Z kolei ktoś, kto rodzi się w zamożnej klasie średniej czy w klasie wyższej, jest od dzieciństwa kierowany na odpowiednie tory zawodowe: rodzina wymaga od niego zdobycia odpowiedniego wykształcenia i robi bardzo dużo, żeby dostał się na dobre studia. Tam, a czasem już w szkole średniej, taki człowiek poznaje kolegów i koleżanki z elitarnego grona, którzy później ciągną go przez resztę kariery. To nie przypadek, że niektóre sfery życia społeczno-gospodarczego są „skolonizowane” przez absolwentów kilkunastu albo nawet kilku elitarnych liceów.

KONRAD WIĘCEK,
Komisja Młodych OPZZ

Pytanie brzmi nie „czy”, ale kto może ją zdobyć. Dużo zależy od tego, z jakiego miejsca w życiu startujemy. Są dobre miejsca pracy, które można objąć dzięki

znajomości, jednak badania wskazują, że dzieci, których ojcowie pracują za niewielkie pieniądze, mają dużo mniejsze szanse na zdobycie zatrudnienia jako specjalista, inżynier bądź członek kadry zarządzającej. Społeczeństwo jest tak zorganizowane, że najczęściej nie opuszczamy klasy społecznej, w której się urodziliśmy. Dzieci z niezamożnych rodzin nie stać na korepetycje, studia w dużym mieście czy pracę w ramach bezpłatnego stażu. Bez sprawiedliwości społecznej nie przełamiemy tego impasu, a przecież każdy powinien mieć prawo do godnej pracy i godnego życia.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Oczywiście, że nie. Dla szarego Polaka jest miska ryżu, czyli stanowisko wyrobnika. Dla posiadaczy znajomości lub dobrych haków są intratne posady w spółkach skarbu państwa lub powiązanych z nimi przedsiębiorstwach. Zgodnie z planem Sachsa wykonanym przez Balcerowicza, Polska ma być krajem taniej siły roboczej z pilnującymi jej dobrze wynagradzanymi nadzorcami.



POLSKA PODZIEMNA

Teraz jest lockdown – kto kombinuje, ten żyje

Anna Brzeska

Amputacja włosów, pokazy krzewów magnolii czy kursy degustacji piwa – Stanisław Bareja z powodzeniem mógłby nakręcić kolejną część „Misia”. Przedsiębiorcy z branż obciążonych pandemicznymi zakazami fundują nam festiwal pomysłów na ich obejście, potwierdzając starą prawdę: Polak potrafi.

Eldorado w małym gaju

Moje pierwsze zetknięcie z usługowym podziemiem następuje w drugiej połowie grudnia 2020 r. Mieszkam na wsi, pracuję zdalnie, do fryzjera czy kosmetyczki i tak nie chodzę prawie nigdy, więc w trakcie pandemii tym bardziej nie próbuję. Jedzenie w restauracjach kupujemy na wynos. Żyję w naiwnym przekonaniu o tym, że naprawdę mamy w kraju lockdown.

W któreś grudnia popołudnie, wyposażeni w maseczki i płyn dezynfekujący, jedziemy do sklepu meblowego, korzystając z tego, że tej branży jeszcze nie zamknęli. Mam wyrzuty sumienia, że się narażamy, ale nie możemy dłużej czekać z kupnem biurka dla dziecka.

– Mamo, zobacz, tu jest sala zabaw z trampolinami, wejdziemy? – pyta mnie córka, gdy przechodzimy obok jednego z warszawskich centrów handlowych.

– Nie możemy – rozkładałam bezradnie ręce. – Salki nadal są zamknięte. Przyjdziemy tu, gdy to wszystko się skończy, dobrze?

– Wiem, mamo, ale może da się przez szybę zobaczyć, jak to wygląda – męczy mnie dalej dziecko.

Godzę się na mały rekonesans, wchodzimy do budynku i jesteśmy w innym świecie. Za drzwiami dużego klubu trampolinowego nie ma żadnej pandemii. Jest tłum ludzi – dorosłych i dzieci. Skaczą, śmieją się, biegają. Duża grupa właśnie robi sobie zdjęcie – wszyscy stoją objęci,

maseczek brak. Na oko jest tam 50-60 osób. Inni wchodzą, wychodzą, ruch jak na dworcu w godzinach szczytu.

Przez kilka minut gapimy się na to z otwartymi ustami. – Sala otwarta? To jakieś prywatne urodziny? – pytam w recepcji.

– Nie, mamy akurat najazd wycieczek szkolnych – uśmiecha się recepcjonistka. Maseczki nie ma, nie chroni jej żadna szyba ani pleksi.

Wychodzimy skonsternowani. Nic nie rozumiem. U nas w szkole wszystkie wycieczki dawno odwołano, dzieci ze starszych klas uczą się zdalnie.

Kilka tygodni później córka dostaje zaproszenie na urodziny. Klubik oficjalnie zamknięty, ale właściciele wyjaśniają, że muszą z czegoś żyć, więc udostępniają salę zaufanym klientom. Z oporami wysyłam dziecko na imprezę. Nie chcę, by była jedyną nieobecną z całej klasy, więc tłumaczę sobie, że i tak spotka tam to samo grono, z którym uczy się w szkole podczas nauki hybrydowej.

Sporo knajp ma pozastawiane okna. Wchodzisz do środka i przenosisz się do innego świata.

Gdy chwilę spóźniamy się na imprezę, dostaję SMS od mamy jubilatki: – O której będziecie? Bo już musimy zamknąć drzwi na klucz.

Niektóre kluby dla dzieci, zamiast jak do tej pory wpuszczać wszystkich chętnych, prócz tajnych urodzin organizują też jednodniowe „warsztaty” czy „szkolenia” dla maluchów. Można było nawet wysłać dziecko na nieformalne półkolonie podczas ferii zimowych – rodzice zgłaszali obecność dzieci z dnia na dzień. Płatność gotówką.

Podobnie radzą sobie prywatne przedszkola. Niektóre z nich działają tak, że dzieci zbierają się w domu jednego z rodziców i są tam pod opieką pracownika placówki. Inne nawet nie kryją się ze swoją działalnością i zajmują się nie tylko dziećmi lekarzy czy służb mundurowych. W oknie

jednego z przedszkoli w Bydgoszczy wkrótce po ogłoszeniu nowych obustronnych lockdownowych pojawił się duży plakat: „Przedszkole (...) będzie czynne jak dotychczas. Do przedszkola mogą przychodzić zapisane do placówki dzieci wszystkich rodziców, którzy pracują i nie mają z kim zostawić dziecka. Nie wymagamy zaświadczenia z pracy”.

Kraj zawodowych sportowców

Kombinują też kluby sportowe – tu najłatwiej o dyspensę od sumienia, bo przecież wysportowane ciało to zdrowe ciało, a więc może ciut mniejsze ryzyko, że obciążymy dawno upadły system ochrony zdrowia. Do uczestnictwa w treningach przyznaje mi się kilka koleżanek – dostały licencje zawodowych sportowców. Rządowe rozporządzenie nie może zakazać treningów profesjonalistom i właśnie tu przedsiębiorcy znaleźli lukę. Dzięki licencjom prawo do korzystania

z obiektów zyskały nawet małe dzieci – pewna internautka chwali mi się, że jej cztero- i sześciolatek „zasilił kadrę narodową w triathlonie”, więc mogą chodzić na basen. Koleżanka trenująca rekreacyjnie sztuki walki tłumaczy mi z kolei, że chodzi na zajęcia nie tylko dla zdrowia, ale też w trosce o istnienie swojego ulubionego miejsca: – Nasz klub nie ma PKD z rządowej listy podmiotów, którym przysługuje pomoc, bo to stowarzyszenie sportowe. Ledwo się trzymają finansowo i trener mówił, że być może będą musieli wszystko zamknąć.

Zaznacza jednak, że w jej klubie licencje dostępne są tylko dla stale ćwiczących, nowe osoby raczej nie mogą na nie liczyć. Z doniesień znajomych wiem jednak, że są miejsca, gdzie nawet nowi bez trudu mogą zyskać prawo wstępu. Trzeba dzwonić



18 stycznia br. dla gości otworzyła się kawiarnia-restauracja Jaga w Zakopanem.

i pytać, bo wszystko zależne jest od odwagi właściciela.

Niektóre siłownie działają też jako poradnie dietetyczne czy centra terapeutyczne, oferując wszelkiej maści usługi medyczne. – Na basenie wystarczy złożyć deklarację od lekarza lub rehabilitanta, że ćwiczenia w wodzie są dla danej osoby bardzo wskazane – pisze mi znajoma mama.

Terapia światłem

Kreatywnością wykazują się również właściciele podmiotów z tzw. branży *beauty*, czyli kosmetyczno-fryzjerskiej. Niektórzy stosują najprostsze sztuczki, jak oklejenie okien salonów folią lustrzaną – tak, by nie było widać, że ktoś jest w środku. Policję mają też zmylić zamknięte drzwi – klientki do środka dostają się dzięki hasłom otrzymanym przez telefon.

Pandemia trwa już na tyle długo, że działania przedsiębiorców stają się strategią. Pewna fryzjerka z Bydgoszczy opowiada, że twardo trzyma się zasad wypracowanych w czasie pierwszego lockdownu. Obsługuje tylko stałe i najbardziej zaufane klientki, nie przyjmuje w swoim zakładzie fryzjerskim ani w swoim domu – dojeżdża do ludzi, nie dorabia w domach w najbliższym sąsiedztwie jej zakładu, bo wszyscy ją znają. Unika zwłaszcza bloków. – Bo każdy ruch śledzi wiele par oczu – wyjaśnia. – W tym również te nieżyczliwe, które donoszą sanepidowi. Najchętniej jadę do właścicielek

firm, do miejsc, gdzie pracują. Tam strzygę i farbuję nie tylko szefową, ale także jej rodzinę oraz zaufanych pracowników. Wtedy zarabiam najlepiej. A wchodząca, nieznana osoba z wypchaną fryzjerskimi przyborami torbą, nie budzi podejrzeń. Oczywiście, zarabiam teraz dużo mniej niż przed lockdownem, ale przynajmniej nie umrę z głodu – mówi – Na szczęście właściciel lokalu, który wynajmuję, w czasie trwania pandemii obniżył mi czynsz o połowę.

Podobnie działa kosmetyczka z osiedla Błonie w Bydgoszczy, która również wykonuje teraz zabiegi tylko zaufanym klientkom i wyłącznie w domu swoich rodziców na obrzeżach miasta. – Gdybym przyjmowała w swoim małym mieszkanku, sąsiedzi od razu zorientowaliby się, że pracuję mimo zakazu. Boję się kar i donosów – przyznaje. – Zresztą nie wiem, gdzie miałabym rozstawić cały sprzęt w mojej kawalerce. Wyjątkowo dojeżdżam do domów klientów. Zwykle w uzasadnionych – np. niedołężnością – przypadkach.

Inni przedsiębiorcy z branży są bardziej pomysłowi i udają, że świadczą usługi lecznicze. Ktoś przysłał mi zdjęcie reklamy jednego z solarów, obecnie oferującego terapię światłem. Aby oferta wyglądała bardziej wiarygodnie, plakat zawiera nawet informacje na temat leczniczego działania poszczególnych barw.

– Nasz salon działa, wykonując tylko niektóre zabiegi. Bo np. leczenie

trądziku to przecież terapia, której nie powinno się przerywać – wyjaśnia mi w sieci znajoma mama. Inne mówią, że zrobiły manikur jako modelki lub biorąc udział w fikcyjnych szkoleniach. Ktoś komentuje zjadliwie: – Kosmetyczka nie może wziąć jednej osoby na indywidualny zabieg, ale może już robić szkolenie, gdzie obecne są ona, kursantka i modelka. To razem trzy osoby. W jakim kraju my żyjemy i kto wymyśla takie bareizmy?

Dostaję też zdjęcie innego salonu. Nazwa „Salon fryzjerski” została demonstracyjnie przekreślona. „Przychodnia. Amputacja włosów” – głosi nowy napis obok. To określenie można też spotkać na lokalnych grupach na Facebooku, gdzie ludzie podpytują się o tę usługę. Popularność zyskuje też historia o fryzjerze z Częstochowy, która strzygła klientów w parku.

Moim ulubionym przykładem pandemicznego bareizmu staje się jednak relacja o gabinecie kosmetycznym i fryzjerskim ogłaszającym zapisy na oglądanie... krzewu magnolii rosnącego przed salonem.

Jak by tu iść do knajpy?

Wyobraźnia restauratorów i szefów pubów jest równie bogata. Do knajp, podobnie jak do kosmetyczki, również można iść dzięki systemom haseł towarzyszącym zapisom przez telefon. Organizowane są też fikcyjne rekrutacje na szkolenia, pokazy i degustacje. Jedna z knajp ogłasza się tak: „Niby dopiero wtorek, a Wy już myślicie o weekendzie? Mamy tak samo. Wszystko przez szkolenia, które mamy zamiar zorganizować dla Was po raz kolejny. Zasady są niezmiennie – piątek i sobota w godzinach od 8.00 do 2.00 to czas, kiedy możecie przyjść do naszego lokalu, zacerpnąć nieco teorii i – przede wszystkim – praktyki w degustowaniu polskich piw rzemieślniczych. Oczywiście po uprzedniej rezerwacji (tu numer telefonu). Koszt szkolenia to 15 zł (pamiętajcie o płatności gotówką), ale wrażenia i doświadczenie wyniesione od nas są bezcenne”.

Inna internautka donosi mi o kursie smażenia steków w zamkniętej restauracji. – Idziesz, uczysz się smażyć, a potem oczywiście kosztujesz – wyjaśnia. – U mnie w mieście jeden bar otworzył się oficjalnie. Pożyczył szklanki – dodaje ktoś inny.

► – U nas cukiernia ma „ekspozycję” w postaci foteli i stołów – i nic nie może poradzić na to, że klienci siadają na eksponatach – informuje mnie koleżanka z podwarszawskiego miasteczka.

Śląsk nie zostaje w tyle. W Katowicach są knajpki, które oficjalnie od miesięcy są otwarte, można zjeść, wypić, posiedzieć, jakby świat tkwił w 2019 r., tylko założył na twarz maseczkę. Właściciele piszą: „Środki i procedury stosowane w tym miejscu: pracownicy noszą maseczki, kontrolowana jest temperatura ciała pracowników,

Niektórzy restauratorzy nie bawią się już nawet w udawanie. Toruńska restauracja Smaki Indii w mediach społecznościowych chwali się, że pozostaje otwarta. Na jej facebookowej stronie pojawiły się już nawet zdjęcia z policyjnych interwencji. „Od początku pandemii nie otrzymaliśmy od naszego państwa żadnego wsparcia, co postawiło nas w bardzo złej sytuacji finansowej. Dłużej nie jesteśmy w stanie czekać! Dla naszej restauracji to być albo nie być”, piszą właściciele.

Na profilu restauracji mnóstwo pozytywnych postów od gości – wyrażają wsparcie, chwalą jedzenie.

Ograniczenia łamią też właściciele nocnych imprezowni dla dorosłych. W centrum Warszawy, Łodzi, Krakowa czy Poznania działają lokale, do których wchodzi się od zaplecza. Filmik dziennikarza „Wprost” Marcina Dobskiego zamieszczony na jego twitterowym koncie w styczniu pokazuje, że w klubie naprawdę można zapomnieć o pandemii. Widzimy na nim tłum ludzi tańczących wewnątrz lokalu – rzecz jasna bez maseczek – w rytm popularnej przeróbki zagranicznego hitu. W refrenie wszyscy krzyczą: „J***ć PiS!”. Grubo, jak powiedziałaby młodzież.

Nocne lokale to jednak rozrywka trudniej dostępna. Hasła nie dostaniemy przez telefon, jeśli nie jesteśmy z zaufanego kręgu lub nie zostaliśmy poleceni.

Pocztówki z podziemia

Radzi sobie też branża turystyczna. W Zakopanem, Karpaczu, Krynicy-Zdroju i innych miejscowościach turystycznych działają rodzinne pensjonaty, które chętnie ugoszczą „dalekich krewnych”, „prawników na delegacji” albo „bliskich”. Lokalna policja często przymyka oko w miejscach, gdzie wyszycy się znają.

W Górach Opawskich hotele czy domy wczasowe wydają się zamknięte, choć czasem zastanawia liczba samochodów zaparkowanych w pobliżu. Rybne łowiska podają smażone pstragi – niby na wynos, ale właściciele nie chowają przed ludźmi stolików rozstawionych na powietrzu,

dezynfekcja powierzchni między kolejnymi klientami”. Trzeba jednak odstać swoje, żeby do knajpki wejść. Z tymi maseczkami bywa różnie, z odległościami między stolikami tym bardziej, ale nikomu to nie przeszkadza, skoro już każdy odstał swoje w ogonku na ulicy, gdzie też nikt nie zachowuje dystansu. Potem właściciele proszą o oświadczenie, że brało się udział w zebraniu w jakiejś sprawie.

Ktoś z Poznania pisze mi tak: – Sporo knajp ma pozastaniane okna. Wchodzisz do środka i przenosisz się do innego świata. Kelner najpierw wręcza ci kwestionariusz do wypełnienia. Podczas kolacji bierzesz więc udział w „rekrutacji”.

Jednak nie wszyscy ochoczo przyklaskują takiej działalności – i nie wszyscy przedsiębiorcy mają odwagę mierzyć się z systemem. Znajoma internautka opowiada mi o swojej wizycie w jednej z restauracji w Tyliczu: – Po sankach poszliśmy do restauracji kupić zupę na wynos. Chcieliśmy skorzystać z toalety, a że byliśmy opatuleni szczerlnie w stroje narciarskie, trochę to trwało. Pani była bardzo miła, ale zdenerwowana. Powiedziała, że tydzień wcześniej sąsiedzi wystali do niej patrol policji, bo widzieli auta zaparkowane pod lokalem. Było wtedy bardzo zimno i pozwoliła jednej rodzinie z małym dzieckiem zjeść w środku, bo było jej ich żal.

Pod tarczą antykryzysową

Marek Czarkowski

Politycy PiS chętnie powtarzają, że w ramach kolejnych tarcz rząd Morawieckiego rozdzielił wśród przedsiębiorców ponad 200 mld zł. Tymczasem, kiedy 8 kwietnia 2020 r. Mateusz Morawiecki i prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Głański ogłosili uruchomienie skierowanej do firm i wartej 100 mld zł tarczy finansowej, premier mówi o znacznie wyższej kwocie: – Tarcza finansowa, łącznie z poprzednim

programem (czyli tarczą antykryzysową – przyp. aut.), sięgnie poziomu ponad 300 mld zł – 320, 330 mld zł!

W praktyce wszystko wyglądało o wiele skromniej. 70 mld zł w postaci instrumentów finansowych NBP zaoferował bankom komercyjnym dla podtrzymania płynności. Zbliżoną kwotę rząd miał zaoferować firmom w postaci odroczonej płatności skarbowych, gwarancji i pożyczek. Także i te pieniądze miały podlegać zwrotowi.

Powołano pozostający w gestii premiera Fundusz Inwestycji Publicznych. Miał on dysponować kwotą 30 mld zł

i działając wspólnie z samorządami, finansować inwestycje infrastrukturalne, modernizację szkół i szpitali, transformację energetyczną, a nawet biotechnologię i farmację. Jednak od czerwca ubiegłego roku o tym funduszu w oficjalnych dokumentach rządowych już się nie wspomina. Głośno za to o Rządowym Funduszu Inwestycji Lokalnych, w ramach którego rozdzielono ok. 16 mld zł. Głównie wśród samorządów kontrolowanych przez PiS.

7,5 mld zł przeznaczono na walkę z pandemią. Chodziło o wsparcie pracowników służby zdrowia, przychodni, szpitali itp.

Na bezzwrotne wsparcie dla około 26 tys. małych i średnich firm rząd planował wydać zaledwie 32,5 mld zł.



7 lutego br. policja i sanepid interweniowały w klubie Ambra w Blichowie koło Płocka.

więc zamiast wieść wystudzonego rybnego zdechlaka na Śląsk, klienci siadają i jedzą. Niektórzy lękliwie pytają o policję.

Dziennikarka znad morza relacjonuje: – W niedzielę, 11 kwietnia, pogoda na Wyspie Sobieszewskiej wyśmienita. Główną drogą płynie nieprzerwany sznur samochodów, nie tylko na gdańskich numerach rejestracyjnych – dużo jest np. warszawskich. Na parkingu przy przeprawie promowej przez Wisłę w Świbnie też samochód przy samochodzie. Tłum zmierza wzdłuż Wisły do rezerwatu na Mewią Łachę. Przekrój wiekowy – od seniorów po maluchy, całe rodziny, grupy znajomych. Większość z maskami na brodzie albo bez. Po południu

kolejki do Żabek, w których są kąciki barowe, wydłużają się. Knapki pracują pełną parą, serwując dnia na wynos. Czteroosobowa rodzina zjeżdża na rowerach do domku przy jednej z bocznych uliczek. Wita ich gospodyni. Gdy głośno zastanawiam się, czy znajdę nocleg na Mierzei, słyszę, że na pewno, bo z kwatarami prywatnymi problemu nie ma. I rzeczywiście, kilka dni później spokojnie rezerwuję apartament w Gdańsku na najbliższą majówkę. Gdy pytam, czy nie ma zakazu, pani odpowiada tajemniczo: „Nasze apartamenty są poza obostrzeniami, spełniamy wszystkie warunki, tylko trzeba będzie wypełnić odpowiednie dokumenty”. Jak? Dowiem się na miejscu.

Kto zyska, kto straci?

Istnienie podziemia to oczywiście strata dla budżetu państwa. Za nielegalnie świadczone usługi płaci się wyłącznie gotówką.

Grupa wsparcia dla branży kosmetyczno-fryzjerskiej BeautyRazem zadała pytanie tysiącowi przedsiębiorców tej branży, czy zamkną swoje punkty podczas obecnego lockdownu. Aż 36,6% stwierdziło, że nie zaprzestanie działalności, nawet jeśli rząd wypłaci im środki z tarczy dla przedsiębiorców. Jedynie nieco ponad 9% chce bezwarunkowo dostosować się do obostrzeń. Skala podziemia – a więc i nieopodatkowanego obiegu gotówki – jest zatem ogromna.

Poparcie dla podziemnej działalności przedsiębiorców jest również bardzo widoczne. W sieci można znaleźć nawet portal oferujący mapę przedsiębiorstw, które działają mimo lockdownu, chwalcą się bazą ok. 700 firm z różnych branż. Jak tłumaczą właściciele serwisu, zablokowali już otwarty dostęp do danych, chcąc chronić przedsiębiorców przed wizytami policji czy sanepidu. Jeśli ktoś chce się dowiedzieć, gdzie zjeść czy poćwiczyć, może wykupić dostęp do bazy za 24,99 zł miesięcznie. To się nazywa głowa do interesów.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Współpraca: Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Beata Dżon-Ozimek, Helena Leman, Marek Czarkowski

Na co mogli liczyć przedsiębiorcy?

- Dofinansowanie wynagrodzeń pracowników – 2000 zł do wynagrodzenia jednego pracownika przez łączny okres trzech miesięcy kalendarzowych.

- Świadczenie postojowe lub ponowne świadczenie postojowe – w roku ubiegłym było to 2080 zł. O świadczenie można ubiegać się trzykrotnie.

- Zwolnienie z opłacania składek ZUS – w ubiegłym roku przysługiwało na trzy wybrane miesiące.

- Dotację na koszt bieżącej działalności gospodarczej. Mogli ją jednak otrzymać tylko ci przedsiębiorcy, którzy mieli właściwy kod PKD (Polska Klasyfikacja Działalności).

Od 1 kwietnia br. po rozszerzeniu tarczy o nowe branże pomoc objęła nieco ponad 60 kodów. W ogóle jest ich kilkaset.

Część przedsiębiorców w ogóle nie otrzymała wsparcia z powodu źle wypełnionych wniosków, problemów z udowodnieniem strat, brakami w dokumentacji albo opieszałości urzędników. Na dotacje nie miały też szans osoby, które rozpoczęły działalność gospodarczą w czasie pandemii. Bo jak wykazać spadek przychodów?

Za to zdarzały się sytuacje humorystyczne – dobrze zorganizowana grupa dżentelmenów z Łodzi, Radomia i Poznania, prowadząca z rozmachem agencję towarzyską, uzyskała 175 tys. zł wsparcia w ramach tarczy

anty kryzysowej, nim ich owocną działalność ukróciła policja. Nie mogli też narzekać przebywający w areszcie współwłaściciele jednego z warszawskich nocnych klubów. Organy podejrzewają ich o zlecenie podpalenia konkurencyjnego lokalu i podżeganie do pobicia kobiety. Należące do krewkich biznesmenów spółki dostały po 5 tys. zł mikropożyczek, które następnie umorzono.

Do połowy lutego br. z ogłaszanych przez rząd kolejnych tarcz antykryzysowych skorzystało ok. 400 tys. firm i osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą, podczas gdy w kraju aktywnych jest 2,5 mln podmiotów.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Nie jesteśmy robotami

Wprowadzając obostrzenia,
szukajmy kompromisów

Rozmawia Anna Brzeska

Przedsiębiorcy już chyba masowo łamią obostrzenia. Czy nieustanne kombinowanie to jakaś nasza cecha narodowa?

– Absolutnie nie. To się dzieje na całym świecie. Obserwujemy takie postawy nie tylko u przedsiębiorców czy młodzieży, ale nawet u samych polityków, którzy ograniczenia narzucają. Sporo już widzieliśmy skandali, kiedy członkowie rządów czy ich doradcy, piewcy obostrzeń, byli przytąpiani na gorącym uczynku podczas łamania zakazów. Taka jest natura człowieka – w każdym z nas tkwi ziarno hipokryty. Polecam genialną książkę z obszaru psychologii społecznej „Błądzą wszyscy (ale nie ja)”, która mówi o tym, że najczęściej uważamy, iż wszyscy inni źle postępują, a my jesteśmy superfajni. To przekonanie, że nam samym trochę więcej wolno, wynika m.in. z iluzji kontroli. Zdrowy psychicznie człowiek uważa, że jest trochę lepszy, trochę ładniejszy, trochę mądrzejszy, że ma więcej kontroli nad swoim życiem i – co ważne – że los lubi go trochę bardziej niż przeciętnego człowieka. To właśnie dlatego myślimy, że gdy MY się spotkamy z rodziną czy przyjaciółmi, na pewno się nie zarazimy. Bo to my – w naszym przekonaniu – mamy kontrolę, a inni nie.

Zwróciłabym też uwagę na to, kto zostaje przedsiębiorcą. To ludzie o pewnym profilu charakterologicznym, osobowościowym, lubiący ryzyko, najczęściej bardzo aktywni. Ich biznesy często związane są z pasją życiową. Jeśli ktoś szuka bezpieczeństwa i stabilizacji, raczej wybiera etat w korporacji, a nie prowadzenie firmy. **Przedsiębiorcy często tłumaczą, że łamią zakazy, bo nie mają za co żyć.**

– Oczywiście doświadczają ogromnych strat finansowych, które już teraz często są nie do odrobienia. Ale to nie jest jedyny czynnik, który decyduje o łamaniu zasad. Przedsiębiorcy



DR EWA JARCZEWSKA-GERC

– psycholożka społeczna, trenerka biznesu, adiunkt w Katedrze Psychologii Różnic Indywidualnych, Diagnostyki i Psychometrii Uniwersytetu SWPS

to grupa, która jeśli nic nie robi, praktycznie nie żyje, więc jako psycholog nie dziwię się, że chcą pracować i prowadzić swój biznes. To dla nich być albo nie być. Mam wrażenie, że nikt nie zwraca uwagi na to, że izolacja, zamknięcie w domu, są w kontrze do podstawowych potrzeb człowieka. Często uważa się, że kwestie psychologiczne są mniej ważne niż zdrowotne. Układ immunologiczny człowieka, który czuje się samotny, niepotrzebny, wtłoczony w bierny styl życia – zwłaszcza gdy dotychczas był bardzo aktywny – będzie pracował gorzej, słabiej. I przez to ta osoba będzie bardziej podatna na choroby. Tę kwestię traktuje się u nas po macoszemu, za priorytet uznając to, co uchodzi za istotniejsze w zdrowiu fizycznym. Tymczasem te dwie sfery są ze sobą nierozdzielnie związane.

Ale mamy pandemię i nie możemy znieść obostrzeń.

– Oczywiście wirus istnieje. Nikt o zdrowych zmysłach nie powinien podważać tego, że może być zabójczy. Jednak założenie, że teraz

wszyscy będziemy w stanie zejść na ten najniższy poziom egzystencji i zakopać się w swoich „norach”, dla wielu oznacza śmierć – w sensie emocjonalnym czy właśnie zawodowym – jako śmierć firmy, na którą nierzadko pracowali całe życie.

Co więc możemy zrobić?

– Eksperci zarządzający na szczeblu centralnym powinni szukać kompromisów. Przy zachowaniu niezbędnych zasad sanitarnych trzeba uwzględnić potrzebę życia – a nie tylko egzystencji – by firmy mogły funkcjonować z rozsądnie narzuconymi ograniczeniami. Wciąż można przecież chodzić do kościoła – a jednocześnie WHO wyliczyła, że polskie dzieci najdłużej w Europie uczą się w trybie zdalnym. Ta niespójność ograniczeń działa na ludzi jak płachta na byka. Apelowanie i przemowy o potrzebie solidarności już nie pomagają.

Mam wrażenie, że nawet jeśli popieramy obostrzenia, coraz trudniej jest nam w nich wytrzymać. Mam znajomą, która wiosną właściwie nie wychodziła z domu, a teraz zorganizowała dziecku urodziny w sali zabaw, oficjalnie zamkniętej.

– To się nazywa wypalenie zasobów *ego*. Dysponujemy pewną pulą energii na kontrolę swoich zachowań, ale znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy musimy robić to nieustannie już od ponad roku. To daje skutki nie tylko w postaci łamania zasad, ale nawet aktów agresji – we Włoszech już zauważono, że nasila się skala rozbojów czy napadów. Dlatego w działaniach naszego rządu brakuje mi mądrego, holistycznego podejścia do człowieka i jego potrzeb. Jego przykłady mamy choćby w Nowej Zelandii, gdzie udało się pokonać pandemię. Owszem, wprowadzono tam surowe restrykcje, ale rząd był skupiony nie tylko na obostrzeniach, lecz też na dobrostanie ludzi – zapewniono obywatelom psychiczne wsparcie, zachęcano ich choćby do uprawiania sportu na zewnątrz. Efekt osiągnięty w tym kraju wynikał zresztą nie tylko z działań rządu w trakcie pandemii, ale też wcześniejszej mądrej polityki zdrowotnej. Nasz rząd traktuje nas natomiast tak, jakbyśmy byli robotami.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Beata Igielska

„Mazury to nie góry, gdzie sezon trwa cały rok. Ludzie się boją. Wyjazdy na saksy niepewne, a w Polsce nie wiadomo, co rząd za chwilę wymyśli”, pisze na Facebooku mieszkanka Mazur.

Na decyzję rządu w sprawie majowego weekendu czekały sprzątaczk i właściciele firm żeglugowych. Kończą im się pieniądze, a pracy nie ma. To już nie są czasy, kiedy na wsi każdy miał po kilka kur, świniaka i parę metrów kartofli. Już zaczyna się dramat. Co będzie za miesiąc?

Ubiegłoroczny *lockdown* nie zaszkodził mazurskiej turystyce. Pogoda sprzyjała, sezon trwał do połowy października. Polacy nie wyjechali za granicę. Co będzie w tym roku, jeśli pogoda nie dopisze?

Najgorzej mają się hotele bez SPA. Bo te ze SPA na klientów mogą liczyć nawet zimą.

Hotel Mazury w Giżycku, 44 pokoje, ale ze względu na reżim sanitarny w ruchu 22. Wyłączone są dwa budynki. Obecnie zajęte są dwa pokoje. I to tylko dlatego, że obiekt znajduje się naprzeciwko jednostki wojskowej. Zgodnie więc z rozporządzeniem nocuje np. serwisant czołgów plus czasami drogowcy, kurierzy, dostawcy, czyli tzw. transport drogowy. A rzeczywistość skrzeczy: opłać pensje personelu, zapłacić podatki.

Samorządy chcą pieniędzy

– Spodziewaliśmy się, że do otwarcia na majowy weekend nie dojdzie. Personelowi wynajdujemy zajęcia i staramy się nie panikować. Na jak długo wystarczy nam sił? – zastanawia się Michał Kieres, dyrektor hotelu Mazury. – Staramy się utrzymać etaty, bo mamy sprawdzoną załogę. Cały czas dokładamy do interesu. Tarcze? To kropla w morzu. Samorząd jest bezradny, obniżono nam koncesję za alkohol, ale to niewielka pomoc. Staramy się o dotację z urzędu pracy dla pracowników z tytułu lokalnego wsparcia przedsiębiorców.

Ośrodek sezonowy Stanica Wodna Kietlice nad Mamrami. Majowy weekend zawsze służył do odkucia się, by zimę przetrwać bez problemu, popłacić rachunki, utrzymać



Flota jachtów firmy Sztorm Grupa, szkolącej przyszłych wodniaków, która obecnie nie może ani szkolić, ani przeprowadzać egzaminów, ani czarterować jednostek.

Strategia po polsku, czyli brak strategii

Warmię i Mazury zatapia lockdown. Region żyje z turystyki. Dla przedsiębiorców najgorsza jest niepewność

personel. Do stancji przypluwają łódki. Załogi jedzą rybę, popijają piwko z firmowym sokiem. Czy to miejsce obroni się, serwując jedzenie na wynos na plastikowych tackach?

Rafał Krawczyński, jeden z szefów stancji: – Nie dość, że rząd nas zaskakuje swoimi decyzjami, to jeszcze dokłada wydatków. Do końca grudnia musieliśmy np. kupić nowe kasy fiskalne, które przesyłają na bieżąco informacje o sprzedaży do Krajowej Administracji Skarbowej. Bez gwarancji, że w ogóle z nich skorzystamy, bo *lockdown*. Koszt 3 tys. zł. Cały czas płacimy koncesję za alkohol, mimo że mamy nieczynne. Płacimy też normalny podatek od nieruchomości, jakbyśmy działali.

Nie tak dawno, w piątek 26 lutego restauratorzy i hotelarze z województwa warmińsko-mazurskiego dowiedzieli się, że od soboty mają być zamknięci. Była akcja rozdawania jedzenia warszawiakom pod kancelarią premiera. Komuś zabrać wyobraźnię.

– Utrzymujemy pracowników etatowych. Oprócz nich zatrudniamy pracowników sezonowo. Skoro nie wiemy, kiedy i jak będziemy mogli się otworzyć, nie wiemy też, czy mamy szukać pracowników na sezon, a w naszym regionie o pracowników jest trudno. Na pensjach ludzi wiszą całe rodziny. Teraz płacimy im tylko tyle, żeby utrzymać etat, w sezonie zarabiają więcej, mają nadgodziny. Tarcze? Dla nikogo z naszej branży 5 tys. zł nie jest pomocą. W ostatniej tarczy postawiono na wiodący kod PKD, czyli wiodący rodzaj działalności, którą zakładając firmę, wskazał przedsiębiorca. My wpisaliśmy działalność niezwiązaną z turystyką, z tarczy nie dostaliśmy nic. Sprzedawaniem pierogów nie zarobimy nawet na obsługę – wylicza Krawczyński.

Wraz z ojcem są żli na lokalne władze, które nic nie odpuszczają, jeśli chodzi o podatki. A mogą przecież odroczyć, zawiesić. Rozumieją jednak, że samorządy nie mają pieniędzy nawet na podstawowe działania. ►

► Tylko właścicielka jednej ze smażalni ryb mówi, że rząd jest super i lepszego nie będzie. Teraz ma po paru klientów dziennie, a w sezonie nie może się obrobić. Na co tu narzekać?

Jachting odpływa

Braku zwartej rządowej strategii negatywnie doświadczają firmy zajmujące się czarterowaniem jachtów, a pośrednio także stocznie je produkujące w Ostródzie, Augustowie, Węgorzewie czy Olecku. Jeśli *lockdown* zostanie przedłużony do połowy maja, trudno będzie odrobić straty do końca roku. Dla firm czarterujących koniec kwietnia i maj są bardzo ważne. Wtedy wynajmujący wpłacają zaliczki, firmy organizują imprezy integracyjne, a branża czarterowa odzyskuje płynność finansową.

Właściciel jednej z węgorzewskich firm czarterujących łódki i jachty: – I co z tego, że mamy już dużo rezerwacji, skoro nie wiemy, jakie decyzje podejmie rząd. Gdyby nasz region otworzono nawet w połowie maja, nie byłoby tak źle, wyszlibyśmy na zero. W naszej branży pracuje dużo młodziarzy. Sprzątają, uczą się życia, dzięki pracy odkładają na własne potrzeby. Jest więc też walor wychowawczy.

– Jeśli firmy czarterujące wpadną w problemy, nie zamówią w tym roku jachtów w polskich stocznich. Te zostaną z uruchomionymi inwestycjami i bez kontraktów. Więc szukając oszczędności, mogą zredukować zatrudnienie. A na Warmii i Mazurach

to właśnie stocznie są potężnymi pracodawcami. Na jednego człowieka pracującego w stoczni przypada ośmiu innych obsługujących, zajmujących się zaopatrzeniem w surowce, dostarczających komponenty do budowy jachtów lub inne usługi dla zakładów produkcyjnych – wylicza Michał Bąk, sekretarz generalny Polskiej Izby Przemysłu Jachtowego i Sportów Wodnych POLBOAT.

Sytuację ratuje fakt, że polskie stocznie produkują jachty głównie na eksport, obsługują połowę europejskiej produkcji. Polskie łódki kupują Skandynawowie, Niemcy, Francuzi. Ale krajowy rynek jest coraz ważniejszy i ma ogromny potencjał. Obecnie w Polsce statystycznie jedna łódka przypada na 450 osób, w Norwegii czy Finlandii – jedna na siedem osób.

Branża już w ubiegłym roku robiła akcję społeczną „Zostań wodniakiem”, w której wzięło udział ponad 500 osób. – W kilkunastu lokalizacjach w całej Polsce organizowaliśmy rejsy ze sternikiem, żeby ludzie bez płacenia mogli poczuć, co znaczy być na wodzie, przekonać się, że sterowanie wcale nie jest takie trudne, a na koniec dowiedzieć się, jakie kursy należy skończyć i ile kosztuje uprawianie tej formy rekreacji, bo panuje przekonanie, że to droga pasja. Chcemy tę akcję kontynuować od 13 maja. Jeśli ktoś zasmakuje wodnej przygody w maju, w czerwcu może ukończyć profesjonalny kurs, a w lipcu czy sierpniu spędzać wakacje z dala od innych osób. WHO już w ubiegłym roku zaliczyła jachting

do sportów o bardzo niskim ryzyku zakażeń – mówi Michał Bąk.

Zalepione okna, zalepiona przyszłość

Pod koniec lutego olsztyński poseł Porozumienia Michał Wypij, jeden z najbliższych współpracowników ministra rozwoju i pracy, wicepremiera Jarosława Gowina, przekonywał na Twitterze, że przedsiębiorcy z Warmii i Mazur otrzymają dodatkowe 300 mln zł, jak wcześniej górale. Miała to być osobista zasługa wicepremiera Gowina. Sęk w tym, że żaden resort nic na temat nie wiedział.

W połowie marca Gustaw Brzezina, marszałek województwa warmińsko-mazurskiego, podkreślał, że odpowiedzialne podejście wymaga od rządu ponadstandardowego wsparcia przedsiębiorców i sfery społecznej tego województwa. W przeciwnym razie straty gospodarcze będą dotkliwe zarówno w krótkofalowej, jak i dłuższej perspektywie. Skutki obostrzeń już widać w twardych danych – w województwie odnotowano najwyższą w kraju stopę bezrobocia i spory spadek zatrudnienia w przedsiębiorstwach.

Rząd nie wyciągnął żadnych wniosków z ubiegłorocznej lekcji. Rozporządzenia jak były nieprecyzyjne, tak są. Rządy Szwecji czy Danii potrafią ogłosić harmonogram działań, ludzie im wierzą. W Polsce dochodzi do absurdów: jachting jest niebezpieczny, ale 10 tys. motocyklistów może się modlić na Jasnej Górze. Bez maseczek i dystansu społecznego. Ludzie to widzą i mówią „dość”.

„Dziś zalepiłam okna grubym papierem, na wzór okolicznych restauratorów, i zamierzam łamać prawo, pracując na utrzymanie dzieci. Kolejny krok to pewnie zabicie okien deskami. Mam dość, czuję się jak w jakimś chorym filmie. Wszędzie tabliczki »na sprzedaż«, »na wynajem«. Tak się nie da funkcjonować” – pisze czytelniczka. To są efekty porozumiewania się rządu ze społeczeństwem za pomocą przecieków do mediów. Żyjemy w sferze domysłów mniej lub bardziej prawdopodobnych. A kapanie tydzień po tygodniu restrykcji pociąga makabryczne skutki.

Co dziesiąty bez pracy

W grudniu 2020 r. stopa bezrobocia na Warmii i Mazurach wynosiła 10,1%. Najniższą zarejestrowano w Olsztynie (3,4%), najwyższą – w powiecie kętrzyńskim (19,6%). Na koniec 2020 r. w województwie warmińsko-mazurskim było zarejestrowanych 51 475 bezrobotnych. Prawie połowa to ludzie w wieku 25-44 lata, z wykształceniem gimnazjalnym, podstawowym lub zasadniczym branżowym.

Województwo warmińsko-mazurskie liczy ok. 1,4 mln mieszkańców. Liczba ta zmniejsza się na skutek ujemnego salda migracji i spadku liczby urodzeń. Mimo to utrzymuje się tu większe bezrobocie niż w innych częściach kraju – komentuje prof. Henryk Runowski z Katedry Ekonomiki i Organizacji Przedsiębiorstw Wydziału Nauk Ekonomicznych SGGW. – Zbliża się kolejny sezon turystyczny. Brak klarownej prognozy rozwoju sytuacji pandemicznej i projektowanych przez centrum rządowych scenariuszy, dotyczących luzowania obostrzeń, nie ułatwia decyzji świadczeniodawcom usług turystycznych. Konieczne jest przygotowanie i ogłoszenie alternatywnych scenariuszy. Zdaję sobie sprawę, że to niełatwe, jednak jest konieczne i dotyczy nie tylko Warmii i Mazur, ale również innych regionów turystycznych Polski.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Manewry na promach

Po odwołaniu prezesa PŻB pracę może stracić nawet 700 osób



W 2004 r. PŻB zakupiła nowy prom „Wawel”.

Zofia Bąbczyńska-Jelonek

Armator promowy, Polska Żegluga Bałtycka, w styczniu tego roku obchodził 45-lecie. Właściciel zgłówniał mu wiele jubileuszowych niespodzianek. Posadę stracił wieloletni dyrektor, później prezes PŻB. Zdaniem związkowców z PŻB – z powodu braku akceptacji dla rządowych pomysłów dotyczących budowy nowych promów. Potem wyłuskano ze struktur armatora spółkę Polskie Promy, którą przejęła szczecińska Polska Żegluga Morska. Na koniec funkcję prezesa PŻB powierzono... pupilowi Radia Maryja, znającemu się lepiej na konstrukcjach przemysłu wydobywczego i silnikach okrętowych niż na żegludze.

Wszystkie te poczynania z ostatnich kilkunastu tygodni wzbudziły niepokój pracowników na lądzie i na morzu. Oba działające w PŻB związki zawodowe zgodnie ogłosiły pogotowie strajkowe. A w tle owych zdarzeń jest wieloletnia, niezdrowa rywalizacja między *stricte* państwowymi firmami, jakimi są PŻB i PŻM, inicjowana zarówno przez polityków, jak i same środowiska obu armatorów.

Burzliwe dzieje

Praktyka wykazuje, że im mniej polityki w gospodarce, tym lepiej. Kołobrzesci armator przekonuje się

o tym od samego początku istnienia. Przedsiębiorstwo Państwowe Polska Żegluga Bałtycka zostało powołane do życia 31 stycznia 1976 r. na mocy zarządzenia nr 8 ministra handlu zagranicznego i gospodarki morskiej. Decyzja ta podyktowana była wyłącznie względami politycznymi. Stała za nią strategia państwa związana z aktywizacją gospodarczą Pomorza Środkowego. Siedzibę armatora zlokalizowano w Kołobrzegu. Po 10 miesiącach decyzją MZiGM zaczął on obsługiwać promy na przystaniach w Gdańsku i Świnoujściu. W 1989 r. eksploatował rekordową liczbę linii: sześć stałych i dwie sezonowe: Świnoujście-Ystad, Świnoujście-Kopenhaga, Świnoujście-Travemünde, Travemünde-Rønne, Gdańsk-Nyngshamn, Gdańsk-Helsinki, Gdańsk-Ryga i Helsinki-Visby.

Wraz z transformacją polityczno-ustrojową w 1989 r. w PŻB nastąpiły duże zmiany, przeważnie niekorzystne. 31 grudnia 1992 r. kołobrzesciego armatora przekształcono z przedsiębiorstwa państwowego w spółkę akcyjną. Rok 2001 był okresem gruntownej restrukturyzacji finansowej i organizacyjnej – ze struktury firmy wyłączono oba terminale promowe (w Świnoujściu i Gdańsku) oraz sprzedano katamaran HSC „Boomerang”. Małą odskocznią były inwestycje w tonaż. W 2000 r. kupiono prom „Scandinawia”, w 2004 r. nowy prom „Wawel”, a w 2007 r. kupiono „Baltivię”.

W 2006 r. armator odsprzedał miastu port handlowy w Kołobrzegu. Wyniki obrotu portowego były mizerne i nie zadowalały go. Nie powinno to dziwić. Do 2000 r. PŻB pozbyła się całej swojej floty niewielkich statków, które mogły wpływać do Kołobrzegu. Wcześniej, w 1990 r., port odwiedziło 320 jednostek i przeładowano w nim 264 tys. ton ładunków. W latach 2003-2006 obroty spadły o ponad 50%, do poziomu ok. 150 tys. ton, a do portu wpłynęło 250 statków. W latach 2008-2009 przeładowywano w Kołobrzegu zaledwie ok. 100 tys. ton rocznie i obsługowano 160 statków.

Prywatyzacja

Od jesieni 2009 r. resort skarbu państwa próbował sprzedać akcje przedsiębiorstwa. W połowie roku 2010 zaawansowane negocjacje prowadzono z duńskim armatorem promowym DFDS. Nic z tego nie wyszło. W 2014 r. ponownie chciano sprzedać PŻB. O zakup akcji ubiegało się kilka firm. Na początku 2015 r. ofertę kupna złożyła również Żegluga Polska SA (spółka zależna Polskiej Żeglugi Morskiej), jednak nie została dopuszczona do rozmów. Zaproszowały związki zawodowe armatora, które nie zgadzały się z polityką Ministerstwa Skarbu Państwa. Sprzeciw zgłosił także Sejmik Województwa Zachodniopomorskiego. W końcu ministerstwo oświadczyło, że polskie

► firmy żeglugowe nie są zainteresowane przejęciem PŻB i odstępuje od prywatyzacji. W lutym 2015 r. PŻM zadeklarowała, że opracuje plan konsolidacji obu firm. Z tego pomysłu też nic nie wyszło.

Rok jubileuszowy rozpoczął się dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej fatalnie. 11 lutego 2021 r. rada nadzorcza armatora odwołała z funkcji prezesa Piotra Redmerskiego, pracującego w PŻB od jesieni 2005 r. na stanowisku dyrektora ekonomiczno-finansowego, potem członka zarządu

rok zyskiem wysokości 22 mln zł. I to w tak trudnych czasach, gdy wszyscy armatorzy mają kłopoty. Co ważne, Piotr Redmerski był bardzo „proludzkim” szefem firmy, potrafiącym dzielić się zyskami z załogą. Ale prezes nie zgadzał się z pomysłami ministerstwa i zmuszaniem nas do kontynuowania programu Batory. Pamiętacie wydanie 12 mln zł na najdroższą stępkę na świecie? Teraz próbowano człowieka, który zna się na biznesie, obarczyć własnymi winami. Nie może być zgody na to, by

działaniem, PŻB kierowana przez Piotra Redmerskiego wyszła na prostą i zaczęła przynosić zyski. W efekcie kołobrzesci armator w 2014 r. kupił, a w 2015 r. wprowadził na linię nowy prom – m/f „Mazovia”. W kolejnym roku PŻB pozyskała komfortowy prom m/f „Nova Star”, który został skierowany do obsługi linii Gdańsk-Nynäshamn. Armator zaczął przynosić zyski. Mimo że ubiegłoroczna wiosna, sparaliżowana przez pandemię koronawirusa, przyniosła firmie spadek ruchu pasażerskiego o 70%, a na pokładach promu przewożono o kilkadziesiąt procent mniej ciężarówek, to druga połowa roku była lepsza i PŻB nadrobiła straty.

Związkowcy przypominają, że prezes Redmerski obejmował prezesurę w spółce, gdy ta miała 38 mln zł długów. – A na dzień odwołania zostawia ją z 22 mln zł zysku netto – wyjaśnia Kazimierz Sikora. – To podpora naszej firmy, stąd oburzenie załogi. Poza tym są uzasadnione obawy, że firma sobie nie poradzi. Gdy powstało Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, powiało nadzieję, że w gospodarce morskiej coś się zmieni, ale to się skończyło, przez nieudolność nie PŻB, ale pracowników i kierownictwa ministerstwa.

Sikora zastrzega tutaj: – My nie mówimy, że właściciel nie może robić z majątkiem, co chce. Może, ale do momentu, kiedy nie trwoni tego majątku i nie grozi utrata pracy 700 osobom, które pracują co miesiąc rzetelnie, uczciwie, na morzu i w biurze, i chcą, żeby ta firma funkcjonowała jak najlepiej.

Oba działające w PŻB związki zawodowe, Solidarność i Związek Zawodowy Pracowników PŻB w Kołobrzegu, zgodnie sprzeciwiły się decyzji rady nadzorczej, ogłoszono pogotowie strajkowe. Ludzie boją się o pracę. Kazimierz Sikora: – Jeśli spółka zacznie być zarządzana politycznie, skończy się to dla nas kłopotami.

Związkowcy zorganizowali protesty pod biurami posłów z PiS, napisali list do premiera z prośbą o przywrócenie Piotra Redmerskiego na funkcję prezesa. Niestety, wszystkie wysiłki spełzły na niczym. 15 kwietnia schedę po prezesie Redmerskim objął Andrzej Madejski, absolwent Wydziału Mechanicznego Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni (obecnie

Marek Gróbarczyk, zabierając z PŻB spółkę Polskie Promy, niszczy kołobrzesciego armatora na rzecz szczecińskiej PŻM.

ds. ekonomiczno-finansowych, wreszcie od stycznia 2016 r. prezesa PŻB. Decyzja rady mocno zaskoczyła związkowców, byli w szoku i zapowiedzieli sprzeciw, z blokadą portu włącznie.

– Załoga jest oburzona i zaniepokojona odwołaniem prezesa PŻB Piotra Redmerskiego, *de facto* przez Marka Gróbarczyka stojącego na czele Głównego Urzędu Morskiego. Piotr Redmerski to człowiek sukcesu, szanowany i ceniony przez załogę. Potrafił wyprowadzić firmę z zapaści własną pracą – uważa Kazimierz Sikora, przewodniczący NSZZ Solidarność w PŻB. – Pod jego rządami zamknęliśmy ubiegły

politycy wtrącali się we wszystkie sprawy, szczególnie gospodarcze. Politycy nie znają się na wszystkim, ale właśnie tak się zachowują. Trzeba szanować ludzi, którzy odnoszą sukcesy na tak trudnym rynku żeglugowym. Ci ludzie pracują również na sukces polityków. Tu nie może dochodzić do głosu ego polityka.

Warto przypomnieć, że do końca 2010 r. PŻB przynosiła straty. Przyczyną problemów była coraz silniejsza konkurencja na liniach PŻB, w tym polskich armatorów. Jednak po wewnętrznej mobilizacji, sprzedaży części floty, zmianie rozkładu rejsów i dzięki wielu innym



Uniwersytet Morski w Gdyni) oraz studiów menedżerskich Executive MBA, a także programu Post MBA w Gdańskiej Fundacji Kształcenia Menedżerów.

Awantura o budowę promów

Ostatnie kłopoty PŻB rozpoczęły się kilka lat temu, kiedy rząd PiS wpadł na pomysł reaktywowania państwowego sektora stoczniowego. Wymyślono program Batory i podjęto decyzję o budowie promu pasażersko-samochodowego (ro-pax) dla PŻB w szczecińskiej stoczni remontowej Gryfia. W połowie 2017 r., w obecności premiera Mateusza Morawieckiego, urządzono przedziwną uroczystość położenia stępki pod nowy prom. Rzecz w tym, że ani armator, ani stocznia nie miały żadnych planów technicznych nowej jednostki, które pozwoliłyby zbudować coś, co można nazwać stępką statku. Po prostu nikt tego rzekomego promu nie zaprojektował! Formalnoprawny porządek obowiązujący przy tego typu inwestycjach nie istniał. Była tylko mrzonka rządzących, tak więc w strugach deszczu na placu stocznym zespawano na pokaz kilka przypadkowych żarzewiatych blach. Rdzewieją do dzisiaj.

W liście do premiera Mateusza Morawieckiego związkowcy zabiegający o przywrócenie odwołanego prezesa napisali: „Urzednicy Ministerstwa szukali »kozła ofiarnego«, aby przykryć niepowodzenie

finał – uważa wiceminister infrastruktury Grzegorz Witkowski. – Nowe jednostki dla polskich armatorów zostaną zbudowane w polskich stoczniach. Dzięki temu zwiększą się przewozy cargo między portami krajowymi i skandynawskimi.

Plan ten jest realizowany podobnie jak kładzenie stępki, na wariackich papierach, z kolejnym ciosem w kołobrzesckiego armatora. W celu zrealizowania swoich pomysłów rząd pozbawia Polską Żeglugę Bałtycką ważnej składowej – założonej w 2020 r. spółki Polskie Promy. W połowie marca rzecznik Polskiej

towarową i przewóz tirów, i myślę, że niebawem będziemy mogli podać szczegóły, jeśli chodzi o realizację nowych promów. To musi nastąpić, bo potrzebują tego armatorzy.

Gróbarczyk nie wspomina, że zabierając Polskie Promy, degraduje kołobrzesckiego armatora na rzecz szczecińskiego konkurenta. Winę za upadek państwowych stocznii budowlanych zrzuca na Platformę Obywatelską. – Były one nieprzygotowane do realizacji tego zadania – stwierdza. – Dla nas bezwzględnie priorytetem jest odbudowa przemysłu stoczniowego.

Kiedy w połowie 2017 r., w obecności premiera Morawieckiego, uroczyste kładziono stępkę pod nowy prom, nie był on jeszcze nawet zaprojektowany.

Żegluga Morskiej poinformował, że PŻM przejmie od PŻB tę spółkę w celu budowy nowych promów. Szczeciński armator stanie się w 100% właścicielem przejmowanej spółki. Rada Pracownicza PŻM wyraziła już zgodę. PŻM chce wybudować na razie trzy, ewentualnie cztery promy w jednej z polskich stocznii. Promy samochodowo-pasażerskie mają mieć linię ładunkową o długości 4 tys. m i zabierać na pokład 300 pasażerów. Pierwsza jednostka ma spłynąć z pochylni w 2024 r. Nie wyklucza się, że jeden z zamówionych przez PŻM promów trafi w czarter do PŻB.

Zabranie spółki Polskie Promy z Kołobrzegu do Szczecina tylko pogłębia trudną sytuację PŻB. Jak informuje rzecznik PŻM, „wszelkie zobowiązania poprzedniego właściciela spółki (wynikające z różnych umów formalnych i nieformalnych z podmiotami zewnętrznymi) nie przechodzą na PŻM”. To stanowisko spowodowało, że związkowcy z PŻB mówią otwarcie: – Tym bardziej nie mamy powodu do zawieszania pogotowia strajkowego.

– To jest jedno z tych działań, na które nie chciał przystać Piotr Redmerski – wyjaśnia Kazimierz Sikora. – Prezes nie sprzeciwiał się współpracy z PŻM, ale chciał przede wszystkim zabezpieczać interes spółki. Jako reprezentanci załogi nie mamy żadnej informacji, na jakich zasadach mają teraz działać Polskie Promy. Co np. z autorskim pomysłem PŻB pod wodzą prezesa Redmerskiego, by w ramach tej spółki przebudować prom „Cracovia”, wydłużyć go i wyposażyć w silniki gazowe? Czy robi to PŻM? A jeśli tak, to czy przejmie wtedy nasz statek? Mamy coraz więcej powodów, by obawiać się o los PŻB i jej 700 pracowników.

Sikora zapowiada, że jeśli władze nie zmienią stosunku do PŻB, to forma prowadzonego już protestu może się zaostriżyć. Trudno jednak sądzić, by to wpłynęło na decyzje pisowskiej władzy.

Zofia Bąbczyńska-Jelonek

PŻM nie przejęła żadnych zobowiązań PŻB.

programu »Batory«. Program ten miał pobudzać przemysł stoczniowy, m.in. przez budowę nowych promów pasażerskich. Przedstawienie ze stępką było jednym z jego elementów. Prom dla PŻB, który miał być budowany w stoczni Gryfia i gotowy w ubiegłym roku – nie wyszedł poza etap projektowania.

Mimo skandalu ze stępką rząd nie porzucił planów budowy promów w reaktywowanych stoczniach państwowych. Wymyślony w 2017 r. program Batory jest elementem Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju (SOR). Dotyczy budowy promów samochodowo-pasażerskich (ro-pax). – Program Batory będzie miał szczęśliwy

Szef Głównego Urzędu Morskiego, były minister Marek Gróbarczyk, program Batory widzi nieco dziwnie. – Program Batory cały czas funkcjonuje. Przede wszystkim nastąpiła jego konsolidacja w postaci połączenia dwóch armatorów, jeśli chodzi o możliwości inwestycyjne, stworzenie spółki Polskie Promy. To przede wszystkim odpowiedź na obecną sytuację na rynku, bo rynek promowy bezwzględnie się zmienił. Możemy powiedzieć, że PŻB najbardziej odczuła zeszłoroczną dekoniunkturę i to głównie rynek pasażerski ucierpiał. W związku z tym przebudowujemy naszą strukturę promową, przede wszystkim na tę

Marcin Ogdowski

Teoretycznie jesteśmy potęgą – mamy niemal tyle czołgów, ile Francja i Niemcy razem wzięte. Ponad 750 sztuk (a uwzględniając zasoby Agencji Mienia Wojskowego – 900) robi wrażenie, jednak tylko do czasu, aż zdamy sobie sprawę z jakości sprzętu. Zaledwie 249 maszyn – zbudowanych w Niemczech leopardów – to pojazdy względnie nowoczesne bądź rokujące taki status po modernizacji. 232 czołgi PT-91 od biedy mogłyby się jeszcze przydać na współczesnym polu walki. Reszta, czyli wyprodukowane na radzieckiej licencji T-72, mimo prób reanimacji nadają się jedynie do podtrzymania procesu szkolenia.

Czołgi przez lata nie miały dobrej prasy – zbyt wielu specjalistów twierdziło, że wraz z zakończeniem zimnej wojny stały się przeżytkiem. W NATO tym łatwiej było przyjąć taką perspektywę, że prowadzone przez Sojusz konflikty nie angażowały ciężkich jednostek lądowych. Z Serbią poradzono sobie za pomocą lotnictwa, w górzystym Afganistanie prym wiodły dwa-trzy razy lżejsze kołowe transportery opancerzone. Znikło też, jak się wydawało, zagrożenie konfrontacji w Europie. Otrzeźwienie przyszło w roku 2014. Wojna na wschodzie Ukrainy dowiodła, że bez czołgów wciąż nie sposób przełamywać linii obronnych przeciwnika. Obnażyła również naiwność założenia, że Moskwa nie będzie już dążyła do odzyskania dawnych stref wpływu. Natowscy planiści musieli uznać wschodnią flankę Sojuszu za zagrożoną, zwłaszcza w obliczu pośpiesznej odbudowy sił zbrojnych Federacji, w której modernizacja wojsk pancernych odgrywa bodaj najważniejszą rolę.

„Ława ruskich tanków”

Doktryna obronna Rzeczypospolitej przewiduje dla Wojska Polskiego dwa zasadnicze zadania – opóźnianie rosyjskiego natarcia w międzyrzeczcu Bugu i Wisły oraz przeprowadzenie kontrofensywy znad linii królowej polskich rzek. Ów plan opiera się na wielu założeniach, wedle jednego z nich do zwalczania czołgów świetnie nadają się czołgi – stąd relatywnie



Pancerna pięśćka polskiej armii

Przykład wojsk pancernych pokazuje organizacyjno-techniczną nieudolność i brak wyobraźni rządzących

duża liczba maszyn w parku sprzętowym WP. I choć wizję „ławy ruskich tanków” sunącej przez polskie równiny od lat pielęgnują politycy od lewa do prawa, ich lęki z rzadka przekładają się na wzmacnianie potencjału militarnego. Celuje w tym zwłaszcza PiS, które istotną część własnej potęgi zbudowało na antyrosyjskiej retoryce. Pisowska wierchuszka niby problem rosyjskiego zagrożenia widzi i niby coś z nimi robi. Przykład wojsk pancernych jak w soczewce skupia

te niby-działania, będące w istocie umiejętnościem PR, któremu towarzyszą organizacyjno-techniczna nieudolność i brak wyobraźni.

Zacznijmy od niemieckich leopardów (kupionych w latach 2002 i 2013). To sprzęt z lat 80., ale o dużym potencjale modernizacyjnym. Modernizacji wymagały przede wszystkim starsze egzemplarze, typu 2 A4, których Polska zakupiła 142 sztuki. Dostawcę technologii – Polską Grupę Zbrojeniową – wybrano w grudniu

Ze 142 leopardów 2 A4 do tej pory zmodernizowano zaledwie kilkanaście. Na defiladę wystarczy.

2015 r. Do końca 2020 r. wojsko miało otrzymać 128 przebudowanych do standardu 2PL czołgów, kolejne 14, w ramach tzw. opcji, trafiłoby do jednostek w 2021 r. Umowa z PGZ – zdominowaną przez menedżerów „dobrej zmiany” – opiewała na kwotę 2,4 mld zł. Po pięciu kolejnych aneksach wzrosła o 900 mln zł, a oficjalny czas realizacji kontraktu wydłużył się o dwa lata, głównie za sprawą niedoszonych kosztów i problemów we współpracy z niemieckim kooperantem. Do końca minionego roku PGZ przekazała armii... 12 leopardów 2PL, w bieżącym będzie to 18 maszyn. Na realizację całości zobowiązania w ciągu najbliższych trzech lat nie ma szans – wojsko dostanie ostatnie 2PL w 2025 r., co oznacza, że modernizacja zaplanowana na pięć lat potrwa dekadę.

Odwód symboliczny

Co więcej, zwracane armii leopardy, mimo istotnych zmian *in plus* – wzmocnieniu pancerza, modyfikacji armaty i zastosowaniu nowoczesnych przyrządów optoelektronicznych – nadal mają przestarzałe radia. Dopiero kilka dni temu Inspektorat Uzbrojenia poinformował o zakończeniu prac analitycznych w sprawie łączności dla wozów leopard 2PL, co daje nadzieję na nieodległy zakup i montaż nowych radiostacji. Tym sposobem dopiero co zmodernizowane wozy zostaną poddane kolejnej modernizacji. Już samo wyobrażenie ponownego oddania przemysłowi kilkudziesięciu maszyn jeży włos na głowach wojskowych. Przed pięciu laty 10. Brygada Kawalerii Pancernej przekazała wykonawcy kontraktu połowę swoich 128 czołgów. Zamiast wracać systematycznie do linii, rozmontowane wozy stały w halach fabrycznych Bumaru, a ich brak dezorganizował proces szkolenia jednego z najważniejszych związków taktycznych WP.

Oberwała wówczas cała 11. Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej, której 10. BKPanc jest częścią. Przewidziana jako odwód, z przeznaczeniem do wykonania kontruderzenia, „jedenasta” miała wszystkie leopardy należące do

WP. Ponad setka najnowszych leopardów 2 A5 jeździła w barwach 34. Brygady Kawalerii Pancernej. Wchodzącą w skład dywizji 17. Wielkopolską Brygadę Zmechanizowaną wyposażono z kolei w transportery Rosomak. Siła ognia i mobilność tych trzech brygad czyniła z 11 LDKPanc potężny związek taktyczny, jeden z najsilniejszych w Europie. Aż pojawił się Antoni Macierewicz i jego koncepcja przesunięcia najlepszych polskich czołgów na wschód. I tak połowa wozów 34 BKPanc trafiła pod Warszawę, do stacjonującej w Wesolej 1. Warszawskiej Brygady Pancernej. Z dała od tworzonych przez kilkanaście lat zaplecza logistycznego i szkoleniowego. Dość powiedzieć, że dopiero teraz – po czterech latach –

Z 750 czołgów posiadanych przez naszą armię tylko 249 to pojazdy względnie nowoczesne.

ukończono w Wesolej budowę garaży dla leopardów. Na otarcie łez pancerniacy z 34 BKPanc otrzymali zdezelowane T-72. Dotychczasowy potencjał 11 LDKPanc został rozwodniony, a jej odwodowy charakter stał się w dużej mierze symboliczny.

Pudrowanie zamiast modernizacji

Do innej symboliki, również związanej z leciwymi „teciakami”, odwoływał się w lipcu 2019 r. Mateusz Morawiecki. Ogłaszając wówczas z pompą program modyfikacji czołgów T-72, mówił o „historycznej chwili”. – Mamy do czynienia z kolejnym milowym krokiem do odbudowy potencjału polskiej armii – zapewniał premier. Specjaliści zanosili się śmiechem, choć był to śmiech przez łzy. Owym milowym krokiem ma być bowiem – poza remontami silników (bądź wymianą na nowe, ale gorsze, wyprodukowane w Bośni) i odmalowaniem kadłubów – wymiana części przyrządów celowniczych, nawigacyjnych i obserwacyjnych, a także zainstalowanie łączności cyfrowej (tu rzecz warta podkreślenia – lepszej niż w 2PL). Wszystko za 1,75 mld zł, co wedle zapewnień rządu pozwoli na objęcie pracami 300 czołgów (*de facto* będzie ich o kilkadziesiąt mniej). Ostatnie zmodyfikowane T-72 (warto zwrócić uwagę, że PGZ i wojsko nie

używa określenia „modernizacja”) trafią do jednostek w 2025 r. W tym przypadku harmonogram dostaw raczej nie zostanie zakłócony – zakres prac nie jest tak rozległy, jak w przypadku leopardów, no i Bumar pracuje na „swoich” czołgach, wyprodukowanych w tej fabryce.

Inna kwestia to sensowność projektu. Gen. Waldemar Skrzypczak, pancerniak i były dowódca Wojsk Łądowych, przytoczył w tym kontekście słowa swojego nieżyjącego następcy, gen. broni Tadeusza Buka, nazywając modyfikację T-72 „pudrowaniem g...”. Bartłomiej Kucharski, ekspert w zakresie broni pancernej, dziennikarz magazynu „Wojsko i Technika” twierdzi, że dużo lepszym rozwiązaniem byłaby głęboka modernizacja wozów.

– Rosjanie robią to z powodzeniem, czyniąc z „nowych” T-72 bardzo niebezpieczną broń – przekonuje. – Niestety, mówimy tu o kosztownych zabiegach, takich jak wymiana armaty, silnika, zastosowanie nowoczesnego systemu kierowania ogniem i uzupełnienie nowej amunicji. A to tylko „najgrubsze” kwestie – zastrzega. Przy tak rozumianej modernizacji 1,75 mld zł wystarczyłoby na przebudowę kilkudziesięciu egzemplarzy, no i wymagałoby współpracy zagranicznej. Polski przemysł nie dorobił się własnej armaty czołgowej – te zastosowane w rodzimych T-72 pochodzą ze Słowacji – tymczasem kontrakt na modyfikację „teciaków” spełnia też rolę kroplówki dla podupadłego giganta, jakim jest PGZ.

Logistyczny horror

Co dalej? Polska potrzebuje od 600 do 800 nowoczesnych czołgów, by móc liczyć na skuteczność potencjału odstraszania. Optymiści są zdania, że z tym, co mamy, dociągniemy jakoś do połowy następnej dekady, kiedy na scenę wkroczą wozy kolejnej generacji. Pesymiści zwracają uwagę na lata zaniedbań i niepewność geopolityczną, za sprawą której znacznie łatwiej dziś o konflikt z Rosją. Jedni i drudzy nie mają wątpliwości, że polski przemysł zbrojeniowy nie jest ▶

► w stanie samodzielnie zapewnić armii odpowiedniej konstrukcji. Dlatego należy niezwłocznie podjąć współpracę z zagranicą. Pomysłów jest kilka, ale już wiadomo, że niektóre nie wejdą w fazę realizacji. Przy pracach nad wspólnym czołgiem przyszłości nie chcą nas Niemcy i Francuzi. Ale zachęty płyną z Włoch i Hiszpanii – Polska w końcu, jakkolwiek przespała ostatnie dwie dekady, ma spore tradycje w produkcji broni pancernej. Własny produkt – czołg K2 – oferują nam Koreańczycy, deklarując zarazem chęć współpracy nad platformą kolejnej generacji. W MON rozważa się też zakup nowych leopardów – taką drogę wybrali niedawno Węgrzy. Jednak, jak wynika z nieoficjalnych informacji, coraz większą popularnością cieszy się opcja amerykańska.

Chodzi o czołgi M1 Abrams, od 40 lat podstawowe maszyny US Army. „Używki”, nowych bowiem Amerykanie już nie produkują. Wbrew pozorom to żaden złom, a wyciągnięte z magazynu skorupy poddane rozległej renowacji i zmodernizowane do poziomu, który czyni abrams

jedną z najgroźniejszych broni świata. Gdzie więc tkwi haczyk? Amerykańskich kolosów nie da się w nieskończoność ulepszać, więc za kilkanaście lat mogą nie sprostać nowym rodzajom wozów. Polacy mogą zapomnieć o produkcji licencyjnej, nawet wybranych elementów – Amerykanie

Zaplanowana na pięć lat modernizacja leopardów 2 A4 potrwa dekadę.

nie zwykli dzielić się tajemnicami. Korzyści dla przemysłu będą więc zerowe (ewentualnie niewielkie), nakłady zaś – dla budżetu MON – gigantyczne, zwłaszcza że najbliższe centrum serwisowe znajduje się... za oceanem. Dodajmy do tego koszt jednostkowy (ok. 12,5 mln dol.) i potężne zużycie paliwa (150 l na 10 km). A to nie wszystko. – Abramsy mają krótką armatę, która dobrze współpracuje z amunicją uranową. Ale Amerykanie nikomu jej nie sprzedają – zauważa Kucharski. – Zagraniczni kupcy mogą liczyć na pociski wolframowe.

Ich skuteczność jest o kilkanaście procent niższa, bo wolfram lubi prędkość, a więc i długą lufę. No i jest jeszcze kwestia wagi M1, która w nowych wersjach przekracza 72 tony. Taką nośność ma tylko kilkanaście procent mostów w Polsce, a w północno-wschodniej części kraju, na najbardziej prawdopodobnym obszarze działań, jest ich bardzo mało.

Abramsy w WP to logistyczny horror także z innego powodu – budżet jest w fatalnym stanie, między bajki można więc włożyć pomysły o kupnie dużej liczby czołgów. W efekcie mielibyśmy do czynienia z jednoczesną eksploatacją wozów kilku standardów – poradzieckich T-72, ich ulepszonej w latach 90. wersji PT-91, niemieckich leopardów 2 A5, spolonizowanych 2PL i amerykańskich M1. Jak to wszystko scalić w jeden sprawnie funkcjonujący system? Nad tym polityczni patroni wojska pewnie się nie zastanawiają. Dla nich liczy się efektowna fotka na tle potężnej maszyny.

Marcin Ogódowski



1901

2021

Schumann Bruch

2020 / 2021
Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

**Filharmonia
Narodowa**

Organizator



23/24.04

**Orkiestra
Filharmonii Narodowej**
Jacek Kaspszyk – dyrygent
Adrian Janda – klarnet
Marzena Hodyr – altówka

Schumann
Uwertura *Manfred* op. 115
II Symfonia C-dur op. 61

Bruch
Koncert podwójny e-moll na klarnet,
altówkę i orkiestrę op. 88

Na koncerty zaprasza
Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej


Polska Grupa Energetyczna

filharmonia.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Polityka wschodnia

Pzed sześcioma laty w Mińsku, z inicjatywy Francji i Niemiec, udało się zamrozić konflikt na Ukrainie Wschodniej. Właśnie – nie rozwiązać, nie zlikwidować, ale jedynie zamrozić. Od tego czasu nie zrobiono nic lub co najwyżej zrobiono bardzo niewiele, by zbliżyć się do rozwiązania problemu. Nie dopilnowano nawet, by ustalenia z Mińska, te zamrażające, zrealizować. Nie pali się do tego ani Rosja, ani Ukraina. Ale tego zamrożonego (choć – jak się okazuje – nie do końca) konfliktu tak po prostu przeczekać się nie da. Z tego musi coś wyniknąć. Obawiam się, że coś bardzo niedobrego.

Ostatnio Rosja zaczyna przy granicy z Ukrainą demonstrować siłę. Jakies przegrupowania wojsk już tam stacjonujących, jakieś dosyłanie nowych. Towarzyszą temu ruchy floty rosyjskiej, przerzucanie okrętów z Bałtyku na Morze Czarne, a z Morza Kaspijskiego na Azowskie. Po co ta demonstracja? Czy rzeczywiście Rosja przygotowuje nową agresję? Być może chce tylko zademonstrować swoją siłę i gotowość jej użycia. Ukraiński potencjał wojskowy, a nawet demograficzny, jest znacznie mniejszy. Ukraina, nawet dozbrojona przez Zachód, jest zbyt słaba, by zbrojnie przeciwstawić się Rosji. Wiedzą to wszyscy, przede wszystkim wie to Ukraina. Wie nader dobrze Zachód. I co? Ano nic. Czy Zachód w razie czego zaryzykuje wojnę z Rosją w obronie Ukrainy? Oczywiście, że nie. Wie to Zachód i wie to Rosja. I chyba wie Ukraina.

Rzecz jasna, napięcie na linii Ukraina-Rosja inaczej odczuwają Stany Zjednoczone, inaczej Polska. Stany inaczej, bo nie dość, że to daleko od ich granic, to jeszcze z jednej strony dobrze, że Rosja ma jeden kłopot więcej, a z drugiej można na Ukrainę sprzedać nieco sprzętu wojskowego. Nikt chyba nie wierzy, że to uzbrojenie Ukrainie pomoże rozstrzygnąć konflikt na swoją korzyść, ale przynajmniej amerykański producent broni trochę zarobi. Niech więc sobie ten konflikt, zamrożony czy lekko rozmrożony, trwa jak najdłużej. Jeżeli nawet wybuchnie z nową siłą, to z dala od USA.

Ale nas od Ukrainy nie dzieli ocean i pół kontynentu. Ukrainę mamy tuż za granicą. Nasze interesy są tam inne niż amerykańskie. Byłoby dobrze, gdybyśmy prowadzili jakąś własną politykę wschodnią, najlepiej zharmonizowaną z polityką Unii Europejskiej. W naszym i europejskim interesie jest, aby Kijów jakoś dogadał się z Moskwą. Najlepiej przy udziale Unii Europejskiej jako mediatora. Inne możliwe wyjścia są tylko dwa: konflikt

zbrojny ukraińsko-rosyjski i podział Ukrainy wedle rosyjskiego uznania albo globalny konflikt zbrojny w obronie Ukrainy, na który nikt się nie zdecyduje. Jeśli więc Kijów z Moskwą się nie dogadają, pozostaje militarny dyktat Rosji. Zachód się oburzy jeszcze bardziej, niż dotąd był oburzony, uchwali nowe sankcje, my oprócz jąbłęk przestaniemy do Rosji eksportować jeszcze gruszki i śliwki, prezydent Duda zrobi najgroźniejszą z zestawu swoich min, a w imieniu opozycji pięknie przemówi poseł Kowal, znany jako pomysłodawca królewskich pogrzebów. W tajemnicy przed obcymi wywiadami, nocą żołnierze obrony terytorialnej drutem obwiążą swoje rozpadające się karabinki Grot i za pomocą chińskich kompasów ustalą, gdzie jest wschód.

Tyle możemy zdziałać w polityce wschodniej *à la* PiS.

Nawet gdy Łukaszenka zamyka nam dziennikarzy i działaczy Związku Polaków na Białorusi, wyrzuca dyplomatów i mówi, że „da nam po mordzie”, jedyne, co potrafimy zrobić, to poskarżyć się... Joemu Bidenowi.

W naszym i europejskim interesie jest, aby Kijów jakoś dogadał się z Moskwą. Najlepiej przy udziale Unii Europejskiej jako mediatora.

A swoją drogą kto podpuścił działaczy ZPB, by uprawiali na Białorusi polską politykę historyczną, w szczególności obchodzili dzień „żołnierzy wyklętych”? Ten, kto podpuścił (i stale podpuszcza!), czuje, że dobrze spełnił patriotyczny obowiązek. Bardzo dobrze. Tym bardziej że na cudzą odpowiedzialność. Naprawdę nie można było się spodziewać, jak białoruski satrapa i jego reżim zareaguje na takie obchody? No ale na naszą prośbę teraz Joe Biden mu pokaże!

Z Rosją stosunki mamy jak najgorsze. W stosunkach z Ukrainą też nie przyszłość, ale przeszłość okazała się najważniejsza, teraz jeszcze Łukaszenka nam wygraża...

W Unii Europejskiej pozycję mamy żadną i proporcjonalny do tej pozycji wpływ na jej politykę wschodnią.

Tylko Joe Biden nam został. Przynajmniej mamy komu się poskarżyć.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Obywatelka kontratakuje

Bydgoski sąd orzekł, że policja ma prawo legitymować obywatela, tylko gdy ten robi coś złego. W przeciwnym razie to nadużywanie władzy

Małgorzata Szczepańska-Piszc

30 grudnia zeszłego roku, tuż przed godz. 13, Ilona Michalak, inżynier budownictwa po pięćdziesiątce, wyszła ze swojego biura projektowego przy ul. Długiej w Bydgoszczy i poszła na pobliski Stary Rynek, żeby przyłączyć się do akcji „Stop zastraszaniu obywateli”. Ludzie, którzy zetknęli się z policjantami nadużywającymi władzy na manifestacjach ulicznych, mieli tam podpisywać list protestacyjny. Bydgoszczanka nie zapomniała o włożeniu maseczki. Wzięła też karton po pizzy, na którym wymalowała dwa hasła: „Solidarni z sędziami” i „Stop represjom politycznym”. Na Rynku stanęła trochę z boku, od najbliższych ludzi dzieliła ją jakieś 40 m.

– Nie jestem urodzoną buntowniczką, przeciwnie, raczej osobą ugodową – ocenia pani Ilona. – Ale tylko do jakiejś granicy, po przekroczeniu której zaczyna rosnąć mój upór i sprzeciw. Tak było w grudniu 2015 r., gdy uznałam, że nie mogę siedzieć dłużej w domu, bo władza poszła za daleko, atakując Trybunał Konstytucyjny. I wyszłam pierwszy raz w życiu na ulicę demonstrować sprzeciw. Potem był Czarny Marsz w 2016 r. i od tamtego czasu publicznie protestuję coraz częściej. Bo władza daje mi sporo powodów do buntu.

Czasem Ilona Michalak manifestuje samotnie. Kiedyś stała w pojedynkę przed bydgoskim sądem, z zapalonym zniczem, w obronie sędziów. Wtedy podjechali policjanci i spisali ją – po raz pierwszy w życiu. Pytali, co robi i jak długo chce jeszcze protestować. Odpowiedziała, że ok. 20 minut, bo musi zdążyć do pracy. Machnęła ręką i odjechali. – Nie czuję się aktywistką. Nawet nie lubię tego słowa. Czuję się zwykłym, wkurzonym obywatelem.

30 grudnia na Starym Rynku niemal od razu wzbudziła zainteresowanie pary umundurowanych policjantów, kobiety i mężczyzny. – Podeszli bardzo blisko, na odległość może metra, oznajmili, że popełniam wykroczenie, bo jestem na nielegalnym zgromadzeniu, i zażądali okazania dowodu osobistego – wspomina pani Ilona. – Odpowiedziałam, że przecież tu nie ma zgromadzenia, bo stoję samotnie z dala od innych.

Odebrali mi telefon, obszukali, zastanawiali się głośno, czy założyć mi kajdanki.

Co najwyżej to oni, podchodząc do mnie, zaczęli tworzyć jakieś zgromadzenie. Mam również założoną maseczkę. A do manifestowania swoich poglądów mam konstytucyjne prawo. Gdy podeszli jeszcze bliżej, zaczęłam spokojnie, ale stanowczo i głośno mówić: „Proszę się do mnie nie zbliżać. Jest epidemia, trzeba zachować dystans”. „Ale pani musi się wylegitymować”, nalegali. W pewnym momencie doszło jeszcze czterech policjantów, zaczęli mnie otaczać. Wycofywałam się, krzycząc, że to nękanie, przeciw któremu właśnie protestuję. Przechodnie i dziennikarze zaczęli się nami interesować. Ktoś filmował zajście. Inny człowiek zaczął krzyczeć: „Nie macie prawa jej legitymować!”. I policjanci odpuścili. Odchodząc, jeden z nich rzucił: „Tą panią zajmiemy się później”.

I spełnili swoją groźbę półtorej godziny później. Wtedy Ilona Michalak wracała do biura. Gdy podeszła do kamienicy, kątem oka dostrzegła dwa radiowozy. – Zdążyłam wystukać kod na domofonie i wejść do kamienicy, ale wtedy z wozu policyjnego wyskoczyła policjantka. Włożyła

nogę między futrynę a zamykające się drzwi. Za chwilę wpuściła do środka kolejnych czterech policjantów. Szósty stanął pod drzwiami na zewnątrz. Otoczyli mnie w ciasnym korytarzyku. Nie pozwolili wejść do biura ani wyjść na zewnątrz. Bałam się. I to bardzo. Żadnych świadków i sześciu przeciwko mnie jednej. Jakbym była groźnym przestępcą. Znowu zażądali wylegitymowania się, „bo brała pani udział w nielegalnym zgromadzeniu i popełniła pani wykroczenie”. Albo żebym chociaż podała PESEL. Ponownie odmówiłam, bo nie popełniłam żadnego wykroczenia. A oni, że wobec tego muszą mnie zatrzymać i pojedziemy na posterunek policji. Odebrali mi telefon i karton po pizzy. Obszukali. Zastanawiali się głośno, czy założyć mi kajdanki. Kazali opróżnić torebkę. Wyjmując dowód osobisty, podałam im go, bo czułam się coraz bardziej zagrożona. Spisali dane, ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Policjanci zawieźli panią Ilonę na posterunek na bydgoskim Szwe-derowie. I tam – zanim ją wypuścili – przez bite dwie godziny pięciu funkcjonariuszy wypełniło wiele

Funkcjonariusze narazili mnie i pośrednio moją rodzinę na ryzyko zakażenia COVID-19.

formularzy towarzyszących zatrzymaniu. Jednym z nich było zawiadomienie do prokuratury o popełnieniu przestępstwa. Powołali się na art. 65 Kodeksu wykroczeń par. 2, który mówi, że (...) „kto wbrew obowiązкови nie udziela właściwemu organowi państwowemu lub instytucji, upoważnionej z mocy ustawy do legitymowania, wiadomości lub dokumentów (...), podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny”.

3 marca br. sprawa znalazła się na wokandzie bydgoskiego sądu rejonowego. Jednak sędzia Maciej Stpi-czyński odmówił wszczęcia postępowania, bo, jak stwierdził, „czyny [Ilony Michalak] nie stanowią wykroczenia – z akt sprawy nie wynika bowiem, żeby przeprowadzona przez funkcjonariuszy czynność legitymowania obwinionej była uzasadniona okolicznościami zdarzenia”. Sędzia wskazał także, że „policjanci mają prawo legitymowania osób w celu ustalenia ich tożsamości jedynie w przypadku rozpoznania, zapobiegania i wykrywania przestępstw, przestępstw skarbowych i wykroczeń, poszukiwania osób ukrywających się przed organami ścigania lub wymiaru sprawiedliwości lub poszukiwania osób, które na skutek wystąpienia zdarzenia uniemożliwiającego ustalenie miejsca ich pobytu należy odnaleźć w celu zapewnienia ochrony ich życia, zdrowia lub wolności”. Bydgoski sędzia uznał, że „obwiniona nie stwarzała żadnego zagrożenia dla porządku prawnego. Brak również podstaw do przyjęcia, że przyczyną podjętej wobec niej czynności legitymowania było podejrzenie popełnienia przestępstwa lub wykroczenia albo że obwiniona była osobą poszukiwaną”.

Dziesięć bydgoskiej okręgowej rady adwokackiej Michał Bukowiński nie ma wątpliwości, że to bardzo ważny wyrok, bo – tłumaczył na łamach lokalnej prasy – sąd zakwestionował powszechny zwyczaj policjantów legitymowania obywateli, gdy tylko przyjdzie na to ochota.

Ilona Michalak: – Sąd stwierdził to, o czym policjanci doskonale wiedzą i wiedzieli od dawna. Wolą jednak słuchać przełożonych, a nie obowiązującego prawa. I nic się nie zmieni, dopóki mundurowi bezpośrednio na swojej skórze nie odczują, że robią źle. Dlatego tym razem to ja poszłam do prokuratury. I wiem, że nie jestem pierwsza.

5 marca złożyła w Prokuraturze Rejonowej Bydgoszcz-Południe zawiadomienie o podejrzeniu



popełnienia przez pięciu funkcjonariuszy komisariatu Szwederowo przestępstwa z art. 231 kk. Czyli skarży ich o nadużycie władzy. Art. 231 par. 1 mówi bowiem, że „funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. A już 5 stycznia br. w bydgoskim sądzie rejonowym złożyła zażalenie na zatrzymanie. – Bo co tu dużo ukrywać. To zatrzymanie było jak napad. Policjanci wyraźnie chcieli mnie zastraszyć. Nie reagowali na moje argumenty. Wiele dni po zatrzymaniu złapałam się na tym, że idąc ulicą, oglądam się za siebie i sprawdzam, czy mnie ktoś nie śledzi.

Bydgoszczanka powołała się na art. 246 kk mówiący, że „funkcjonariusz publiczny lub ten, który działając na jego polecenie w celu

– Czuję się zwykłym, wkurzonym obywatelem
– mówi Ilona Michalak.

uzyskania określonych zeznań, wyjaśnień, informacji lub oświadczenia, stosuje przemoc, groźbę bezprawną lub w inny sposób znęca się fizycznie lub psychicznie nad inną osobą, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”.

– Zatrzymaniu zarzucam nielegalność, bezzasadność i nieprawidłowość – wylicza Ilona Michalak. – W zażaleniu napisałam, że uważam moje zatrzymanie za nieprawidłowe, ponieważ zatrzymujący funkcjonariusze nie podali mi swoich danych i numerów

To zatrzymanie było jak napad. Policjanci wyraźnie chcieli mnie zastraszyć.

służbowych, nie poinformowali mnie o przysługujących mi prawach i obowiązkach. W czasie swoich czynności zastosowali środki nastawione na zastraszenie mnie i wywołanie uczucia zagrożenia.

Pozbawili mnie wolności podczas legitymowania, tarasując drzwi i uniemożliwiając wyjście na zewnątrz, żebym miała świadków. Dokumenty z zatrzymania, które przedstawiono mi do podpisania, były nieczytelne. Funkcjonariusze narazili mnie i pośrednio moją rodzinę na ryzyko zakażenia niebezpieczną chorobą COVID-19 przez niezachowanie zasad dystansu społecznego i dezynfekcji w czasie legitymowania i zatrzymania na klatce schodowej mojego biura oraz w czasie przeprowadzania czynności na KP Szwederowo, nie reagowali na moje uwagi na ten temat. Powyższe czynności odebrałam jako represję. Dlatego zażądałam pociągnięcia do odpowiedzialności karnej zatrzymujących mnie funkcjonariuszy.

Następny ruch należy do prokuratury i sądu.

m.piszczy@tygodnikprzeglad.pl

Pasztet po „Gazecie Polskiej”

Jak podlaska policja ujawniła Piotrowi Nisztorowi dane o zdrowiu funkcjonariusza

Arkadiusz Panasiuk

Wojciech Fiłonowicz, były funkcjonariusz z policyjnego „dołka” Komendy Miejskiej Policji w Białymstoku, wygrał właśnie proces z Komendą Wojewódzką Policji w tym mieście. 29 marca I Wydział Cywilny Sądu Okręgowego w Białymstoku wydał wyrok w sprawie o ochronę dóbr osobistych i zasądził na rzecz Fiłonowicza 20 tys. zł od komendanta wojewódzkiego policji w Białymstoku. Wyrok jest jeszcze nieprawomocny.

To na adres mejlowy Piotra Nisztor z „Gazety Polskiej” z konta służbowego rzecznika komendy, podinsp. (wtedy nadkom.) Tomasza Krupy trafiło bardzo obszerne *dossier* Fiłonowicza, m.in. z informacjami, na co i u kogo sierżant sztabowy się leczył. Czołowe pióro Tomasza Sakiewicza część tych danych wykorzystało potem w publikacji, za którą pisowski tygodnik również musi Fiłonowicza przeprosić i przełać na jego konto 10 tys. zł. To konsekwencje wyroku w sprawie, którą był policjant wytoczył także Nisztorowi i „Gazecie Polskiej”.

Zachowanie rzecznika prasowego podlaskiego garnizonu policji dowodzi albo zadziwiającej niekompetencji podinsp. Krupy, albo tego, że nie miał on innego wyjścia i skwapliwie wykonywał rozkazy swoich bezpośrednich zwierzchników. Najważniejszym z nich był wówczas nadinsp. Daniel Kołnierowicz, szef podlaskiego garnizonu i zaufany Jarosława Zielińskiego, suwalskiego barona PiS i byłego wiceministra spraw wewnętrznych i administracji.

PRZEGLĄD próbował dociec motywacji podinsp. Krupy, ale bezskutecznie. Otrzymaliśmy tylko

zdwadkowaną odpowiedź: – Udzielić nie odpowiem (Piotrowi Nisztorowi – przyp. AP) nastąpiło w związku z pytaniami przesłanymi przez dziennikarza.

Pracuję w zawodzie o wiele dłużej niż Piotr Nisztor, ale nie pamiętam, żebym od jakiegokolwiek rzecznika prasowego, a zwłaszcza ze służb mundurowych, otrzymał kiedykolwiek tak obszerne i szczegółowe wrażliwe dane. Nadgorliwość



Norbert Kościesza, Wojciech Fiłonowicz i Dawid Romaniuk na konferencji prasowej z posłanką PO Bożeną Kamińską.

służb informacyjnych ówczesnych zwierzchników białostockiej komendy musi mieć drugie dno i nietrudno je dostrzec.

„Tajemnice Trójki z Białegostoku. Zwolnienia od seksuologa, psychiatry, ortopedy i wnioski o nagrody” to tytuł tekstu z maja 2019 r. opublikowanego w „Gazecie Polskiej”. Już w samym tytule zawarte są pomówienia, np. o L4 od seksuologa. Ale publikacja Nisztor ośmiesza jąca Wojciecha Fiłonowicza i jego dwóch kolegów z „dołka”, Norberta Kościeszę i Dawida Romaniuka, nigdy by pewnie nie powstała, gdyby nie fakt, że ta trójka policjantów z otwartą przytłbicą występowała w tamtym czasie na konferencjach prasowych posłanki PO Bożeny Kamińskiej, która w poprzedniej kadencji Sejmu ujawniała na konkretnych

przykładach bałagan i niekompetencję panujące w policji za rządów Jarosława Zielińskiego w resorcie spraw wewnętrznych.

Rok wcześniej ci policjanci stali się bohaterami reportażu TVN o fatalnych warunkach sanitarnych panujących na „dołku”, czyli w pomieszczeniu dla osób zatrzymanych, w KMP w Białymstoku. A kiedy prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie, mimo że w jego trakcie potwierdzono liczne nieprawidłowości, los funkcjonariuszy był właściwie przesądzony. Jeden po drugim otrzymywali więc dyscyplinarki, by po krótkim czasie wylecieć ze służby.

– Moje problemy w pracy zaczęły się jeszcze w 2012 r., gdy postulowałem, aby zrezygnować z niezgodnych z prawem wspólnych patroli policji ze Strażą Miejską w Białymstoku. W 2013 r. MSWiA uznało moje spostrzeżenia i nakazało zrezygnować z tych patroli. Wtedy usłyszałem na komendzie, że nie dopracuję do emerytury. To „Kołnier”, jako ówczesny wiceszef komendy miejskiej w Białymstoku, był pomysłodawcą tych patroli – wspomina Fiłonowicz. „Kołnier”, to funkcjonujący w środowisku podlaskich funkcjonariuszy policji pseudonim nadinsp. Daniela Kołnierowicza.

Pasztet z „Gazetą Polską” będzie musiał teraz skonsultować nadinsp. Robert Szewc, obecny szef podlaskiej komendy. Tymczasem Daniel Kołnierowicz od niedawna cieszy się nową synekurą – po roku od przejścia na sutą, generalską emeryturę został samodzielny specjalistą w zespole ds. obronności i ochrony mienia Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku. W myśl zasady, jak mówią policjanci, że „grube psy, jak koty, zawsze spadają na cztery łapy”.

Fiłonowicza wyrzucono ze służby półtora roku przed emeryturą. W tej chwili pracuje jako psycholog w jednym z białostockich szpitali.

Do procesu w tej samej sprawie szykuje się Norbert Kościesza. – Wygrana Wojtki dodaje odwagi – mówi Kościesza, obecnie dziennikarz i literat, tak samo jak Fiłonowicz bez prawa do policyjnej emerytury. ■



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Człowiek roku jak co roku

Nie ma co wylewać łez nad decyzją trybunału Przyłębskiej w sprawie Adama Bodnara, rzecznika praw obywatelskich – decyzja dotyczy zresztą bardziej niewygodnego Bodnara niż samej instytucji, o której wrogie przejęcie wciąż trwa walka. Bodnar utrudniał, przeszkadzał, zgodnie z konstytucyjnym umocowaniem dopytywał, żądał wyjaśnień, kierował sprawą do sądu – no opóźniał marsz, mącił, zawalidrogował. Nie po to przecież PiS powiesiło na wieszaku w trybunale Julię Przyłębską, a potem dorzuciło jej, jak kolejne strzelby u Czechowa, takie indywidua jak Piotrowicz i Pawłowicz, żeby z nich nie wystrzelić. No to wystrzelują. Święte prawo atrap, dublerów, parodystów. Udawać kogoś, kim się nie jest, i żądać nienależnego szacunku („Proszę się do nas zwracać Wysoki Trybunał, jak wtedy, kiedy był tu pan Rzepliński – pouczała Bodnara Przyłębska, której służalczość wejdzie do kanonu prawniczych uzurpacji i zostanie tam, jak wspomnienie o prokurator Bardonowej. Ale któżby pamiętał Bardonową – myśli sobie i marzy Przyłębska. I słusznie. Obie pójdą w zapomnienie, a co sobie pożyje teraz, to jej). Zostawmy rzecznika (akurat jego pięć lat pracy i zaangażowania zapisze się złotymi zgłoskami) i pokazówkową interwencję tzw. trybunału.

W tzw. równoległym świecie życie płynie po dawnemu. Tyle że w okolicach jednego z legendarnych brukowców prawnicy, „Gazety Polskiej”, nie krąży już dziennikarskie pióro i przenikliwy, analityczny umysł Doroty Kani. Została oddelegowana na inny front walki politycznej – do kierowania wszystkimi redakcjami gazet przejętych przez Orlen (choć chwilowo proceder został zastopowany przez sąd na wniosek, uwaga, to nie przypadek, rzecznika praw obywatelskich). Wprawdzie do tej pory autorka ta nie panowała nawet nad własnymi tekstami, ale to właśnie czyni ją doskonałą kandydatką do nadzoru nad setkami „przejętych” dziennikarzy. Przede wszystkim jednak „Gazeta Polska” świętuje, przyznając swoje coroczne tytuły. Nagradza, wyróżnia, zauważa, docenia, chwali i wielbi.

Człowiekiem Roku po raz nie wiadomo już który zostaje Jarosław Kaczyński. Dlaczego? Nie bardzo wiadomo. Prezes PiS, który w wyniku jednego z dziesiątek przesileń wewnątrz własnego obozu politycznego zarządzającego Polską mianował się wicepremierem od resortów siłowych i bezpieczeństwa. Jest jednak najbardziej zakonspirowanym premierem w historii nie tylko polskiej polityki – nikt nie wie, co robi, kiedy, jakie i dlaczego podejmuje decyzje, ba, nie bardzo wiadomo, czy w ogóle podejmuje jakieś decyzje związane z pełnioną i dobrze opłacaną funkcją. Premier widmo, premier tajny łamane przez utajnione. Ale co podpisuje, czym się kieruje, nad czym ślęczy nocami i kiedy się zrywa w okolicach południa – nie wie nikt z nas. Z nas – nie. Ale „Gazeta Polska” wie i nagradza. I dobrze.

Jaka gazeta, takie nagrody. Najważniejsze, że Jarosław Kaczyński też wie i prawdziwie się cieszy. „Nagroda, którą państwo przyznali w tym roku mnie właśnie, jest naprawdę wielkim zaszczytem, za który dziękuję. Jest wielkim zaszczytem dlatego, że właśnie to środowisko, te szturmowe bataliony, pułki Polski patriotycznej, niepodległej tę nagrodę przyznają. Jestem głęboko wdzięczny, zaszczycony i uważam tę chwilę za bardzo piękną w moim życiu. W życiu, w którym zdarzyły się tragedie, ale w którym przyszły także i sukcesy, które – mam nadzieję – będą kontynuowane”. Jakie „szturmowe bataliony, pułki Polski patriotycznej, niepodległej”??? O czym mówi premier niewidka? Niewidoczny premier widzi niewidoczne pułki? Może w równoległym świecie tak już jest. Choć chwilę dalej pojawia się przytomna refleksja wymieszana z patriotyczną nadzieją: „I nie chodzi tutaj już o mnie, tylko o tych, którzy zastąpią mnie w tej walce, która ciągle musi trwać, jeśli chcemy uzyskać to, co powinno być celem każdego polskiego patrioty. Silne – jak to mówił mój świętej pamięci brat – poważne polskie państwo”. Okazuje się, że premier w tym czasie, kiedy nie mamy zielonego pojęcia, co robi – walczy. Ale wie, że nie będzie walczył wiecznie, tak jak wiecznie będą mu przyznawane nagrody Człowieka Roku przez „Gazetę Polską”. Kiedy umrze, pojawi się zapewne kategoria Człowiek Roku od wieków i na zawsze.

Co się musi dzieć w tym świecie politycznym, kiedy Słońce Żoliborza mówi, że ktoś kiedyś go zastąpi.

Co się musi dzieć w tym świecie politycznym, kiedy Słońce Żoliborza mówi, że ktoś kiedyś go zastąpi? A zastępy gotowych do walki już stoją. Wskazuje je zresztą sama „Gazeta Polska”, wyróżniając, a jakże, nagrodą imienia Grzegorza I Wielkiego Julię Przyłębską. I mamy też wielkiego pogromcę covidu w Polsce. Nie, nie są to lekarze, lekarki, pielęgniarki, ratownicy medyczni, kierowcy karet, salowe (okazało się zresztą ostatnio, że Ministerstwo Zdrowia nawet nie wie, ile jest salowych w Polsce) tylko, wedle oczywistości „Gazety Polskiej” – nagrodzeni głównym tytułem Człowieka Roku „Gazety Polskiej” – żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej. Nie wymyślilibyście tego. A oni tak. To się nazywa ofensywa nieogłądająca się na nic i nigdy. To jest świat funkcjonujący obok, równoległy – i jak to z równoległymi – nigdy się nie przecina, nie spotyka się ze światem realnym, jest samowystarczalny i dumny. Jest alternatywą, która zarządza wyborem większości i wciąż nie widać, dlaczego i kiedy miałoby się to odmienić. Rządzi Polską fatamorgana, widmo, ukryte i zasłonięte. Człowiek Roku – ta fraza już nigdy nie zabrzmi na serio.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Redakcje jak partie polityczne

Skoro był zablokowany system partyjny, życie polityczne toczyło się wokół redakcji i kawiarni

Rozmawia Robert Walenciak

Gdyby wierzyć we współczesne opowieści o czasach Polski Ludowej, był to okres, w którym nie istniało życie polityczne, nie działo się nic poza tym, że PZPR realizowała rozkazy z Kremla, a społeczeństwo się buntowało.

– Polska Ludowa to ponad 40 lat i trzeba ten czas widzieć w sposób zniuansowany, należy go dzielić na różne etapy. Etap Polski bierutowskiej nie przystaje do tego, co było Polską gomułkowską, gierkowską czy lat 80. Jest dzisiaj manierą traktować cały ten okres 40 lat jako jedną wielką czarną dziurę. A jak się przyjrzeć trochę bliżej...

To jest barwny?

– Gdy pracowałem nad książką dotyczącą PZPR pod rządami Władysława Gomułki, to nawet dla mnie zaskakująca była paleta ówczesnie wydawanych czasopism, które odzwierciedlały wszystkie opcje i wszystkie orientacje ideowe, jakie można sobie wyobrazić. Drugie zaskoczenie – porównanie tamtych czasopism z dzisiejszymi. Dziś nawet najpoważniejsze tygodniki opinii można po kwadransie odczytać, po przeczytaniu wszystkiego, co w nich jest wartościowe. A wtedy...

No właśnie, jak było wtedy?

– Gdy je czytałem, potrafiłem godzinami siedzieć w bibliotece, zapominając o robieniu notatek, wgłębiałem się w recenzje, w reportaże. Świetne lektury, świetne pióra Hanny Krall, Józefa Kuśnierka, Janusza Rolickiego, Ryszarda Kapuścińskiego. Proszę sobie wyobrazić – w kraju ukazywało się kilkanaście tygodników, nie licząc miesięczników, bo to też była modna formuła. Pisma miały po kilka, kilkanaście szpalt dużego formatu, były masowo czytane, na ich łamach toczyło się bardzo prężne życie społeczne i kulturalne. A wnikliwy czytelnik mógł



**ZBIGNIEW
SIEMIĄTKOWSKI**

zauważyć, że pod spodem toczy się spór polityczny.

Od Machejka po PAX

Te pisma go artykułowały?

– Zaczniemy od lewej strony. Mieśliśmy w Krakowie „Życie Literackie”. Redaktorem naczelnym był Władysław Machejek. Partyzant AL z okresu II wojny światowej, piszący – niektórzy tak mówią – grafomańskie powieści dotyczące tego okresu. On też w zasadzie był autorem wstępniaków, bardzo pryncypialnych. A na następnych stronach toczyło się normalne życie kulturalne, pisali twórcy bardzo dalecy od oficjalnego życia politycznego. Na przykład jednym z najważniejszych piór „Życia Literackiego”

był Jan Józef Szczepański. Autor scenariuszy do „Westerplatte” i „Hubala”. Ten sam, który w roku 1980 był prezesem Związku Literatów Polskich, w stanie wojennym rozwiązanego. Ale pisali tam również Tadeusz Hołuj i całe środowisko krakowskiej Kuźnicy. Po przeciwnej stronie ideowej była prasa paksowska, narodowo-katolicka, jak byśmy dzisiaj określili.

Bolesława Piaseckiego.

– Ze sztandarowym tygodnikiem „Kierunki”, ze „Słowem Powszechnym” jako dziennikiem. We Wrocławiu ukazywał się „WTK”, czyli „Wrocławski Tygodnik Katolików”, gdzie pierwszymi piórami byli Aleksander Bocheński, Andrzej Micewski, Jan Dobraczyński. Jakby obok tego w Krakowie jest „Tygodnik Powszechny”. Jerzy Turowicz i cała plejada piór – Józefa Hennelowa, Krzysztof Kozłowski i Stefan Kisielewski, od którego felietonów rozpoczynano lekturę „Tygodnika”, kupowanego spod ludy. Jest też miesięcznik „Więź”, z Tadeuszem Mazowieckim, Andrzejem Wielowieyskim, Jerzym Zawieyskim, związany z warszawskim środowiskiem KIK, Klubów Inteligencji Katolickiej. Zarówno „Tygodnik Powszechny”, jak i „Więź” były w opozycji do prasy paksowskiej.

A jeśli chodzi o episkopat?

– To różnie, bo „Tygodnik” to była raczej orientacja Soboru Watykańskiego II.

„Polityka” z nieprawego łóża

Z kolei „Polityka” w założeniu miała być pismem gomułkowskim.

Dr hab. Zbigniew Siemiątkowski – adiunkt w Katedrze Bezpieczeństwa Wewnętrznego na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. W latach 1991-2005 poseł na Sejm, były minister spraw wewnętrznych, minister koordynator służb specjalnych, p.o. szef UOP, szef Agencji Wywiadu. Ważniejsze publikacje: „Wywiad a władza. Wywiad cywilny w systemie sprawowania władzy politycznej PRL”, „Między złudzeniem a rzeczywistością. Oblicze ideowe PZPR pod rządami Władysława Gomułki”, „Służby specjalne we współczesnym państwie”.

– Awangardowym pismem Października 1956 było „Po Prostu”, które w październiku 1957 r. rozwiązało. „Polityka” miała być antidotum na „Po Prostu”, miała propagować gomułkowski punkt widzenia, powstała, można rzec, z nieprawego łoża. Pierwszym jej naczelnym był Stefan Żółkiewski, zastępcą Mieczysław F. Rakowski, pierwszym piórem zaś Andrzej Werblan. Gdy Żółkiewski odszedł i naczelnym został Rakowski, szybko okazało się, że jest to czołowe pismo socjaldemokratyzujące.

A „Kultura”?

– W roku 1963 na tle konsolidacji zarządzanej przez Władysława Gomułkę (koniec z eksperymentowaniem, koniec, towarzysze, ze złudzeniami itd.) zostały zlikwidowane trzy redakcje: „Nowa Kultura”, „Przegląd Kulturalny” i „Świat”. „Nowa Kultura” to Wiktor Woroszyński, Aleksander Ścibor-Rylski, Andrzej Braun, Andrzej Mandalian, Tadeusz Konwicki...

Pryszczaci, którzy zostali rewizjonistami.

– A „Przegląd Kulturalny” to Jerzy Andrzejewski, Jerzy Putrament, Stanisław Dygat... W to miejsce powstaje „Kultura”, z Januszem Wilhelmim jako naczelnym. To postać ciekawa, były żołnierz Armii Krajowej, niezwiązany w żaden sposób z ruchem komunistycznym, który tak naprawdę był afiliowany przy kształtującym się w łonie PZPR obozie partyzantów, czyli tych odwołujących się do ideologii nacjonalistycznej i próbujących legitymizować rządy PZPR nie po linii demokratycznego socjalizmu, tylko nacjonalistycznej, z lekkim zwrotem w kierunku szowinizmu narodowego, antysowieckiego.

I antyelitaryzmu.

– Antyinteligencji. Z silną nutą antyniemiecką, antyukraińską.

Pis jak znalazł!

– Tam oczywiście będzie publikował Roman Bratny („Kolumbowie. Rocznik 20”), żołnierz Armii Krajowej. Ale bardem tego środowiska będzie Zbigniew Żafuski i jego „Siedem polskich grzechów głównych”. Debata, która się rozpętała po tej publikacji, jest dzisiaj nie do powtórzenia. Jeśli miałbym szukać jakichś analogii – tylko książka Grossa wywołała podobny rezonans społeczny. Wtedy huczało – od głosów krytyki, jak również zachwytu, że ktoś nareszcie powiedział prawdę, ktoś nareszcie

ujął się za tymi prostymi żołnierzami, w szynelach, którzy przyszli ze Wschodu. I że nie ma co czekać na Andersa na białym koniu, nie ma co zezować na Zachód, że nasze miejsce jest tu, gdzie jesteśmy.

Wszyscy są z PZPR

Czyli nie partia nadawała ton, a prasa go podchwytowała, tylko gazety próbowały narzucać różne, jak dzisiaj się mówi, narracje?

– Rakowski w latach 70. wygłosił w jakiejś debacie opinię, że skoro mamy zablokowany system partyjny, to życie polityczne toczy się wokół redakcji i kawiarni. I tak naprawdę każda z tych redakcji, którą wcześniej wymieniałem, była jakimś załącznikiem partii politycznej. A jak popatrzymy na to wszystko, co zdarzyło się po roku 1990, to budowanie polskiego spektrum politycznego, centrum, lewicy

Na łamach kilkunastu tygodników toczyło się bardzo żywe życie społeczne i kulturalne. Wnikliwy czytelnik mógł zauważyć, że pod spodem toczy się spór polityczny.

i prawicy, opierało się na ludziach związanych z którąś z tych redakcji.

A oni wszyscy byli w PZPR albo obok PZPR.

– Bardzo ciekawe byłoby przypomnienie niektórych nazwisk. Wielu by się zdziwiło, że ci ludzie byli w PZPR. A inni, tacy jak ja, poczuliby żal, że PZPR takich ludzi na różnych etapach swojej historii się pozbyła. Pierwsza fala tych, którzy odeszli, nastąpiła po Październiku, po rozwiązaniu „Po Prostu” i rozpędzeniu demonstracji studenckich w obronie tygodnika. Mamy rok 1957 i z partii odchodzą Jerzy Andrzejewski, Stanisław Dygat, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Jan Kott, Adam Ważyk, Juliusz Żuławski... Kolejna fala odejść nastąpiła po śmierci Henryka Hollanda i po wykluczeniu z partii Leszka Kołakowskiego oraz Krzysztofa Pomiana za wygłoszenie na Uniwersytecie Warszawskim referatu w 10. rocznicę Października, w którym oskarżono Władysława Gomułkę o odejście od ideałów polskiego Października. Odeszli wtedy Marian Brandys, jego brat Kazimierz, Jan Bocheński, legitymację rzucili Tadeusz Konwicki, a także Igor Newerly, Jerzy Pomianowski, Julian Strykowski.

Można ich było spotkać w kawiarni Czytelnika.

– W tamtym okresie możliwa była, tolerowana przez władze, opozycja kawiarniana. Ludzie, którzy spotykali się głównie w kawiarni Czytelnika, tam dyskutowali, jawnie kontestowali politykę prowadzoną przez Gomułkę, a potem, po okresie nadziei, Edwarda Gierka. Pisali na Zachodzie, przynosili później te publikowane przez siebie teksty i roznosili po znajomych. Rakowski w swoich dziennikach za każdym razem zaznacza, co od kogo dostał, co przeczytał, co ukazało się na Zachodzie.

Odchodzili też współpracownicy Gomułki.

– Władysław Bieńkowski! Komunista, członek konspiracyjnych władz PPR, naczelnny redaktor peeperskich pism podziemnych. To on w Październiku 1956 r. pojechał do Komańczy i przywiózł do Warszawy

internowanego Stefana Wyszyńskiego. Potem wszedł w spór z Gomułką i odszedł.

W 1959 r. odszedł ze stanowiska ministra oświaty w proteście przeciw usunięciu religii ze szkół. Uważał, że religia w szkole to najprostsza droga do ateizacji, i złościł się, że partia tego nie rozumie. Poza tym padł ofiarą intryg aparatu bezpieczeństwa.

– I tak zasilili szeregi kawiarnianej opozycji, z opinią polskiego Dżilasa. Jego praca wydana przez „Kulturę” Giedroycia, „Motory i hamulce socjalizmu”, była pogłębionym studium obrazującym patologię systemu. On w jego wadach systemowych, a nie w cechach osobistych przywódców, widział przyczynę kryzysu. Czytał to potem Władysław Gomułka, zgrzytał zębami, czytał Zenon Kliszko...

To chyba najwierniejszy współpracownik Gomułki.

– Żołnierz Armii Ludowej, uczestnik powstania warszawskiego. Wykształcony polonista, zakochany w Norwidzie. Jemu zawdzięczamy wznowienie i wydanie dzieł wszystkich Norwida. A z drugiej strony

- – dogmatyk. W końcu Bieńkowskiego w styczniu 1970 r. wykluczono z partii.

Biuro Polityczne dyskutowało godzinami

Jaki wpływ te książki, te dyskusje, miały na realne działania władzy?

– Było na nie przyzwolenie władzy. Gomułka uważał, że jest to sposób na kanalizowanie niepokoju politycznego.

A to się rozwijało.

– Początkowo partyjni rewizjoniści wierzyli, że droga do zmiany leży w reformie partii. Gdybyśmy popatrzyli chociażby na manifest Kuroń i Modzelewskiego, to samo jest u Bieńkowskiego, tam jeszcze jest wiara, że przez partię można dokonać zmian. Jak to ktoś wtedy obrazowo powiedział, droga do naprawy PZPR i PRL prowadzi przez PZPR. Nie ma bowiem zbawienia poza Kościołem. W roku 1968 drogi rewizjonistów partyjnych i partii się rozeszły. To nie był przypadek, że większość ludzi, których nazwiska wymieniłem, weszła wtedy w kręgi demokratycznej opozycji, przedkorowskiej, korowskiej, a potem solidarnościowej. Wielu z nich podpisało List 34, który wywołał wielkie poruszenie w opinii publicznej.

Napisano w nim, że ograniczenie papieru i postępująca cenzura stwarzają zagrożenie dla rozwoju kultury narodowej.

– Pomyślmy, że dziś ktoś organizuje takie wydarzenie, że 34 literatów

„Polityka” miała być antidotum na „Po Prostu”. Gdy naczelnym został Rakowski, okazało się, że to czołowe pismo socjaldemokratyzujące.

pisze do premiera, żeby zwiększył ilość papieru dla literatów i dla pism. I ludzie o tym mówią. To są rzeczy niewyobrażalne.

Dziś wicepremier i minister kultury obraża laureatkę Nagrody Nobla, a partyjni koledzy biją mu brawo.

– A wtedy nad tym listem w kręgach władzy dyskutowano godzinami. Biuro Polityczne potrafiło dyskutować nad artykułami opublikowanymi w „Polityce” czy w warszawskiej „Kulturze”. Był taki tekst napisany przez Krzysztofa Teodora Toeplitza w okolicy 1 maja 1956 r., w którym zakwestionował on robotniczy charakter PZPR.



Zespół „Polityki” z redaktorem naczelnym Mieczysławem Rakowskim, Warszawa, 1978 r.

Biuro Polityczne nad tym długo dyskutowało i nakazało Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej pociągnąć Toeplitza do odpowiedzialności i wykluczyć go z PZPR. Wtedy ktoś przytomny zauważył, że się nie da, bo KTT nie jest członkiem PZPR. Ten tekst ukazał się w „Nowej Kulturze”, która była już w tym czasie sztandarem rewizjonistów.

Który przejęła później, zupełnie niespodziewanie, „Polityka”.

– „Polityka” już w połowie lat 60. stanowiła dla technokratów partyjnych punkt odniesienia. A oni zaczęli

a potem dokładnie zrelacjonował prymasowi jej treść. Z taką samą konkluzją, jaką można znaleźć u Rakowskiego. Że Gierek to jest polityk przyszłości. I że to polityk, który będzie stawiał nie na pryncypia socjalistyczne, tylko na rodzinę, na tradycję, i w tym jest miejsce dla ludzi Kościoła.

Tak Gierek budował swoją pozycję.

– Miał przecież pełną świadomość, z kim rozmawia. Takie same umizgi, też do Rakowskiego, w domyśle – wykonując polecenie Edwarda Gierka, czynił Franciszek Szlachcic. Gdzieś od schyłku lat 60. Rakowski będzie często się z nim spotykał na gruncie prywatnym, bo mieli wspólną znajomą, więc u niej jadal kolacyjki. Bo w Polsce Ludowej kolejnym polem, na którym toczyła się polityka, były prywatne spotkania.

Rakowski opisywał je w dziennikach.

– Stanowiło to formę salonu. Takim był salon Artura Starewicza, osoby bardzo wpływowej. Rakowski u Starewicza bywał, byli zaprzyjaźnieni, i zbierał informacje zwrotne. Wiedząc, że to, co mówi, dotrze do Gomułki. A gdy mówił Starewicz, to wiedział, że to słowa Gomułki.

Kto umiał czytać między wierszami?

Czy normalny człowiek czytający tygodniki wyczuwał tę politykę, te gry? W którą stronę wieje wiatr?

– Normalny czytelnik chyba niczego nie wyczuwał. Bo dwie trzecie zawartości tych pism dotyczyło życia kulturalnego. Tak naprawdę czytać między wierszami potrafili ludzie z aktywu partyjnego. Dla nich to były cenne wskazówki.

Jaka to była grupa? Jak duża?

– Andrzej Werblan określił, że byli to starzy bywalcy konferencji i zjazdów, tacy, którzy zawsze się spotykali, od komitetów powiatowych po komitety wojewódzkie, plus Komitet Centralny. Nie więcej jak 10 tys. ludzi. Oni rozpoczynali dzień od przeczytania wstępniaka w „Trybunie Ludu”, a potem sięgali po inne pisma, w zależności od sympatii. Dlatego Władysław Kruczek, I sekretarz w Rzeszowie, zasypywał potem Gomułkę pytaniami: kiedy w końcu tego rewizjonistę Rakowskiego odwołacie, towarzyszu Wiesław?

Dlaczego w tym życiu wygrywali do roku 1968, a nawet 1970, partyzanci? Wygrywał nurt nacjonalistyczny, który spychał dawnych komunistów w kąt?

– Wygrywał, bo był najbliżej tego ducha, tej atmosfery, jaką żyła partia, masy członkowskie. A także jakaś część ludzi bezpartyjnych, którzy sympatyzowali z taką postawą, z hasłami antyelitarnymi, lekko antysemitkami, z hasłami o konieczności przewrżenia elit, z takim mruganiem do publiczności, że trzeba skończyć z rządami tych, którzy przyszli ze Wschodu, i postawić na tych, którzy tu, w kraju, przelewali krew, niezależnie od tego, w jakich formacjach partyzanckich służyli. To było bardzo skuteczne. W dziennikach Rakowskiego jest mnóstwo jego refleksji po spotkaniach partyjnych w tzw. terenie. Na przykład w moim rodzinnym Ciechanowie przyjechał do cegielni Krubin i wrócił załamany, bo okazało się, że *gros* pytań i komentarzy to były teksty antysemitki, w duchu czarnocinny. Ta partia była w swojej masie ludowa, z zaciągu ludowego. To była inteligencja pierwszego pokolenia, z awansu społecznego, o chłopskim pochodzeniu, i w dużym stopniu przeniosła urazy, stereotypy, które funkcjonowały w środowiskach, z których wyszła. I to dokładnie widać zarówno w publicystyce, jak i w rozmowach i na zebraniach partyjnych.

Mówiono tam otwartym tekstem?

– Kiedy Romana Zambrowskiego proponowano do kierownictwa PZPR, Wiktor Kłosiewicz mówił, że partia nie wytrzyma tego, że po dwóch kolejnych Żydach, Mincu i Bermanie, który odeszli, idzie tam kolejny Żyd. Ostro na te słowa zareagował inteligent z prawdziwego zdarzenia, Jerzy Putrament, który skończył Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, a przed wojną związany był z grupą Żagary, z komunizującą lewicą sanacyjną, z tej grupy wyszedł Czesław Miłosz. Jest

W Polsce Ludowej polem, na którym toczyła się polityka, były też prywatne spotkania.

ciekawa korespondencja między Putramentem a Miłoszem, dwoma kolegami z czasów wileńskich! I Stefan Jędrzychowski – z tej samej grupy. Te przyjaźnie czy inne relacje z dawnych lat pozostawały. I miały wpływ na życie społeczne i polityczne.

Najpierw busole, potem paprotki

Można więc powiedzieć, że polityka była tylko dla wtajemniczonych.

– Polityka zawsze jest dla wtajemniczonych. Zajmują się nią tylko profesjonaliści. I ci, którzy są tym zainteresowani. A dziś? Ile osób ogląda TVN 24? A ile TVP Info? To ograniczony krąg osób. A jeszcze mniej jest tych, którzy są zorientowani. A jak ktoś miałby wątpliwości, to proszę porównać oglądalność „M jak miłość” albo „Tańca z gwiazdami” z oglądalnością programów politycznych. Większość w czasach gomułkowskich zadawała się małą stabilizacją, ciepłą wodą w kranie, jak byśmy dziś powiedzieli.

Do czasu.

– Oczywiście, ta mała stabilizacja wychowała kadry młodych inżynierów, którzy chcieli modernizacji, których krępowały zakazy i nakazy, a te wszystkie dyrektywy partyjne irytowały. Oni wiedzieli, że to jest myślenie archaiczne. Tym bardziej że do roku 1971, czyli do VI Zjazdu, dwie trzecie delegatów, jak i potem członków KC, to były osoby, które miały za sobą staż w KPP bądź w KZMP albo w konspiracyjnej PPR. Dopiero później to się przełamało generacyjnie. Rozpoczął to Gomułka na IV Zjeździe w roku 1964. Wtedy do grona zastępców

członków KC weszła grupa kilkudziesięciu aktywistów pokolenia ZMP, Stanisław Kania, Edward Babiuch, Kazimierz Barcikowski, Franciszek Szlachcic, Jerzy Łukaszewicz, Alojzy Karkoszka, a także Wojciech Jaruzelski. W latach 70. i 80. wszyscy oni będą na pierwszych stronach gazet.

Do tego Kociółek i Teichma. Polityczne dzieci Gomułki.

– Gomułka chciał partię odmłodzić. Ale zwróćmy uwagę – to byli ludzie z aparatu. Oni nie wyrosli ze środowisk dziennikarskich czy naukowych.

Profesorowie, redaktorzy, pisarze, poeci przeszli do dalszych szeregów?

– Do roli paprotek. Ilu ich było wśród członków KC? Rakowski długie lata nie mógł się dobić partyjnego awansu, dopiero w roku 1968, na V Zjeździe, po wielkich bojach został zastępcą członka KC. Załatwili mu to Starewicz ze Stefanem Olszowskim. A potem terminował na tym stanowisku dwie kadencje i dopiero w późnych latach 70. został pełnym członkiem KC.

To był znak czasów?

– W kolejnych latach coraz mniejszą rolę odgrywały pryncypia, ideologia, wybory ideowe. Istotne były interesy. Zwłaszcza w czasach rządów technokratów, czyli Edwarda Gierka. Po VI Zjeździe, po 1971 r., jak się czyta publicystykę i wspomnienia z tamtego okresu, widać wyraźnie – żar ginie. A gdzieś koło 1973, 1974 r. wypala się zupełnie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl





Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Czas na model skandynawski

Polemika z Januszem Majcherkiem

Bez wielkiego zdziwienia przyjąłem kolejny tekst Janusza Majcherka głoszący, że lepszego świata nie będzie i trzeba z radością zaakceptować to, co jest – neoliberalny turbokapitalizm („Socjalizm szkodzi w każdym wieku. Polemika z Łukaszem Michnikiem”, „Gazeta Wyborcza”, 2.04.2021). Bez zdziwienia, ponieważ jeśli pojawiają się jakiegokolwiek idee odejścia od modelu kapitalistycznego, prof. Majcherek stwierdza, że to się nie uda, co więcej, to nie powinno się udać, albowiem świat, w jakim żyjemy, jest najlepszym z możliwych. Pojawia się tutaj także typowy dla jego felietonistyki rys pseudomądrości wynikający ze starości: niech się młodzi nie łudzą, żadna istotna zmiana nie jest możliwa, trzeba się przystosować. Ich idealizm jest śmieszny i groźny, pachnie Majcherkowi tęsknotami do socjalizmu, który to – jego zdaniem – jest niczym innym jak tylko ładnie opakowanym komunistycznym totalitaryzmem.

Zaiste zadziwiające są takie uproszczenia w wydaniu profesora filozofii, dobrze znającego historię myśli społecznej i politycznej. Powinien jednak wiedzieć, że to partiom socjalistycznym i socjaldemokratycznym świat zawdzięcza zamianę okrutnego, skrajnie niesprawiedliwego kapitalizmu XIX w. w system znosny, a czasami wręcz, jak w latach 1945-1979, całkiem niezły. Nie mówiąc już o tym, że i na płaszczyźnie teoretycznej socjalizm niejedno ma imię, więc wrzucanie go do jednego worka z komunizmem i oskarżanie o skrajność to wyraz albo ignorancji, albo złej woli. W tym kontekście

również „argument z Wenezueli” jest niepoważny, nic bowiem nie skazuje rządów socjaldemokratycznych na akceptację takiego przebiegu wypadków, o czym świadczą udane rządy partii socjaldemokratycznych w Europie XX w. lub nieźle zapowiadający się eksperyment rządów socjalistycznych w Chile, przerwany przez ingerencję Stanów Zjednoczonych oraz wewnętrznych sił prawicowych. Jak wiadomo, po puczu Pinocheta stworzyły one z tego kraju laboratorium systemu neoliberalnego, radośnie kopiowanego także u nas po 1989 r. Fatalne skutki tej neoliberalnej rewolucji są

świecie i gdyby słuchali starszych, ostrzegających, że to nie może się udać, z pewnością by się nie udało.

A teraz sprawa najważniejsza, mianowicie system skandynawski. Przyznam, że fragment mu poświęcony czytałem z zażenowaniem i doprawdy, Drogi Januszu, nie popisałeś się tym razem. Jak można bowiem ten najbardziej udany ze wszystkich modeli kapitalizmu próbować aż tak niemądrze dezawuować? To, że jacyś bogaci ludzie uciekają od płacenia podatków, nie świadczy o tym, że podatki jako takie są złe, tylko o tym, że nawet w krajach o najwyższej świadomości istnienia wspólnoty

Fakt unikania opodatkowania świadczy nie o wadliwości systemu społeczno-ekonomicznego, ale o egoizmie możliwych tego świata.

dziś widoczne gołym okiem, to rzeczy powszechnie znane (mówi o tym większość uznanych ekonomistów, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i takie organa wielkiego kapitału jak „Financial Times”).

Pozostawmy zatem owe rozważania o socjalizmie traktowanym jako straszak w spokoju. Młodych zaś, którzy marzą o lepszym świecie, traktujmy raczej jako nadzieję na przyszłość, a nie nieznaną historię, w tym rzeczywistości tzw. realnego socjalizmu, naiwniaków. Ja ją znam bardzo dobrze, a jednak całym sercem jestem po ich stronie. Tym bardziej że ich ideały wcale nie odbiegają od ideałów ruchu Solidarności, w którym jako młody człowiek z entuzjazmem wziąłem udział. Pełno w nim było takich „naiwniaków” marzących o lepszym, sprawliwszym

obywatelskiej zdarzają się bogacze bardziej dbający o własny interes niż o dobro wspólne. Słowem, fakt unikania opodatkowania przez ucieczkę z bogactwem do krajów o innym systemie podatkowym, albo wręcz do rajów podatkowych, świadczy nie o wadliwości systemu społeczno-ekonomicznego, w którym płacenie ich jest konieczne, ale o moralności możliwych tego świata, o ich egoizmie i braku zrozumienia, że ich bogactwo nie byłoby możliwe, gdyby nie wspólnota, z której zaufania i wsparcia korzystali. Poza tym bogacze z reguły w żadnym systemie nie chcą płacić podatków, hołdując libertariańskiemu przekonaniu, że „podatki to kradzież”.

Co do samego zaś modelu skandynawskiego czy nordyckiego, to jest on z pewnością najlepszym

z możliwych modeli kapitalizmu i najwyższa pora, abyśmy to zrozumieli także nad Wisłą. Można by tutaj przytaczać różne statystyki, niech jednak wystarczy przypomnienie, że we wszystkich rankingach jakości życia i poczucia szczęścia kraje skandynawskie zajmują od lat pierwsze pozycje, a Stany Zjednoczone, ów wzór kapitalizmu dla polskich neoliberalistów w stylu Janusza Majcherka, sytuują się w drugiej dziesiątce, i to z tendencją spadkową (nie przypadkiem też system skandynawski jest wzorem dla większości młodych ludzi w Stanach, zdecydowanie nieakceptujących, jak pokazują badania, amerykańskiego *status quo*). Nie oznacza to wcale, że kraje skandynawskie są rajem na ziemi. Jednak w porównaniu z krajami hołdującymi innym modelem kapitalizmu, w tym najgorszemu ze wszystkich, anglosaskiemu, są one z pewnością przykładem tego, co najbardziej udane w próbach połączenia wolnego rynku z opiekuńczością państwa. W tym kontekście przywoływane przez Majcherka przykłady ucieczki z państwowego systemu usług społecznych w Polsce nie są wcale argumentem na rzecz wyższości prywatnego sektora (przypomnijmy tylko, że najlepszy system edukacji na świecie – fiński – jest od A do Z państwowy), ale dowodzą klęski, jaką ponieśliśmy w budowie porządnego państwa po 1989 r.

Ale przecież wciąż jeszcze możemy zbudować takie państwo, mamy wszak na kim się wzorować. Pozwólmy zatem spróbować młodym, może oni będą w tym dziele mieli więcej uporów, umiejętności i szczęścia, a zarazem mniej uprzedzeń wobec państwa jako takiego, tak typowych dla tej części polskiej elity politycznej i ekonomicznej, która zakochała się kiedyś w neoliberalizmie spod znaku Thatcher i Reagana. Zamiast gasić ich entuzjazm, jak to czyni Janusz Majcherek, pozwólmy im kształtować świat wedle swojego uznania. Tym bardziej że wbrew temu, co pisze o młodej lewicy, nie są to wcale propozycje skrajne (udział państwa w budowie mieszkań na wynajem propozycją skrajną? Litości!), z powodzeniem zrealizowano je bowiem w różnych zakątkach świata.

Andrzej Szahaj

✉ Prosty przepis na zdobycie władzy

Historia dobrze zna takie przypadki. Zdarzają się na świecie od zawsze. Metoda zdobywania władzy poza dziedziczną, jak w królestwach, i rzadko spotykaną zdrową demokracją jest stała i niezmienna. Najpierw trzeba zainteresować lud. Idealistom i romantikom wystarczy podana na tacy karma duchowa w słowach, hasłach chwytających za serce i budzących dumę z tradycji i historii ojczyzny. Zwykłym zjadaczom chleba – parę kromek bułki z masłem. Zawiedzionym życiowo, którzy spragnieni odwetu nie mogą komuś przyłożyć, podsuwa się gotowca w postaci wroga. Wróg musi być wyrazisty i co jakiś czas zmieniany. Potem trzeba upokorzyć istniejące elity, aby była przestrzeń dla nowych, czyli swoich. Tych trzeba mocno związać stanowiskami i materialnie wyraźnie polepszyć ich kondycję. Będą wierni do grobowej deski i na kolanach wdzięczni, kiedy zamiast busem, pojadą do nowej pracy podstawioną limuzyną.

Aby te nowe elity zyskały poparcie, bo jakie bywają, każdy widzi, trzeba mocno obniżyć poziom intelektualny masy ludzkiej. To zadanie dla oświatowców. Programy szkolne do wymiany, cele kształcenia ukierunkowane wyłącznie na własne potrzeby. Trzeba też znaleźć sprzymierzeńca w tworzeniu nowego porządku. Czasem udaje się to z Kościołem jako instytucją. Nie chodzi tu o propagowanie zasad Dekalogu, od którego odstępstwa są nawet mile widziane, wystarczy obedrzeć Kościół z *sacrum*, a ambonę zamienić w trybunę, wówczas głos władzy dotrze do najdalszych zakątków kraju. No i nie można dopuścić nikogo do krytyki nowego. Z jednakową zaciętością zwalczać instytucje broniące praw i bezpieczeństwa obywateli, jak i żartujących np. z jakiejś niedoskonałości nowego prominenta. Przejść należy wszystko, co pisane i mówione, a także oglądane na ekranie, i nie dopuszczać do recenzowania nowego porządku. Każdego dnia powtarzać te same zachwyty nad nowym, aż ludzie uwierzą, a ci, którzy nie uwierzą, schowają się w domach i zamkną zupełnie. I o to milczenie chodzi. A co z kulturą? Tu jest pies pogrzebany. Jeśli ludzie, stojący przecież na szczycie ewolucji, różnią się od zwierząt właśnie kulturą (zgorszonym tym spostrzeżeniem polecić można św. Franciszka z Asyżu), to pozbawieni tejże kultury będą podobni zwierzętom? Jest to założenie zbyt optymistyczne. W świecie zwierząt przestrzegane są zasady, prawa natury, bardzo silne, utrwalone, stosowane i niepodważane. Aż można pozazdrościć! Więc co pozostaje?

TMM

KRYSTYNA ŁYBACKA – pamiętamy

Rok temu, 20 kwietnia 2020 r. odeszła Krystyna Łybacka. Doktor nauk matematycznych, nauczyciel akademicki Politechniki Poznańskiej. Ważna postać polskiej i europejskiej lewicy. Inteligentna, wszechstronna, uczciwa i odpowiedzialna. Naturalna i autentyczna liderka, szanowana i doceniana przez wyborców za zasługi dla naszego państwa, a zwłaszcza edukacji.

Przez siedem kadencji była posłanką do Sejmu z list SLD, w latach 2001-2004 pełniła funkcję ministra edukacji narodowej i sportu. W 2014 r. została wybrana do Parlamentu Europejskiego.

W PRZEGLĄDZIE regularnie ukazywały się jej sprawozdania z działalności. Szczególnie bliskie były jej sprawy edukacji i seniorów. W 2019 r. została uznana za najbardziej pracowitego europoła w kategorii edukacja, kultura i media w plebiscycie MEP Awards organizowanym przez „The Parliament Magazine”.

Ludzi takiego formatu jest niewielu, choć tak bardzo są potrzebni.



Czyżby bolszewicy opanowali już MFW?

Polemika z tekstem Janusza Majcherka
„Socjalizm szkodzi w każdym wieku”

Leon Podkaminer

Opinia Janusza A. Majcherka „Socjalizm szkodzi w każdym wieku” („Gazeta Wyborcza”, 2.04.2021) w krótkich, acz stanowczych słowach rozprawia się z ideą socjalizmu. Przy tym autor nie zwraca sobie (ani czytelnikom) głowy roztrząsaniem różnic między, powiedzmy, Szwecją a Wenezuelą. Daje do zrozumienia, że socjalizm szkodzi nie tylko w każdym wieku, ale także w każdej odmianie. Jednak dwa koronne argumenty przez niego przytoczone proszą się o rzeczowy komentarz.

Pierwszym z nich jest stwierdzenie, że wpływ migrantów zarobkowych, usiłujących dostać się do „kapitalistycznego piekła” (USA), omija Wenezuelę i Kubę („socjalistyczne raje”). Red. Majcherek nie zauważa, że owi latynoscy migranci masowo uciekają ze swoich ojczyzn, w których panują stosunki jeszcze bardziej „kapitalistyczne”

Cwaniaków skutecznie unikających płacenia podatków nigdzie i nigdy nie brakuje – nawet w Skandynawii.

niż w USA. W USA podatki stanowią ok. 27% PKB – dużo więcej niż w takim Meksyku (16%) czy innej Gwatemali. Świadczenia społeczne w Ameryce Łacińskiej (jeśli w ogóle gdzieś śladowo występują) są jeszcze niższe niż w Stanach Zjednoczonych, a nierówności dochodowe dużo większe. Stany w porównaniu z Ameryką Środkową to istny socjalistyczny raj! Oczywiście pierwszym czynnikiem uruchamiającym masowe migracje jest różnica w poziomie płac. Ta jednak

nie wynika automatycznie z tego, jak bardzo poszczególne kraje różnią się stopniem (i rodzajem) „socjalizmu”, względnie „kapitalizmu”.

Pod wieloma względami Polska obecna jest bardziej wolnorynkowa i „kapitalistyczna” niż np. „kryptosocjalistyczna” Szwecja. (W Szwecji spożycie publiczne stanowi ok. 26% PKB, w Polsce tylko 18%, w Szwecji dochody podatkowe państwa sięgają 44% PKB, w Polsce 36%). Ma to pewne znaczenie dla migracji z Polski do Szwecji (przy braku zauważalnej migracji w kierunku odwrotnym). Byłoby jednak nadużyciem twierdzenie, że Polacy migrują do Szwecji zżęceni głównie „socjalizmem”. Takim samym nadużyciem jest sugerowanie, że Latynosi migrują do USA zżęceni głównie „kapitalizmem”. Pierwszorzędną w obu przypadkach jest po prostu utrzymująca się wielka dysproporcja w poziomie płac.

Drugi wątek tekstu red. Majcherka nawiązuje do kariery Ingvara Kamprada, twórcy Ikea, „emblematicznej dla gospodarki szwedzkiej”. Autor z uznaniem kwituje to, że jego idol „nie płacił podatków w ojczyźnie” i „zgromadził majątek szacowany na 40 mld euro”. Firma ta sprzedaje produkty wszędzie na świecie (i są one wytwarzane wszędzie na świecie, w najmniejszym stopniu – jeśli w ogóle – w samej Szwecji). Jej „szwedzka emblematiczność” polega prawdopodobnie na serwowaniu „szwedzkich” klopsików w sklepowych bufetach. Co do podatków Kamprada, otóż cwaniaków skutecznie unikających płacenia podatków nigdzie i nigdy nie brakuje – nawet w Skandynawii. Faktem jest jednak, że szwedzka

gospodarka funkcjonuje i rozwija się pomyślnie pomimo tego. Zdecydowana większość obywateli i przedsiębiorstw płaci tam wysokie podatki. W sumie sięgały one 44% PKB – nieco tylko mniej niż na początku lat 90. (wtedy udział ten wynosił ok. 47%). Zauważyć należy, że pod względem średnich dochodów na jednego mieszkańca Szwecja skracza dystans dzielący ją od USA. Jeszcze w 2000 r. PKB na jednego mieszkańca Szwecji był o ok. 20% niższy niż w USA. Obecnie jest niższy już tylko o ok. 12%. Przy czym dochody w Szwecji są dużo mniej zróżnicowane niż w USA. Współczynnik Giniego, mierzący nierówności dochodowe, dla Szwecji wynosi ok. 0,25 – dla USA ok. 0,47 (dla Meksyku prawie 0,60, dla Polski 0,34).

USA proponują wprowadzenie minimalnego światowego podatku od zysków korporacyjnych (mowa jest o stawce 21%)!

W warunkach globalizacji duże firmy i ludzie bogaci mogą łatwo minimalizować należności podatkowe. Z rosnącej mobilności podatników korzystają raje podatkowe, a ogół krajów ściga się w obniżaniu stawek podatkowych (a także stawek płac). OECD od dość dawna lobbowała za przerwaniem tego wyścigu i efektywnym opodatkowywaniem dochodów „obrotowych” firm i osobników. Do niedawna wysiłki te nie dawały żadnych konkretnych efektów. Mam jednak dla red. Majcherka złe wiadomości. Wkrótce może to się zmienić. Z inicjatywą tymczasowego „podatku solidarnościowego” wystąpił właśnie Międzynarodowy Fundusz Walutowy. W dodatku USA proponują wprowadzenie minimalnego światowego podatku od zysków korporacyjnych (mowa jest o stawce 21%)!

PS „Gazeta Wyborcza” odmówiła druku tej polemiki.

Prof. Leon Podkaminer jest emerytowanym pracownikiem Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych. W latach 2005-2009 był członkiem zespołu doradców ds. polityki pieniężnej Parlamentu Europejskiego

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Znowu bomba

Kolejna rocznica katastrofy smoleńskiej, wraca absurd i obłąd. Mamy ostatnią wersję raportu Macierewicza i poglądowy filmik. Ten szaleniec mówi, że na pokładzie była „bomba charakterystyczna dla lewackich terrorystów”, czyli już nie termobaryczna. Wnioski: winni katastrofy są bomba, lewackie LGBT, Tusk i Putin. Wcześniej Macierewicz mówił: „Po TRZECH latach badań mogę powiedzieć, że są dowody świadczące, że TRZY osoby przeżyły katastrofę. (...) Potwierdzają to TRZY niezależne źródła”. Czarna magia liczb. A tu na dokładkę minister oświaty zapowiada, że w podręcznikach szkolnych będzie się omawiać katastrofę smoleńską, z insynuacją, że to wina Tuska. A jakże inaczej. Też uważam, że to wydarzenie historyczne. To, co się dzieje z katastrofą smoleńską, jest absurdem jednym z większych w historii tego kraju, gdzie absurdów nie brakowało. Z kolei wiceminister oświaty chce zabronić, by w podręcznikach szkolnych padało sformułowanie „prawa zwierząt”, bo jest to według niego ideologia. Pisowcy wszędzie węższą wrogą ideologię, przemycaną jak kokaina do Polski ze zgniłego Zachodu. A humanizacja zwierząt to jedno ze świadectw, że jest postęp, że ludzkość zmienia się na lepsze. Stosunek do zwierząt zawsze oddaje poziom moralności w kraju. Było z tym źle w Polsce, szczególnie wieś okropnie traktowała zwierzęta, można to zrozumieć, rolnicy hodują je przeciw na rzeź. Ale też u nas sytuacja szybko zmienia się na lepsze. PiS chce cofnąć zegar historii. Nie da się. Ale te próby wiele o pisowcach mówią. I to znamienne, że pilnują języka; tak, język jest ważny, określa nasze myślenie. Ja się zawsze buntowałem, dlaczego mówi się, że pies zdechł, a nie umarł. Nie zwłoki psa, ale truchło. Można powiedzieć, że to z kolei jest ideologia religijna, która twierdzi, że człowiek ma duszę, a zwierzęta jej nie mają. A czy to nie fascynujące, jak zdecydowanie i powszechnie psy i koty weszły nam do łóżek i stały się częścią rodziny? Psy i koty już nabyły duszę, wbrew Kościołowi. I mają swoje cmentarze.

Coraz częściej, gdy spotykam się ze znajomymi, ani słowa o polityce. Bo o czym tu mówić? Nie ma mowy o jakimś ustalaniu czy ucieraniu poglądów, wszyscy myślimy już tak samo. I po co sobie psuć humor? Czytam wpis na facebookowej stronie mojego znajomego Mariusza Ziomeckiego: „Już nie wierzę w Polskę». Gdy pierwszy raz usłyszałem te słowa bliskiego przyjaciela, przyznaję,

najpierw mnie zatkało. Ale po chwili namysłu potrafiłem tylko potaknąć. Faktycznie, wobec krachu ostatnich lat, tej spektakularnej cofki politycznej, społecznej i, co tu dużo gadać, moralnej oraz intelektualnej katastrofy, która nastąpiła nad Wisłą – i nie mówię tu o pandemii – wiara w powodzenie polskiego projektu stała się trudna. Bo, na logikę biorąc, ile razy można podejmować heroiczne dzieło odzyskiwania niepodległości, rekonstrukcji i prób zbudowania zdanej do życia, przyjaznej ludziom polskiej cywilizacji, po to tylko, by patrzeć bezradnie, jak za sprawą współobywateli wszystko znów idzie w ruinę?”. Bliskie mi te słowa, ale się bronię przed takim myśleniem. Jest demobilizujące. Gdy rozmawiam z młodymi, zwykle są to dzieci znajomych, wszyscy marzą, by wyjechać z Polski na studia, co zwykle oznacza wyjechać na zawsze. A tyle było pisowskiego gadania, że emigracja to też wina Tuska i że oni ten „krwotok” zatrzymają. Nasz okręt nie tonie, ale grasują po nim szczury, więc podróż nie jest za przyjemna. Rozumiem młodych, którzy chcą się przesiąść na inny, bardziej schludny statek.

„Świat pogański czyni wszystko, aby zniszczyć wiarę i Kościół, wykorzy-

stując do tego ogłoszoną pandemię, cynicznie grając na ludzkich lękach”, pisał do wiernych proboszcz parafii św. Katarzyny w Łęgu, zachęcając do uczestnictwa w nabożeństwach Wielkiego Tygodnia. Nie ma co się bać zaraży, bo „nawet zdrowie i życie doczesne stoją niżej od wartości nadprzyrodzonych”. Ja z proboszczem nawet się zgadzam. Jeśli wierzymy w Boga i w raj, do którego przenosi się zmarły, to chronić za wszelką cenę życie jest bez sensu. Śmierć jest dobrodziejstwem. Lęk przed śmiercią i rozpacz po odejściu kogoś bliskiego jest grzechem, bo to dowód na religijne zwątpienie.

Zjednoczona Prawica się sypie, trwają mafijne porachunki, przedterminowe wybory możliwe. Dlaczego tak mało w nas radości i nadziei? Bo widzimy, jak nędzna jest opozycja, jak podzielona, niemrawa, bez koncepcji. I to może jest największym dramatem. Polsce potrzeba rządu fachowców, a nie zużytych partyjnych działaczy. Konieczny jest program, jak leczyć rany, które zadało nam PiS, jak rozmawiać z milionami Polaków, którzy będą upokorzeni porażką, jak przekonywać ich, by ponownie nie wybrali prawicy.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Deweloper, politycy czy obywatele winni?

Gmina ma potężne narzędzia do kształtowania polityki przestrzennej. Tylko trzeba to od niej wyegzekwować

Jan Andrzejewski

Artykuł „Złote żniwa deweloperów” (PRZEGLĄD nr 13) wpisuje się w dość modne dziś utyskiwanie na deweloperów, uzupełniane czasem narzekaniem na „złe prawo”, w szczególności specustawę potocznie nazywaną lex deweloper i tzw. wuzetki, czyli decyzje o warunkach zabudowy będące substytutem miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Czy rzeczywiście w tym leży źródło wszelkiego zła w obszarze ładu przestrzennego?

To samorząd decyduje

Nie trzeba bronić deweloperów (bo i tak dobrze sobie radzą), ale błędne wskazanie źródła problemu powoduje, że nie jest on rozwiązywany, lecz tylko przegadywany. Zapominamy, że gmina ma potężne narzędzia do kształtowania polityki przestrzennej.

To radni gminy ostatecznie podejmują decyzje, czy dana inwestycja będzie przeprowadzona, czy nie. Ustawa z 5 lipca 2018 r. o ułatwieniach w przygotowaniu i realizacji inwestycji mieszkaniowych oraz inwestycji towarzyszących uwzględnia również sensowne wytyczne, np. konieczność brania pod uwagę charakteru zabudowy okolicy bądź ustanowienie standardów lokalizacji i realizacji inwestycji mieszkaniowych. Brakuje natomiast wymogu przeprowadzenia szerokich konsultacji społecznych. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, by ludzie sami, oddolnie, wywierali nacisk na swoich przedstawicieli, aby ci albo wymogli na deweloperze zadbanie o ład przestrzenny, albo odrzucili projekt. Co ważne, tylko w trybie ustawy lex deweloper można

przerzucić na inwestora koszty zapewnienia odpowiedniej liczby miejsc w okolicznych szkołach. Trzeba więc uruchamiać rady osiedli, rady dzielnic czy stowarzyszenia i inne gremia, by cały proces był jak najkorzystniejszy dla lokalnej społeczności.

Oberwało się też wuzetkom. To prawda, że na nich nie da się zaprojektować miasta. Ale można zadbać, by planowana zabudowa nawiązywała do istniejącej. Uznaniowość decyzji WZ to mit. Decyzja powinna być wydawana na podstawie szczegółowych wytycznych zawartych w Ustawie o planowaniu przestrzennym i Rozporządzeniu Ministra Infrastruktury z 26 sierpnia 2003 r. w sprawie sposobu ustalania wymagań dotyczących nowej zabudowy i zagospodarowania terenu. Organ wykonawczy gminy (w Warszawie zarządy dzielnic) jest zobligowany w szczególności do dokonania analizy sąsiedztwa i uwzględnienia wartości średnich przy wyznaczaniu parametrów nowych obiektów. Myli się Anna Cymer albo niefortunnie formułuje myśl, mówiąc, że to deweloper zarządza polską przestrzenią na zasadach warunków zabudowy. Zarządza suweren rękami swoich przedstawicieli w samorządzie.

Brak obywatelskiego nadzoru

Wobec braku należytego zainteresowania opinii publicznej ładem przestrzennym przedstawiciele w samorządzie pozwalają sobie na liczne naruszenia wcale nie tak złego prawa. Przykładem jest inwestycja przy ul. Leśniczówka w Warszawie, gdzie w sąsiedztwie z przewagą domów jednorodzinnych wydano decyzję WZ na apartamentowce. Jak ujawniła

lokalna „Gazeta Wawerska”, ekspertyza wykonana na zlecenie dzielnicy Wawer wykazała, że naruszenia „nie mogły wynikać z nawet najbardziej rażącego niedbalstwa, lecz były działaniem zmierzającym do okreś-

lonego celu – zrealizowania budynku o możliwie dużej kubaturze z pominięciem, a miejscami wręcz całkowitym zignorowaniem przepisów prawa”. Nie wyszłoby to na jaw, gdyby nie upór Stowarzyszenia Razem dla Wawra i jego przedstawicieli w radzie dzielnicy. To niestety

tylko jeden z wielu przykładów tak drastycznego pogwałcenia prawa przy wydawaniu decyzji kształtujących naszą przestrzeń. A kto pilnuje praworządności w innych dzielnicach i gminach w Polsce?

Wodotryski i ławeczki

Bardzo trudno jest zainteresować opinię publiczną kwestiami związanymi z planowaniem przestrzennym, tak by wywierała ona nacisk na swoich przedstawicieli w samorządzie. Tłumaczenie skomplikowanych kwestii prawno-budowlanych nie przyciąga takiej rzeszy zainteresowanych jak wpisy o ławeczkach z budżetu obywatelskiego. Podobnymi wodotryskami obywatele dają się mamić, a w tym czasie w zaciśniętych gabinecie wydawane są decyzje rujnujące ład przestrzenny (z aprobatą lub przy obojętności ich przedstawicieli w radach dzielnic i gmin). Również tam, gdzie są sporządzane miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego. Bez obywatelskiego nadzoru i presji opinii publicznej także ich zapisy są naruszane.

Nie marnujemy więc czasu i energii na marudzenie o złym prawie i okrutnych deweloperach, na snucie dywagacji o neoliberalizmie, tylko spożytkujmy go na doszkolenie się z prawa budowlanego. A potem działajmy w ramach rad gmin, dzielnic, osiedli i lokalnych stowarzyszeń. Jeśli oczywiście chcemy coś zmieniać na lepsze.

Jan Andrzejewski jest członkiem zarządu Stowarzyszenia Razem dla Wawra, gdzie zajmuje się szczególnie kwestiami związanymi z ładem przestrzennym





Fot. Mads Nissen, Dania, Politiken/Panos Pictures



Fot. Karolina Jonderko



Fot. Natalia Kepesz

WORLD PRESS PHOTO

15 kwietnia zostały ogłoszone wyniki konkursu fotograficznego World Press Photo.

Tytuł zdjęcia roku zdobyła fotografia Madsa Nissena „Pierwsze przytulenie” („The First Embrace”). Autor uchwycił niezwykle emocjonalną scenę przytulenia się starszej kobiety do pielęgniarki. Ze względu na pandemię był to pierwszy od pięciu miesięcy kontakt z człowiekiem pacjentki domu opieki.

Wśród tegorocznych nagrodzonych znalazła się trójka fotografów z Polski: Natalia Kepesz, Karolina Jonderko oraz Tomasz Markowski. Karolina Jonderko zdobyła drugie miejsce w kategorii Projekt długoterminowy za zestaw „Reborn”. Natalia Kepesz otrzymała trzecią nagrodę w kategorii Fotoreportaż Portret za „Nie-wybuch”. A Tomasz Markowski zdobył trzecie miejsce w kategorii Sport za zdjęcie z wypadku podczas Tour the Pologne („Tour of Poland Cycling Crash”).



Fot. Tomasz Markowski

Zuzanna Muszyńska

Brytyjskie wybory z rocznym opóźnieniem

O stanowiska w samorządach w Wielkiej Brytanii ubiega się zwykle od kilkudziesięciu do ponad stu Polek i Polaków

Najbliższe wybory samorządowe w Wielkiej Brytanii odbędą się 6 maja, z niemal rocznym opóźnieniem spowodowanym pandemią. Pobreitową Anglię, Szkocję, Walię oraz Irlandię Północną zamieszkuje ponad 800 tys. Polek i Polaków. Polski jest drugim po angielskim językiem, jakim posługują się mieszkańcy Wysp. W maju zeszłego roku przedstawiciele rządów Polski i Wielkiej Brytanii podpisali w Warszawie traktat gwarantujący zachowanie prawa do udziału w wyborach samorządowych po zakończeniu okresu przejściowego. Od stycznia 2021 r. zarówno Brytyjczycy w Polsce, jak i Polacy w Wielkiej Brytanii mogą nadal korzystać z czynnego i biernego prawa wyborczego w kraju stałego pobytu.

O stanowiska w lokalnych samorządach ubiega się zazwyczaj od kilkudziesięciu do ponad stu rodaczek i rodaków. Znikoma reprezentacja polityczna jak na tak dużą społeczność oraz niska frekwencja wyborcza na emigracji budzą niepokój działaczy polonijnych, którzy już w zeszłym roku, mimo pandemii, odnieśli wielki

niewiele kobiet, zajmują mniej więcej jedną trzecią stanowisk w parlamencie i we władzach lokalnych. Brytyjscy politycy, z którymi jestem w kontakcie, twierdzą, że nie warto rozmawiać z Polakami, bo i tak nie głosują. To wykluczenie polityczne. Dlatego zaczęliśmy działać. Zmiana zaczyna się od zwiększenia frekwencji.

– Jako imigranci z UE nie mogliśmy głosować w referendum brexitowym – kontynuuje Marzena – czyli decydować o czymś, co wpłynęło na nasze życie. Kształt nadchodzących wyborów pokaże, jak działa demokracja po brexicie.

w Londynie, którzy będą wybierać burmistrza i radę swojego miasta. Obejrzało ją na żywo prawie 100 osób, nagranie w ciągu kilku dni zebrało kilka tysięcy odsłon. Panelistki oraz jeden panelista reprezentowali pięć ugrupowań politycznych – Partię Konserwatywną, Partię Zielonych, Partię Liberalno-Demokratyczną, Partię Pracy oraz Partię Równości Kobiet. Społeczność polonijna miała możliwość zadawania pytań, które dotyczyły m.in. prawa do udziału w protestach ulicznych, ochrony środowiska i programu szczepień. Warto zwrócić uwagę, że poruszone kwestie dotyczą wszystkich obywateli Unii Europejskiej zamieszkających w Londynie, a szacuje się, że jest ich około miliona. Po referendum brexitowym częściej dochodzi do aktów dyskryminacji i nienawiści wobec Europejczyków, w tym Polek i Polaków. Obywatele krajów unijnych czują się w Londynie niepewnie. Walczą z problemami w miejscu pracy i zamieszkania, gdzie wymaga się od nich udowodnienia prawa stałego pobytu. Do końca 2020 r. ponad 700 tys. rodaczek i rodaków złożyło wnioski o status osoby osiedlonej, ale fizycznego dokumentu potwierdzającego taki status rząd brytyjski nie oferuje.

W debacie Louise Calland jako reprezentantka partii rządzącej broniła jej działań. Podkreślając, że przestępstwa z nienawiści należy zgłaszać, znalazła się jednak w defensywie wobec zarzutu laburzystki Catherine West, która zwróciła uwagę, że ofiary tych i innych przestępstw, w tym kobiety, nie mają dokąd pójść po likwidacji przez torysów połowy komisariatów. Marijn van de Geer z Partii Zielonych podkreślała, że to radni powinni dawać

Polska i Wielka Brytania podpisały traktat o zachowaniu prawa do udziału w wyborach samorządowych po zakończeniu okresu przejściowego.

sukces w mobilizowaniu Polonii do udziału w wyborach prezydenta RP. Organizacje polonijne od kilku tygodni zwierają szyki, organizują kampanię przedwyborczą w mediach społecznościowych i poza nimi.

Kobiety zagłosują

Aż 10 tys. Polek w Wielkiej Brytanii chcą zmobilizować przed majowymi wyborami organizatorki kampanii SheVotes/OnaGłosuje. – Od wyborów parlamentarnych w Polsce w 2019 r. jesteśmy świadkami ogromnego zwrotu brytyjskiej Polonii, zwłaszcza kobiet i młodych ludzi, w kierunku wzrastającej świadomości politycznej – mówi Marzena Żukowska, współzałożycielka organizacji POMOC (Polish Migrants Organise for Change). – W brytyjskich strukturach politycznych jest

Kampania www.shevotes.org.uk opiera się na inicjatywach online i offline. Młodych mają przyciągać akcje takie jak #modanawybory, konkursy artystyczne ogłaszane na Instagramie i TikToku. Liderki kampanii biorą udział w warsztatach. Profrekwencyjne działania POMOC-y wspierają PoloniaExpress, New Europeans UK, the3million, Young Europeans Network, Europaia, Centrala, Merseyside Polonia, Polonia Głosuje i dużo innych grup. POMOC jest organizacją *non profit*, która wspiera kreatywną współpracę i solidarność pomiędzy Polkami mieszkającymi w Wielkiej Brytanii oraz społecznościami imigrantów.

30 marca działaczki POMOC-y zorganizowały pierwszą w historii dwujęzyczną, angielsko-polską, debatę przedwyborczą, skierowaną do Polek i Polaków zamieszkających

przykład równego traktowania wszystkich mieszkańców. Argument Calland o doskonale przeprowadzonym programie szczepień również spotkał się z krytyką pozostałych panelistów – pytanie dotyczyło dzielnic Londynu, w których liczba podanych szczepionek jest znacznie niższa niż gdzie indziej. Van de Geer zauważyła, że problemem jest brak zaufania londyńczyków nie do służby zdrowia, lecz do rządu. To samo stwierdził Adrian Hyyryläinen z Partii Liberalno-Demokratycznej – postulował, by walczyć z nierównościami społecznymi przede wszystkim na poziomie lokalnym, przez komunikację i edukację. Wiele krytyki padło pod adresem systemu przyjmowania wniosków o status osiedleńca – Marijn van de Geer oceniła go jako skomplikowany i odrzucający aplikacje zbyt wielu osób. Hyyryläinen przypomniał, że liberalni demokraci opowiadają się za powrotem Wielkiej Brytanii do struktur unijnych. Harini Iyengar z Partii Równości Kobiet jako jedyna przemawiała podczas debaty po polsku. Wielokrotnie powtarzała, że jej ugrupowanie działa oddolnie, walczy o prawa mniejszości na ulicach oraz w urzędach. Mówiła o wykluczeniu społecznym, które może skutkować zarówno rezygnacją ze szczepionki w sytuacji, gdy pracodawca nie oferuje płatnego urlopu, jak i brakiem dostępu do sieci ścieżek rowerowych, gdy koszt rowerów przekracza budżet samotnej matki z trójką dzieci.

Trzeba działać

Licznik polonijny przekroczył w 2017 r. milion osób zamieszkających w Wielkiej Brytanii. Od tamtego czasu liczba rezydentów spada. Wyspy opuścił nawet co piąty Polak. Równocześnie rośnie odsetek Polek i Polaków, którzy deklarują osiedlenie się na stałe. W 2014 r. co trzeci rodak myślał o wyjeździe, dziś większość z tych, którzy zostali, nie chce wracać do kraju. – Jak wielu innych Polaków przyjechałam do Wielkiej Brytanii, nie planując stałej emigracji, ale wyszło tak, że mieszkam tu już siedem lat, tu urodziły się moje



Aż 10 tys. Polek chcą zmobilizować przed wyborami organizatorki kampanii SheVotes/OnaGłosuje.

dzieci – mówi Agata Sikora, kulturoznawczyni i krytyczka literacka, autorka książki „Wolność, równość, przemoc. Czego nie chcemy sobie powiedzieć”. – W pandemii głęboko odczułam fakt, że oto moje życie jest w rękach polityków, których nie mam nawet prawa wybierać. Tym bardziej cenię prawo do wyboru władz lokalnych, do współdecydowania o ośrodkach naszego sąsiedztwa – bo o ile nie mogę się czuć w pełni Brytyjką, o tyle w mojej wielokulturowej dzielnicy czuję się zdecydowanie „u siebie”. Ostatnio byłam dumna,

Kobiety zajmują jedną trzecią stanowisk w parlamencie i we władzach lokalnych.

gdy sąsiadka pracująca jako położna środowiskowa powiedziała, że nasza „gorsza” gmina znacznie sensowniej pomaga potrzebującym niż bardzo bogata dzielnica, dla której pracowała wcześniej. I wiem, że mój głos też miał w tym udział.

O terminach wyborczych przypominają regularnie media polonijne. – Nasz tygodnik zachęca Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii do korzystania z praw wyborczych. Zawsze wspieraliśmy polskich kandydatów startujących w wyborach samorządowych, a także organizowaliśmy wspólnie z Ambasadą RP w Londynie kampanię informacyjną „Idziemy na wybory” – opowiada

Marcin Urban, redaktor naczelny „Cooltury”.

Przedstawiciele władz polskich na terenie Wielkiej Brytanii również podejmują próby aktywizowania Polonii pod kątem udziału w wyborach. – Brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (Home Office) organizowało jakiś czas temu spotkanie informacyjne, na które w jego imieniu zapraszaliśmy organizacje polonijne i lokalnych liderów polskiej społeczności – mówi Katarzyna Szaran, dyrektorka ds. komunikacji w Ambasadzie RP w Londynie. – Wspieraliśmy Home Office w dystrybucji ulotki informacyjnej w języku polskim przygotowanej na tegoroczne wybory lokalne.

Zachęcamy organizacje polonijne do przeprowadzania lokalnych kampanii informacyjnych.

Polonia potrafi radzić sobie sama. W zeszłym roku z zamieszania wokół odbywających się podczas pandemii wyborów prezydenckich narodziła się organizacja PoloniaExpress, która zajmowała się odbiorem spóźnionych pakietów wyborczych i przekazywaniem ich na ręce konsula RP. Jedną z kluczowych osób, które przyczyniły się do uratowania kilku tysięcy głosów, była Katarzyna Szade. Polka mieszka w Wielkiej Brytanii od ponad 20 lat. – Studiowałam politologię, zainteresowanie polityką to u nas tradycja rodzinna. Właśnie do mnie dociera, że zostałam działaczką społeczną – śmieje się. Według

Katarzyny oddolny ruch społeczny podczas wyborów prezydenckich po prostu musiał się zdarzyć. I to ruch w pełni demokratyczny, gdyż PoloniaExpress działała na rzecz całej Polonii, niezależnie od sympatii politycznych. Dziś organizacja wspiera SheVotes. – Na razie działamy w mediach społecznościowych – wyjaśnia Katarzyna. – Za chwilę wyjdziemy do ludzi. Mamy ulotki, plakaty. Odwiedzimy polskie sklepy i ośrodki kultury.

Rozmawiali, tłumaczyli, dlaczego warto głosować. Czasu było niewiele, do wyborów można było się rejestrować do 19 kwietnia. – Chcemy wpływać na to, jak jesteśmy



Z zamieszania wokół wyborów prezydenckich narodziła się organizacja PoloniaExpress, która odbierała od spóźnionych pakiety wyborcze i przekazywała je konsulowi RP.

► postrzegani przez Brytyjczyków – dodaje Katarzyna. – Mamy wiele pomysłów na przyszłość. Kontaktujemy się z Polonią w innych krajach, inspirujemy się wzajemnie. Znajome działaczki z Frankfurtu nad Menem właśnie weszły do władz lokalnych. Czy ubieganie się o mandat radnej jest na mojej liście zadań? Kto wie, co się zdarzy za kilka lat!

W 2016 r. było głośno o urodzonym na Wyspach Janie Żylińskim, który wystartował w wyścigu o fotel burmistrza Londynu. Żyliński, działacz polonijny, prywatnie miłośnik baletu, posunął się nawet dalej – wyzwał na pojedynek Nigela Farage'a, chcąc ukrócić antypolską retorykę założyciela Partii Niepodległości. Żyliński powołał pierwsze polskie ugrupowanie polityczne – Dumę Polską. Deklarował, że wystawi stu kandydatów w wyborach samorządowych, których program skupi się na pomocy polskim rodzinom. Ostatecznie wystartowało 48 osób – bez powodzenia. W przebicie się na zabetonowanej brytyjskiej scenie politycznej pomaga start z listy głównych partii. „Książę” Żyliński mimo przegranej swojej i pozostałych członków ugrupowania cieszył się, że udało mu się zaktywizować rodaków.

Według Katarzyny Szaran w tej chwili w Wielkiej Brytanii ok. 30 radnych ma polskie korzenie.

Wszyscy jesteśmy londyńczykami

W poprzednich wyborach samorządowych w 2019 r., które obejmowały inne obszary kraju niż tegoroczne, stan posiadania podwoiła do 1351 miejsc Partia Liberalnych Demokratów, a torysi stracili w całej Anglii aż 1330 radnych. Partia Pracy zanotowała niewielki spadek z wynikiem 2021. Powodem tych przetasowań był w dużym stopniu brexit.

Brytyjscy politycy twierdzą, że nie warto rozmawiać z Polakami, bo i tak nie głosują.

Jeszcze w grudniu 2020 r. zapowiadał się remis dla laburzystów i konserwatystów. Obecnie Partia Konserwatywna ma przewagę 6-7 pkt. „The Guardian” pisze, że o sukcesie torysów w zbliżających się wyborach zdecydują wyborcy powyżej 55. roku życia, którzy otrzymali szczepionkę oraz głosują najliczniej.

Oprócz powołania władz lokalnych na różnych szczeblach, wybrani zostaną burmistrzowie 13 miast i okręgów miejskich, a także skład parlamentów narodowych Szkocji i Walii. Wielkie emocje wzbudzają wybory burmistrza Londynu, w których o reelekcję ubiega się Sadiq Khan.

Budżet Londynu to ok. 19 mld funtów. Burmistrz stolicy staje się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polityków w kraju. Khan startuje z nadziejami na przyszłe stanowisko na Downing Street nr 10. W jego programie nastąpiło przesunięcie akcentów z ochrony środowiska i rozwoju transportu na dźwiganie stolicy z covidowego chaosu. Główny przeciwnik laburzysty, Shaun Bailey z PK, oskarża burmistrza o zaniedbania w walce z przestępczością z użyciem noża. Proponuje zatrudnienie 800 dodatkowych policjantów oraz budowę 100 tys. tanich domów. Kandydatka liberalnych demokratów Luisa Porritt chciałaby przekształcić puste biurowce w mieszkania i zazieleniać dachy budynków. Kandydatka Zielonych Siân Berry postuluje podniesienie minimalnej stawki wynagrodzenia dla wszystkich londyńczyków do 14 funtów za godzinę. Valerie Brown z ugrupowania Burning Pink zlikwidowałaby rząd i oddała władzę zgromadzeniom obywatelskim. Pierwsza ciemnoskóra przywódczyni partyjna Mandu Reid z Partii Równości Kobiet uważa, że bezpieczeństwo mieszkańek Londynu jest najważniejsze, to kluczowy punkt jej programu po głośnym morderstwie Sarah Everard. Do wyścigu staje 19 kandydatów na burmistrza, są wśród nich obrończyni praw zwierząt, aktor, bankier, youtuber, brexitowiec, a także antyszczepionkowiec. Jest też kandydat z kategorii satyrycz-

nych, hrabia Binface (Kubłogłowy), którego jednym z postulatów jest akcesja Londynu do Unii Europejskiej. To Anglia, nie mogło więc zabraknąć humoru, choć sprawa wydaje się ważna i poważna. To pierwsze wybory po brexicie, pandemii i po zmianie lidera opozycyjnej Partii Pracy.

Tymczasem Londyn staje się mniej polski, a Polacy w nim osiedleni bardziej brytyjscy niż kilkanaście lat temu. Wydaje się, że dzieli ich ostatni krok od aktywnego uczestnictwa w życiu miasta, które w marzeniach wielu ma pozostać – mimo brexitu i pandemii – najlepszym miastem na świecie.

Zuzanna Muszyńska



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Suche źródła

Ekspersi w sutannach orzekli, że prawdziwy katolik nie może sięgać po szczepionki „stworzone na materiale biologicznym pobranym od abortowanych płodów”. Nóż się w kieszeni otwiera, ale sięgnąć po niego nie sposób, bo ręce opadają. Nie umilkły jeszcze echa wywiadu, którego udzielił swojej gazecie Adam Michnik, a który w aurze opaczności został w mojej bańce napiętnowany za rozgrzeszanie Kościoła jako instytucji koniecznej do utrzymania w ryzach ludu. Jak tak będą ten lud dyscyplinować, to on się nie ostanie – Bóg chroni przed zarażeniem na mszy, a w razie czego szczepienia niewskazane. Michnik usilnie przywoływał najjaśniejsze twarze polskiego Kościoła z Tischnerem na czele, nie mogąc odżałować faktu, że ten otwarty, ekumeniczny nurt przegrał z „frakcją toruńską”. Wierzy jednak, że jakkolwiek by był, Kościół jest dla Polaków konieczny – ubolewam nad tym, bo twórca „Gazety Wyborczej” wyznaje z grubsza ten sam pesymizm socjologiczny, co Kaczyński – katolicyzm jest niezbędny, alternatywą jest tylko nihilizm.

Michnikowe *credo* z rzeczowego wywiadu jest w gruncie rzeczy *non creditis* – wygląda na to, że zgnębiony okresem kaczyzowskiej smuty tak dalece utracił wiarę w człowieka, że machnął ręką na Kościół poszukujący, dość że skutecznie zastępuje *superego*: tylko strach przed piekłem może uchronić naród przed samozniszczeniem. Jest to także akt niewiary w preambułę konstytucji, która głosi, że naród polski to ludzie „zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł”. Michnik ku mojemu zasmuceniu uznaje, że dla statystycznego Polaka „inne źródła” pozostają niedostępne, a Kaczyński różni się od niego tylko tym, że istnienia innych źródeł w ogóle nie uznaje, bądź też ma pewność, że dawno wyschły. Bez twardego proboszcza wieś się zborsuczy, chamowi trzeba pejcza i różańca – kiedyś dzielili między sobą te obowiązki pan z plebanem, teraz klecha dzierży oba w jednej dłoni. Tyle że o ile przez wieki ksiądz był jedynym we wsi piśmiennym, przez co jego autorytet intelektualny nie miał konkurencji, teraz seminaria wypuszczają na żer analfabetów, nie tylko emocjonalnych – jak dowodzi choćby stanowisko episkopatu w sprawie szczepionek.

Kilka dni po rozmowie Dominiki Wielowieyskiej z Adamem Michnikiem ta sama gazeta ogłosiła wstrząsający reportaż Kacpra Sulowskiego o tym, z jakimi upokorzeniami zmagają się muszą ludzie zgłaszający w swoich parafiach chęć apostazji. Dotąd na pytanie, dlaczego wciąż nie

załatwiłem sobie formalnego wystąpienia z Kościoła, tłumaczyłem, że samo wnikanie się w kościelną biurokrację na warunkach katabasów w celu wypisania z ich ewidencji byłoby aktem uznania ich formalnej ważności, przyjęcia całej tej fikcji za dokument mający jakąkolwiek wagę. Po lekturze wyznań ludzi gnojonych przez kościelnych urzędników za chęć wystąpienia ze wspólnoty, nękanym i bezprawnie odsyłanym z kwitkiem wiem już, dlaczego na parafię nie pójde – mam słabe nerwy, nie zdołałbym powstrzymać złych emocji, a zmarnować sobie resztę życia przez nieopatrne rozwalenie krzesłem pustego księżego łba nie zamierzam.

Podsunięto mi czeski dokument o polskiej religijności, ale wyłączyłem go po dwóch kwadransach, z przykrością stwierdzając, że wszystko to, czemu ekipa filmowców z laickiego kraju ze współczuciem i zgrozą dziwi się, niczym widzowie sławetnej „Defilady” Andrzeja Fidyka, dla mnie przeszło już do porządku dziennego. Jawna antysemitaizm rozgłośni toruńskiej, obłąkane czy zakonnice w wiecach religijnych, tandeta gargantuicznych dewocjonalistów ze świebodzińskim Chrystusem Królem na czele

Kiedy każdy członek wspólnoty będzie opodatkowany na rzecz Kościoła, błyskawicznie staniemy się przodującym laickim społeczeństwem w Europie.

(„nikomu nie przeszkadza heretycki posmak tego zabiegu i zawarty w nim protekcyjnalizm wobec Boga, którego nagradza się królestwem niedużego i niezbyt zasłużonego kraju świata”, jak zauważa Maria Anna Potocka w eseju „Skuteczność prawicy”), bezrefleksyjny, powierzchowny, acz zajadły charakter polokatolicyzmu – skoro przestało mnie dziwić to wszystko, znaczy, że jest bardzo źle. To nie brak sprzeciwu, ale brak zdziwienia jest prawdziwą klęską ducha. Ten kościół Szatana tak już nas oplócił swoimi mackami, że choć wciąż się wzdrygamy, nic nas już z ich strony nie zaskakuje. Zamiast więc czekać cierpliwie na tsunami apostazji albo deklarować swój ateizm w spisie powszechnym, co będzie miało w praktyce znaczenie czysto symboliczne, uparcie wierzę, że władza, która obali PiS, pójdzie wreszcie po rozum do głowy i jednym aktem rozwiąże kwestię katolicką w Polsce – wprowadzając podatek kościelny. Kiedy każdy członek wspólnoty będzie opodatkowany na rzecz Kościoła, błyskawicznie staniemy się przodującym laickim społeczeństwem w Europie. Co jak co, ale liczyć Polak potrafi.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Beata Dżon-Ozimek

Najpierw był ks. Wolfgang Pucher ze swoim Vinzi, potem Alexander Schiel zakładał sklepy społeczne w Wiedniu. Miał nadzieję, że nie będą zbyt długo potrzebne i z radością je zamknie. Jakże się mylił.

Od ponad 20 lat w Austrii istnieją sklepy socjalne dla uboższych, samotnych, wykluczonych, biednych studentów. Zasadą ich działania jest niedochodowa sprzedaż niewielkiego asortymentu towarów spożywczych i chemicznych najwyżej za jedną trzecią ceny rynkowej, a czasem darmowe ich przekazywanie, czyli bardziej sprawiedliwa dystrybucja podstawowych dóbr. Sklepy socjalne (społeczne) współpracują z sieciami handlowymi, firmami i producentami, którzy bezpłatnie oddają towary nienadające się do tradycyjnego handlu z powodu niewielkiego uszkodzenia opakowania albo z małą szansą na zbyt z powodu nadmiaru produkcji. Są to głównie placówki samoobsługowe, wszyscy zaangażowani w ich działalność pracują jako wolontariusze.

Pierwszy był SozialMarkt (SOMA) w Linzu w Górnej Austrii w 1999 r., kolejny pojawił się w Karyntii. Stał się wzorem dla marketów socjalnych w Austrii. Alexander Schiel z Wiednia spotkał się z tą ideą właśnie

Wiedeński SozialMarkt wspiera zamożna rodzina Glocków, producentów słynnej broni.

w Karyntii, ojczyźnie swojego dawnego idola politycznego Jörga Haidera. Po rozstaniu z polityką postanowił pomagać, ale na swój sposób: uznał, że paleta darowanych towarów jest zbyt uboga i chce ją urozmaicić zakupami. Zainwestował 30 tys. euro oszczędności i otworzył pierwszy sklep. – Musisz być w tym całym sercem i zaangażowaniem, to jest praca i powołanie – mówi były informatyk, członek zarządu giełdy. Przychody ze wszystkich trzech sklepów pokrywają dziś 17 tys. euro kosztów czynszu, energii elektrycznej i gazu oraz zakupów. Schiel nigdy nie sięga po środki publiczne, ma inne pomysły na finansowe bezpieczeństwo swoich sklepów. To darczyńcy. Przekonał do tej idei zamożną rodzinę Glocków,

producentów słynnej broni. Miłośniczka rasowych koni, 41-letnia żona Gastona Glocka, Kathrin, wspiera sklepy dotacjami w wysokości 100 tys. euro. Informacja o sponsorze producencie broni wisi w marketach. U niektórych budzi mieszane uczucia.

Ma być także przyjemnie

Schiel uważa, że „w innych marketach socjalnych ludzie często dostają to, co w przeciwnym razie trafiłoby do kosza. Nawet jeśli to nie musi być złe, niekoniecznie jest to dla nich przyjemne”. Dlatego na święta i różne szczególne okazje wprowadza niemal luksusowe produkty, na które jego klientów nie byłoby stać. Teraz udało się zorganizować „wizytę zajączka wielkanocnego Milka, który w naszych sklepach ukrył 25 palet różnych

rewelacyjnych produktów świątecznych. Oczywiście znaleźliśmy je wszystkie i rozdzieliliśmy do naszych sklepów”. SOMA pisze na swoim profilu społecznościowym: „Bardzo się cieszymy, że możemy sprawić naszym Klientom radość i cieszymy się z wielu błyszczących radością dziecięcych oczu. Wasz szczęśliwy zespół Socjalnego Marketu w Wiedniu”. Takich akcji wprowadzania „normalności” i dobrych towarów do sklepów dla ubogich jest więcej. Zwiększa to poczucie godności, bo chodzenie do marketów socjalnych dla wielu osób bywa wstydlive.

Wyniki „Sozialmarkt Wien” są imponujące: przez 10 lat rozdano lub sprzedano tanio potrzebującym 9 tys. ton dóbr codziennego użytku.

Markety społeczne niejedno mają imię

To nie tylko punkty dystrybucji żywności, ale przede wszystkim „stacje tankowania ludzkiego ciepła”

Wymagało to 650 tys. godzin wolontariatu, a tu się odkrywa kolejna pozytywna strona podobnych działań: możliwość odpracowania społecznych prac w ramach resocjalizacji.

Sklepy są otwarte od poniedziałku do piątku od godz. 10 do 14.30. Popyt rośnie. W Karyntii od czasu wybuchu pandemii liczba kupujących tylko w jednym z sześciu sklepów socjalnych wzrosła o 15%. Najwięcej marketów społecznych jest w Górnej Austrii, Styrii i Dolnej Austrii, najmniej w Burgenlandzie, ani jednego zaś w Vorarlbergu.

W Wiedniu jest ok. 156 tys. bezrobotnych, z marketów społecznych korzysta 45-50 tys. osób. W całej Austrii nie ma pracy lub pracuje w niepełnym wymiarze 1,8 mln osób. – Popyt rośnie – mówi Peter Kohls z SOMA w wiedeńskim Neubau. – Rok temu dziennie zjawiało się od 100 do 150 klientów, obecnie w każdym sklepie jest ich 200. Mamy wiele nowych rejestracji – dodaje Schiel, bo podstawą dokonywania tanich zakupów jest wykazanie się dokumentami o dochodach, dopiero wtedy klienci otrzymują kartę autoryzacyjną. Limit dochodu np. dla osób samotnych wynosi od 800 do 1,3 tys. euro, w zależności od landu. Jeden klient tygodniowo może wydać w sklepie najwyżej 35 euro. Szef SOMA Alexander Schiel powtarza od lat: „Właściwie wszyscy chcemy jak najszybciej stracić naszych klientów”, bo więcej klientów to więcej osób z problemami finansowymi.

Część ze stu austriackich marketów socjalnych należy do organizacji SOMA Austria & Partner. Na jej zlecenie Uniwersytet Ekonomiczny w Wiedniu przygotował raport, z którego wynika, że 1 euro wniesione do SOMA to równowartość 8,47 euro przekazanych świadczeń socjalnych.



Ta pomoc ma inne niebagatelne znaczenie: odciąża klientów nie tylko finansowo, ale także psychicznie.

Vinzipomysły na walkę z ubóstwem

Jednak symbolem wszechstronnej i bezpośredniej pomocy biednym i wykluczonym w Austrii jest ks. Wolfgang Pucher. Bliski stylem działania Markowi Kotańskiemu, twórca noclegowni, sklepów społecznych, inicjatyw na rzecz walki o godność ludzi, których życie wyrzuciło na margines. Pucher przeniósł do Austrii ideę Vinzi, wspólnot charytatywnych Société de Saint-Vincent-de-Paul, stworzonych w Paryżu w XIX w. przez prawnika Frédéric Ozanama. Najpierw w 1990 r. do Eggenbergu w Styrii, potem do Wiednia i innych landów. Warto dodać, że ks. Pucher udowodnił w Trybunale Konstytucyjnym w 2013 r. nielegalność zakazu żebrania wprowadzonego w Styrii dwa lata wcześniej. Zasadą Puchera i jego Vinzigemeinschaft jest szybkie, niebiurokratyczne, czasem niekonwencjonalne działanie bez pytania, skąd ktoś pochodzi i jaką ma przeszłość.

Najpierw był VinziBus, który okazał się nie tylko punktem dystrybucji

żywności, ale przede wszystkim „stacją tankowania ludzkiego ciepła”. To ciepło i zrozumienie stało się modelem działania wszystkich placówek Vinzi. Przytulisko dla bezdomnych VinziDorf powstało w 1993 r. Było to pierwsze miejsce w Austrii, w którym przebywający mogli spożywać alkohol, skoro byli od niego uzależnieni. Ten obniżony próg warunków sprawił, że praktycznie każdy bezdomny mógł zostać przyjęty. Około 900 wolontariuszy opiekuje się „gośćmi”, jak są określane i traktowani podopieczni. Czas, miłość, cierpliwość i zrozumienie to często najlepsza terapia.

Dzisiaj to 40 różnych rodzajów działań Vinzi, zakwaterowanie nawet dla 450 osób, zapewnienie posiłków i artykułów spożywczych dla kolejnych 1,5 tys. Vinzi-Werke są szansą na pomoc i aktywizację imigrantów, Romów, alkoholików, narkomanów. No i dziesięć WinziWerke, sklepów, w których wszystkie towary, które kiedyś zostałyby wyrzucone, są sprzedawane po maksymalnej cenie 30% wartości. Dziennie to 12 ton towarów na krótko przed upływem terminu ważności; te przeterminowane są oznaczone inaczej. Także tu kartę uprawniającą do zakupów otrzymuje się po złożeniu poświadczenia

Przed świętami Alexander Schiel ściągnął do sklepów 25 palet różnych produktów wielkanocnych.

dochodów. Limit tygodniowych zakupów wynosi 30 euro, co odpowiada rzeczywistej wartości towarów wynoszącej ok. 120-150 euro. W Vinzi-Markt można kupować też w soboty. Sklepy tej marki obsługują dziennie 1,2 tys. osób.

Różne modele

Istnieją w Austrii także sklepy z używaną odzieżą, artykułami gospodarstwa domowego, meblami i wszelkim wyposażeniem, w których za grosze można kupić rzeczy z drugiej ręki. Tak działają Caritas czy Vinzigemeinschaft. Te sklepy opierają działalność jedynie na sprzedaży rzeczy otrzymanych za darmo.

W listopadzie 2009 r. Caritas rozpoczął projekt Le+O – od *Lebensmittel und Orientierung* (żywność i orientacja), czyli „więcej niż tylko jedzenie”. Dziś zakupy w Le+O można robić w 14 parafiach w Wiedniu i w trzech w Dolnej Austrii. – Le+O łączy dystrybucję żywności wśród osób dotkniętych ubóstwem z indywidualnymi, bezpłatnymi poradami i wskazówkami – wyjaśnia kierowniczka Le+O, Eva Schwaiger. Tu także ważny jest dochód szukającego pomocy. Przepustka Le+O pozwala raz w tygodniu, za jedyne 4 euro, dostać obfitą paczkę żywnościową dla jedno-, dwuosobowych gospodarstw domowych lub za 6 euro dwie paczki dla gospodarstw większych. Podobnie z artykułami higienicznymi – są paczki za 3 i za 4,50 euro. Są też miejsca z odzieżą za grosze. W samym Wiedniu korzysta z takiej pomocy co najmniej 1,1 tys. rodzin tygodniowo.

Modele sklepów społecznych są różne, w zależności od ich twórców i ich wizji pomagania: czy ma to być niezbędne minimum, czy „odrobina luksusu” dla psychicznego wsparcia uboższych. Zdaniem ortodoksyjnie patrzących społeczników sklepy społeczne winny się opierać tylko na darach, jednak Alexander Schiel robi to inaczej i też pomaga ludziom. Na pewno społeczne markety nie rozwiążą problemu biedy. Ale dobrze, że są.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Pierwsze klatki wideoklipu przypominają zwiastun dystopijnego filmu z Hollywood. Spoza kadru silny damski głos oznajmia widzom, że tradycyjne wyobrażenia przestrzeni miejskiej nie przystają już do rzeczywistości. Jako potwierdzenie tej tezy otrzymujemy kilka stereotypowych obrazków z największych światowych metropolii. Tłumy ludzi na ulicach szczelnie wypełnionych samochodami. Morze światła, brak swobody. To miasta przeszłości – sugerują autorzy wideoklipu. Miasta, które nie poradziły sobie z wyzwaniem, jakim stał się rozrost zarówno ich populacji, jak i przestrzeni. Rezultatem są nie tylko korki na ulicach, ale też gigantyczne zanieczyszczenie powietrza. I uczucie przytłoczenia skalą miejsca, w którym żyje się na co dzień i w którym ta egzystencja staje się coraz trudniejsza.

Potem jednak ton zmienia się na nieco bardziej optymistyczny. Bo co, jeśli miasto można by zbudować inaczej? Zamiast samochodów puste przestrzenie, zamiast gigantycznych dystansów maksymalnie pięciominutowe spacer. Zanieczyszczenie nie byłoby problemem, gdy wyeliminowane zostałyby jego źródła. Zero emisji, zero korków, zero hałasu. Technologia ukryta pod ziemią i projekt tak prosty, że nauka nie zna prostszych. Miasto zbudowane wzdłuż jednej linii. The Line, 170 km w pełni kontrolowanej przestrzeni miejskiej. Najambitniejszy projekt urbanistyczny współczesności. Jednocześnie pomysł na niezwykle niebezpieczną utopię społeczną, zaczerpnięty z klasyków kina i literatury.

The Line to diament w koronie modernizacyjnych projektów Muhammada ibn Salmana, saudyjskiego następcy tronu i jednego z najbardziej kontrowersyjnych przywódców. Zachód długo widział w nim jaskółkę nadziei na unowocześnienie kraju, odejście od gospodarki opartej niemal wyłącznie na ropie i wejście w rolę regionalnego lidera, zapewnającego stabilność polityczną w tej części świata. Książę, znany pod angielskim akronimem MBS, chętnie wszedł w ten uszyty mu przez Europę i USA kostium, jednocześnie zachował całkiem sporo cech władcy autorytarnego. To on stał za



Linia życia na pustyni

Saudyjczycy budują miasto przyszłości, a zarazem niebezpieczną utopię

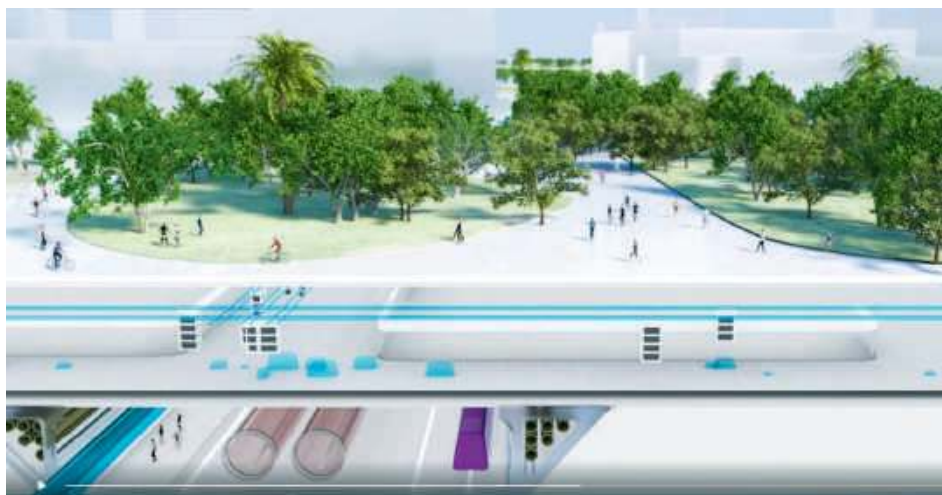
morderstwem niepokornego dziennikarza Dżamala Chaszukdziego. Członków własnej rodziny, którzy mogli zagrozić mu w przejęciu saudyjskiej korony, powstrzymał do więzień. Przeciwników politycznych wygnał z kraju. Na arenie międzynarodowej zaś przyczynił się do znacznego pogorszenia sytuacji w Jemenie, gdzie od 2014 r. w wyniku wojny i głodu zginęło już ponad 200 tys. osób. Budując The Line, chce udowodnić, że bizantyjskie plany zmiany oblicza Arabii Saudyjskiej nie były tylko chwilowym zabiegiem poprawiającym wizerunek monarchii. MBS zamierza pokazać światu, że to właśnie na saudyjskim wybrzeżu zaczyna się przyszłość.

Robiąc to, nie będzie się liczył z kosztami. Cały projekt ma łącznie pochłonąć nawet 200 mld dol. Za tę cenę Saudyjczycy chcą sobie bowiem kupić coś, czego nie ma nikt na świecie – swobodę mieszkania w dużym mieście. Diagnoza jest zresztą postawiona trafnie, wszędzie bowiem rozrastające się ośrodki miejskie przestają sobie radzić z wyzwaniami logistycznymi, finansowymi i klimatycznymi. Niektóre, jak Singapur, Miami czy Dżakarta, za kilka dekad mogą znaleźć się pod wodą. Inne, jak Kair, już w tej chwili mają

tak wysoki poziom zanieczyszczenia, że trudno w ogóle w nich przeżyć, nie mówiąc o normalnym funkcjonowaniu. The Line ma być wolne od tych problemów.

Liczące docelowo milion mieszkańców miasto całą infrastrukturę drogową schowa pod ziemią. Tam znajdą się nie tylko przemysłowe szlaki komunikacyjne, przeznaczone dla samochodów dostawczych, ale też ekspresowa kolejka, łącząca skrajne części miasta. Samo to zadanie będzie znacznie trudniejsze, niż może się wydawać. Chociażby dlatego, że jeden koniec The Line znajdzie się na wybrzeżu Morza Czerwonego, a drugi 170 km w głąb saudyjskiego interioru, na wyżynach północno-wschodniej części kraju. Po drodze czeka pustynia, ale też wysokie góry – nawet na 2500 m n.p.m. Miejsca, przez które przebiegać ma linia miasta przyszłości, różnić się będą więc diametralnie nawet pod względem klimatu.

Dostać się tam będzie można drogą lotniczą i morską, a podróż z jednego na drugi koniec ma zająć tylko 20 minut. Cały plan miasta będzie się opierać na trzystopniowej konstrukcji. Najniżej położony będzie tzw. kręgosłup, w którym znajdzie się przede



Tak ma wyglądać miasto przyszłości w Arabii Saudyjskiej.

wszystkim infrastrukturą energetyczną i wodną. Ten drugi element w saudyjskim kontekście ma dużo większe znaczenie niż gdziekolwiek indziej z prozaicznego powodu – w całej Arabii Saudyjskiej nie ma ani jednej regularnie płynącej rzeki. Chociażby dlatego zapewnienie bieżącej wody milionowemu miastu będzie gigantycznym wyzwaniem inżynierskim. Nie lepiej jest z energią, docelowo w całości pochodzącą ze źródeł odnawialnych. Wyżej, na poziomie usługowym, projektanci chcą ulokować całą komunikację. A po najwyższym

kluczowe w tym kontekście jest słowo „jeśli”, w tej chwili bowiem nie jest pewne, czy projekt saudyjskiego księcia nie podzieli losu innych utopijnych wizji, które szybciej niż przyszłością stały się historią. To bowiem nie pierwsze podejście saudyjskiej monarchii do ambitnej urbanistyki. Już w 2007 r. próbowano tam zbudować aż cztery kompleksy miejskie, każdy skoncentrowany wokół innego obszaru gospodarki. Ostatecznie powstał, i to nie w całości, tylko jeden – najpewniej dlatego, że nosił imię ówczesnego monarchy, króla Salmana.

The Line, miasto zbudowane wzdłuż jednej linii, to najambitniejszy projekt urbanistyczny w historii.

piętrze, jedynym znajdującym się na powierzchni ziemi, mają się poruszać tylko piesi. W dodatku tego ruchu nie będą musieli wykonywać zbyt wiele, bo cała idea The Line oparta jest na braku konieczności przemieszczania. „Wszystko, czego mieszkańcy będą potrzebować, dostępne będzie w promieniu pięciominutowego spaceru”, głosi jeden ze sloganów reklamowych projektu.

W praktyce oznacza to jednak, że The Line nie będzie – wbrew temu, co usiłują sprzedać światu MBS i wynajęte przez niego publiczne autorytety – miastem o długości 170 km, równomiernie rozciągniętym na tym dystansie. Tak naprawdę – jeśli powstanie – będzie kilkoma czy kilkunastoma skupiskami „przyklejonymi” do wspólnego kręgosłupa. Przy czym

The Line ma liczyć milion mieszkańców już w 2030 r. A biorąc pod uwagę, że dziś, zaledwie dziewięć lat od tej daty, przez ten obszar przesypane jest co najwyżej podnoszony przez wiatr piasek, trudno w to uwierzyć. Skala inwestycji i inżynierskich trudności wydaje się ogromna, wymaga raczej dziesięcioleci niż niecałej dekady pracy. Sami Saudyjczycy też robią niewiele, by swoje plany uwiarygodnić. Poza wspomnianym promocyjnym klipem, dostępnym w internecie i wyświetlanym w hotelach czy samolotach, o szczegółach technicznych miasta przyszłości nie wiadomo prawie nic. Choć MBS pierwszy raz publicznie opowiedział o projekcie już w 2017 r., żaden z kluczowych elementów infrastrukturalnych The Line nie jest jeszcze

gotowy. W dodatku rząd w Rijadzie sukcesywnie odrzuca wszystkie prośby o wywiady czy udostępnienie nowych materiałów. O tym, że na wybrzeżu Morza Czerwonego od dwóch miesięcy trwają pierwsze prace budowlane, wiadomo tylko dzięki zdjęciom satelitarnym. Jak donosi dziennik „Financial Times”, trudno jednak mówić jeszcze o jakimkolwiek stopniu zaawansowania – na razie widziane na fotografiach instalacje nie wystarczyłyby nawet na pomieszczenie wszystkich robotników potrzebnych do budowy podziemnych tuneli. A przywieźć ich trzeba będzie z innych części kraju, bo obszar, na którym powstaje The Line, jest prawie niezamieszany.

Prawie, bo wyjątek stanowią tutaj Beduini, których na tych ziemiach jest niemal 20 tys. Według nieoficjalnych informacji MBS podjął już próbę przesiedlenia ich w głąb kraju, oczywiście przymusowo i bez wsparcia państwowego. Nie obeszło się przy tym bez międzynarodowych kontrowersji. Przesiedlenia, dodane do zamachu na Chaszkudziego i kryzysu jemeńskiego, spowodowały wycofanie się z rady konsultacyjnej projektu m.in. znanego architekta Normana Foster. Książę traci więc sojuszników, nie zostało mu też za dużo czasu. Ma oczywiście wciąż praktycznie nielimitowane zasoby finansowe, ale one tym razem mogą nie dać mu kluczy do przyszłości. ■

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

- Jerzy J. Wiatr
- Longin Pastusiak
- Tadeusz Iwiński
- Danuta Waniek
- Bogusław Liberadzki
- Krzysztof Janik
- Tadeusz Wojciechowski
- Tadeusz Klementewicz
- Andrzej Wilk
- Piotr Gadzinowski

www.trybuna.info

Kosztowny upór Mikołajczyka

Nie jest prawdą, że w latach 1944-1948 mieliśmy do czynienia z antykomunistycznym powstaniem

Lech Mazewski

Krajowa Rada Narodowa, utworzona w noc sylwestrową z 1943 na 1944 r., reprezentowała Polską Partię Robotniczą oraz drobne siły lewicowe, pozostające poza głównym nurtem politycznego życia Polskiego Państwa Podziemnego. Ówczesni przywódcy PPR nie odwoływali się do spuścizny Komunistycznej Partii Polski; ich program prezentował społeczny radykalizm uzupełniony o hasła ogólnodemokratyczne i wezwania do walki z Niemcami. Podobny program i skład miał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, którego

dominacji geopolitycznej? To teza w dużym stopniu prawdziwa, aczkolwiek należy poczynić tu pewne zastrzeżenie; mówimy bowiem o pluralizmie odnoszącym się jedynie do tych sił lewicowych, które nie kontestowały ówczesnego położenia międzynarodowego Polski, co czyniła choćby część socjalistów.

Powojenny ograniczony pluralizm polityczny miał charakter mocno opresyjny. Władze zwalczały podziemie niepodległościowe – realnego przeciwnika porządku, który został ustanowiony w Polsce po wojnie, wyrażającego swój sprzeciw częstokroć z bronią w ręku. Nie jest jednak prawdą, że w latach 1944/1945-1948

politycznego ku centrum, poprzez objęcie nim Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy. Zasadnicze pytanie brzmiało, czy ze względu na oczekiwanie przywódcy PSL szybkiego przeprowadzenia wyborów parlamentarnych zasada ograniczonego pluralizmu miałaby zostać odrzucona na rzecz powrotu do demokracji, a może chodziło raczej o zmianę parytetów w ramach poszerzonego o ludowców systemu ograniczonego pluralizmu politycznego. Wkrótce opozycyjne PSL liczyło kilkaset tysięcy aktywnych członków, szukających dla siebie możliwości uczestnictwa w życiu publicznym, krytycznych wobec

istniejącego stanu rzeczy, ale jednocześnie w większości odrzucających angażowanie się w działania

zbrojne. Słowem, lider ludowców poddany został próbie znalezienia realistycznego rozwiązania politycznego w granicach określonych przez wyniki II wojny światowej.

Gomułka na posiedzeniu Komitetu Centralnego PPR i Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS 28 września 1945 r. wysunął koncepcję stworzenia bloku wyborczego wspólnie z PSL. Kongres PSL, który odbył się w styczniu 1946 r., nie rozstrzygnął, czy Stronnictwo zaakceptuje tę propozycję; opowiedział się jedynie za demokratycznymi wyborami, przeprowadzonymi bez żadnych nacisków.

W lutym 1946 r. doszło do rozmów między PPR, PPS i PSL. Przedstawiciele dwóch partii lewicowych proponowali po 20% mandatów dla PPR, PPS, PSL i Stronnictwa Ludowego oraz po 10% dla Stronnictwa Demokratycznego i SP. W odpowiedzi Mikołajczyk zażądał 75% miejsc poselskich dla „reprezentantów wsi”, co wobec słabości SL oznaczało konstytucyjną większość dla jego partii. Ponadto ludowcom miałyby przypaść najwyższe stanowiska

Mikołajczyk zażądał 75% miejsc poselskich dla „reprezentantów wsi”.

manifest datowany jest na 22 lipca 1944 r. Wkrótce potem na terenach wyzwolonych odtworzyła swoje struktury Polska Partia Socjalistyczna. W oparciu głównie o te dwie partie lewicowe 31 grudnia 1944 r. PKWN został przekształcony w Rząd Tymczasowy RP.

Siły reprezentowane w KRN i PKWN nie miały wyborczej legitymacji do rządzenia Polską, ich mandat pochodził z woli Związku Radzieckiego jako hegmona geopolitycznego. Początkowo dominacja radziecka miała jedynie charakter wojskowo-dyplomatyczny, a nie ideologiczny, pozostawiając władzom w Warszawie duży zakres autonomii w sprawach wewnętrznych. Będąca u władzy lewicowa koalicja wykorzystywała to do realizacji własnego programu społeczno-gospodarczego, niemającego wiele wspólnego z rozwiązaniami radzieckimi.

Czy w związku z tym można uznać, że po 22 lipca 1944 r. rządy w Polsce sprawowane były w ramach swego rodzaju ograniczonego pluralizmu politycznego o odcieniu lewicowym, limitowanego istnieniem radzieckiej

mieliśmy do czynienia z czymś w rodzaju antykomunistycznego powstania. Wedle spisu powszechnego z 1946 r. w Polsce żyło 24 mln osób. W działalność podziemia zaangażował się niecały 1% Polaków, a z bronią w ręku walczył niespełna promil. W wyniku amnestii ogłoszonej na początku 1947 r. olbrzymia większość uczestników podziemia poakowskiego i mniej więcej połowa narodowego złożyła broń. Walki zbrojne praktycznie ustały.

Spór o procenty

Sytuacja polityczna istotnie zmieniła się po przekształceniu Rządu Tymczasowego w Rząd Jedności Narodowej, co nastąpiło w wyniku realizacji postanowień konferencji moskiewskiej (16-21 czerwca 1945 r.). To tam Władysław Gomułka, sekretarz generalny PPR, skierował do Stanisława Mikołajczyka, przywódcy ludowców i wicepremiera nowego rządu, znane słowa, że raz zdobytej władzy nie oddamy. Z drugiej jednak strony realizacja postanowień tej konferencji oznaczała poszerzenie pluralizmu



Stanisław Mikołajczyk, Edward Osóbka-Morawski i Michał Rola-Żymierski na posiedzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, 1946 r.

państwowe, „co najmniej prezydenta, premiera, marszałka sejmu czy senatu, prezesa NIK”. Trudno nie uznać tego za wygórowane oczekiwania, całkowicie nieliczące się z wewnętrznym układem sił oraz istniejącym ograniczeniem niepodległości na rzecz ZSRR.

Druga tura rozmów na temat bloku wyborczego miała miejsce w sierpniu 1946 r. Tym razem były to rozmowy przede wszystkim między PPS a PSL. Socjaliści obawiali się, że po sfałszowanym referendum dojdzie do fałszerstwa wyborów i w konsekwencji rozbicia PSL, co prowadziłoby do całkowitego podporządkowania PPS kierownictwu PPR. W tej sytuacji chodziło im o nakłonienie za wszelką cenę PSL do wejścia w skład bloku wyborczego. 23 sierpnia 1946 r. Edward Osóbka-Morawski z PPS złożył przedstawicielom PSL następującą propozycję: „Ostatecznie co można uzyskać, to 25% dla was w bloku, my mielibyśmy 20%, doszłoby do nas jeszcze kilka procent z tych drobnych stronnictw i moglibyśmy mieć większość i tym samym pozbyć się supremacji PPR”.

Trzy dni później na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL Mikołajczyk odrzucił propozycję PPS. Inny lider ludowców,

Władysław Kiernik, stwierdził, że 25% to jednak 110 mandatów poselskich i że w wyborach, wobec terroru i spodziewanego sfałszowania wyników, PSL takiego rezultatu może nie uzyskać.

Do ostatecznej rozmowy między PPS a PSL doszło 28 sierpnia. Józef Cyrankiewicz złożył następującą propozycję: po 25% mandatów dla PPR i PSL, dla PPS – 22%, SL – 12% oraz SD i SP – po 8%. Odpowiedź Mikołajczyka brzmiała: „Na 25% dla nas nie możemy się w żadnym wypadku zgodzić. Możliwe byłoby ewentualnie do przyjęcia 40%”.

28 sierpnia 1946 r. Cyrankiewicz złożył następującą propozycję: po 25% mandatów dla PPR i PSL, dla PPS – 22%, SL – 12% oraz SD i SP – po 8%.

Konkluzja Stanisława Szwalbego z PPS była oczywista: „Sądzę, że PPR nie zgodzi się na waszą propozycję, a wówczas zmuszeni jesteście poddać się metodom oszustwa”.

30 sierpnia 1946 r. Józef Niecko – jeden z partyjnych konkurentów Mikołajczyka – opowiedział się za wspólnym blokiem wyborczym: „Rosja Sowiecka, kierująca się ideą imperializmu ideowego i tere- nowego, konsekwentnie dąży do

podporządkowania sobie Polski. W tej sytuacji negacja polityczna jest niedopuszczalna”. I realistycznie konkludował: „Dzisiejsza rzeczywistość nie jest wieczna. Jeżeli się zmieni, to musi być zdrowy czynnik budowy państwa”.

Wizyta u Stalina

Na początku września 1946 r. delegacja PPR i PPS przybyła do Moskwy na rozmowy ze Stalinem na temat przyszłych wyborów. Przywódca ZSRR miał podtrzymać propozycję objęcia 25% mandatów przez PSL, obniżając pozycję PPR do 20% miejsc poselskich, tyle samo przyznał PPS. Był jednak warunek: utworzenie wspólnego bloku wyborczego. Jeśli to nie nastąpi – PSL miało być wyeliminowane z życia politycznego. Bezpośrednio po tym o rozmowę ze Stalinem zabiegał również Mikołajczyk, ale bez skutku.

26 września 1946 r. odbyło się posiedzenie rady naczelnej i klubu poselskiego PSL w sprawie uczestnictwa we wspólnym bloku wyborczym. Po dłuższej debacie zwyciężył pogląd Mikołajczyka, aby Stronnictwo samodzielnie startowało w wyborach, dążąc w ten sposób do realizacji zasady pełnego pluralizmu politycznego. Zlekceważono natomiast realistyczne ostrzeżenia zarówno partyjnych oponentów lidera ludowców, jak i wcześniejsze głosy socjalistów. Zwyciężył pogląd mało realistyczny – bez szans na sukces. Tradycja powstańcza raz jeszcze wzięła górę, co w przypadku przywódcy ruchu ludowego jednak dziwi.

Zdaniem Andrzeja Werblana Gomułka w stosunkach z przywódcą PSL był „zwolennikiem kompromisowych rozwiązań, pod warunkiem że nie zagrażają one już uformowanemu podstawom ustroju i generaliom polityki zagranicznej, czyli zasadom ustalonym w umowie moskiewskiej na gruncie porozumień jaltańskich”. Jaką rolę w tak limitowanym kompromisie miał do odegrania blok wyborczy? „Koncepcja

bloku sześciu miała wszystkie cechy kompromisu. PPR odstępowała od dążenia do monopolistycznej pozycji politycznej. Partie przywiązane siłą tradycji i ideologii do pluralistycznego, konkurencyjnego modelu demokracji politycznej, akceptując blok, rezygnowałyby z ubiegania się o parlamentarną przewagę, ale zyskiwały możliwość trwałego działania w warunkach znacznego zakresu swobód politycznych”.

Po latach drugoobiegowi wydawcy „Diariusza” Stanisława Mikołajczyka napiszą we wstępie: „Szkoda, że jedna z niewielu szans polskiej

kontynuacja polityki, jaką w okresie II wojny światowej wobec Mikołajczyka jako premiera rządu RP prowadzili ówcześni przywódcy obu mocarstw anglosaskich. Nadzieja na pomoc tych państw po raz kolejny okazała się iluzją, ale przynajmniej Brytyjczycy nie łudzili gruszkami na wierzbie.

Dalsze wydarzenia przebiegły zgodnie z przewidywanym przez wszystkich – z wyjątkiem Mikołajczyka – scenariuszem. 19 stycznia 1947 r. odbyły się wybory, które przyniosły zwycięstwo blokowi wyborczemu z PPR na czele. Wynik

W latach 1944-1945 ukształtował się w Polsce rodzaj lewicowego autorytaryzmu o mocno opresyjnym charakterze. Funkcjonowanie PSL w tym systemie miało jedynie krótkotrwały charakter. Lewicowy autorytaryzm z lat 1944/1945-1948, określany często mianem ludowej demokracji, to w dużym stopniu pośredni model ustrojowy między rozwiązaniem radzieckim a demokracją liberalną na wzór zachodni. Próba walki o pełną demokrację polityczną była wtedy czymś kompletnie nierealnym. Na nic więcej Polska nie mogła liczyć, a powieszenie położenia Finlandii po II wojnie światowej pozostawało poza naszym zasięgiem. Wymagałoby to podjęcia współpracy z Moskwą przez Mikołajczyka już w czasie wojny, zanim Stalin zaczął tworzyć nową strukturę władzy w Polsce. Nie da się jednak rozstrzygnąć, czy nawet w przypadku powodzenia ten model finlandyzacji państwa miałby cechy trwałości.

Epizod lewicowego autorytaryzmu w powojennej Polsce, równoznaczny z istnieniem systemu ograniczonego pluralizmu politycznego z krótkotrwałym udziałem PSL, wart jest pamiętania choćby z tego względu, żeby lata 1944/1945-1948 kojarzyły się nam z czymś więcej niż kontrowersjami wokół działań partyzantki niepodległościowej. W tym

Koncepcja bloku sześciu miała wszystkie cechy kompromisu.

demokracji – możliwość współpracy PPS i PSL – została zaprzepaszczone. Oczywiście nie była to wyłącznie wina Mikołajczyka, nie wiadomo też, jakie działania ze strony PPR sojusz taki wywołałby”. Należy pamiętać, że ważniejsze niż stanowisko PPR był pogląd kierownictwa ZSRR, bo do niego należał głos decydujący. A Stalin do pewnego czasu przychylił nie patrzył na tego rodzaju rozwiązanie, choć na przełomie lat 40. i 50. zmienił stanowisko.

Wydaje się, że wicepremier Rządu Jedności Narodowej nigdy do końca nie zrozumiał tego, co powiedział do niego sekretarz generalny PPR podczas konferencji moskiewskiej w czerwcu 1945 r. Nie można było w realistyczny sposób uprawiać polityki w Polsce pojałtańskiej, ignorując fakt dominującego udziału PPR w sprawowaniu władzy, natomiast uwzględnienie tego faktu umożliwiałoby toczenie sporu o formułę ograniczonego pluralizmu politycznego. Na nic więcej ZSRR nie wyrażał wówczas zgody.

Zgodnie ze scenariuszem

Nie wolno również zapominać o naiwnej wierze Mikołajczyka w poparcie mocarstw anglosaskich. Jednak ambasador Wielkiej Brytanii, w przeciwieństwie do kolegi ze Stanów Zjednoczonych, nakłaniał lidera PSL do uwzględniania istniejących w Polsce realiów, bo tylko w takiej sytuacji możliwe byłoby odwołanie się do nacisku dyplomatycznego Londynu czy Waszyngtonu. Byłaby

wyborów został sfałszowany. Niedługo potem przywódca ludowców z pomocą służb amerykańskich uciekł z Polski, a PSL uległo rozbiciu. W 1949 r. ze spacyfikowanych resztek PSL i prorządowego SL powołane zostało Zjednoczone Stronnictwo Ludowe.

Założmy jednak, że Mikołajczyk przyjąłby propozycje i PSL pozostałoby częścią systemu ograniczonego pluralizmu politycznego. Czy w takiej sytuacji doszłoby do uniformizacji państw podporządkowanych ZSRR, co miało miejsce na przełomie lat 40. i 50.? Była ona wynikiem głównie nasilającej się zimnej wojny, a nie

W działalność podziemia zaangażował się niecały 1% Polaków, a z bronią w rękę walczył niespełna promil.

jakichś przesłanek dotyczących wewnętrznych spraw Polski czy innych państw pozostających w radzieckiej strefie wpływów. Nie wolno też zapominać, że ten sam proces homogenizacji polityczno-ustrojowej następował w państwach, które znalazły się po amerykańskiej stronie żelaznej kurtyny. To wtedy komuniści musieli opuścić rządy Francji i Włoch, w których zasiadali od zakończenia wojny, a powstaniu greckich komunistów Związek Radziecki udzielił jedynie niewielkiej pomocy. Wszystkie te trzy partie komunistyczne były znacznie silniejsze niż pozostające w radzieckiej strefie wpływów, może z wyjątkiem komunistów czechosłowackich, a i tak nie miało to znaczenia.

czasie Mikołajczyk został poddany próbie politycznego realizmu i trudno uznać, żeby jej podołał, ale i Gomułka – znacznie lepiej od niego rozumiejący realia powojennej Polski – ostatecznie wylądował w więzieniu. Być może nie było tu dobrego rozwiązania, jednak decyzję lidera ludowców o wzięciu udziału w legalnym życiu politycznym ówczesnej Polski należy oceniać wyżej niż walki zbrojnego podziemia – mimo wszelkich iluzji, które temu towarzyszyły.

Dr hab. Lech Mażewski jest ustrojoznawcą. Ostatnio opublikował monografię „Prymas Stefan Kardynał Wyszyński wobec Polski po 1944/1945 r. Elementy analizy ustrojoznawczej i geopolitycznej”, Warszawa 2020

Nieposkromiony wulkan muzyki

Jerzy Maksymiuk: kocham muzykę, żyję nią, myślę dźwiękami.
Mam nadzieję, że wszystko będzie mi wybaczone



Bronisław Tumitowicz

Maksymiuk? 60? 70? 80? To niemożliwe! Tak reagowali miłośnicy muzyki na kolejne okrągłe urodziny mistrza. Wciąż emanował młodzieńczą energią, nieposkromionym temperamentem i poczuciem humoru właściwym osobom, których wiek się nie ima. A teraz Maksymiukowi strzeliło 85 lat! Trudno w to uwierzyć.

Janusz Marynowski był jeszcze dzieckiem, gdy pierwszy raz usłyszał orkiestrę dyrygowaną przez Maksymiuka. Tamte wrażenia wspomina dziś: – Widać było, że grają, ale nie było słychać, że grają. Coś niezwykłego! Jak można stworzyć wrażenie napięcia, zupełnego piano, z którego nagle powstanie forte, co jest dowodem najwyższego mistrzostwa? Maksymiuk potrafił tak pokierować orkiestrą.

Nic dziwnego, że później Janusz Marynowski zaczął karierę jako kontrabasista w orkiestrze założonej przez Jerzego Maksymiuka, a z czasem stał się dyrektorem tego, co powstało z Polskiej Orkiestry Kameralnej, czyli Sinfonii Varsovii.

Jestem raczej smutnym człowiekiem. Wesołego tylko udaję przy ludziach.

Ostatnio Sinfonia Varsovia zagrała na 25. Wielkanocnym Festiwalu Beethovena w Filharmonii Narodowej. Maestro wystąpił w obszernej białej koszuli wypuszczonej na spodnie, a na nosie miał ogromne okulary. Jego dyrygenckie ruchy odbiegały daleko od potocznych wyobrażeń – zachowywał się tak, jakby prawą ręką przybijał młotkiem gwoździe albo ubijał kotlety tłuczkiem. Koncert odbywał

się bez publiczności, ale obraz z kamer i dźwięk za pośrednictwem internetu szedł na cały świat.

Jerzy Maksymiuk ma ogromną, przemożną chęć przemawiania do słuchaczy. Staje na dyrygenckim podium, rozgląda się i albo przed koncertem, albo po jego zakończeniu ma ochotę coś powiedzieć. A obsługa prawie nigdy nie jest przygotowana, by podać mistrzowi mikrofon. Mówi więc tylko do pierwszych rzędów.

Najczęściej coś zabawnego o muzyce, o kompozytorach, anegdotę zaśluszaną, a może wymyśloną przez siebie. Na przykład o słynnym fińskim kompozytorze Jeanie Sibeliusie, autorze świetnych symfonii, poematu „Finlandia” i „Smutnego walca”. Mówi się, że Sibelius skomponował o wiele więcej muzyki, ale sporo zapisaną nut, nawet „VIII symfonię”,

► spalił w piecu. – Ja też komponuję – dodaje dyrygent – ale nie mam odpowiedniego pieca. Zabieram głos – komentuje swoją manierę gadania do publiczności – jednak nie zawsze to się podoba. Raz jedna pani powiedziała: „Proszę już grać”.

Ale Maksymiuk nie rezygnuje ze swoich upodobań. – Kiedyś w Filharmonii Szczecińskiej – wspomina – odśpiewałem z nastoletnim melomanem fragment „Koncertu na obój i harfę” Witolda Lutosławskiego. Dopiero potem go zagrałem.

Zabieram głos, jednak nie zawsze to się podoba. Raz jedna pani powiedziała: „Proszę już grać”.

Szkoda, że nikt nie zapisywał tych opowieści Maksymiuka o muzyce, bo z tego powstałaby pasjonująca książka, zwierciadło wyobraźni i ogromnej wiedzy. Utyskiwał w tych historyjkach na skostniały repertuar wielu znakomitych orkiestr zagranicznych, z którymi przyszło mu pracować. Można podejrzewać, że gdy przez osiem lat szefował zespołowi BBC Scottish Symphony Orchestra, musiał na ten czas zawiesić spontaniczne pogadanki, nie mówiąc już o dopasowaniu się do angielskiego poczucia humoru. Wiadomo – Brytyjczycy mocno tkwią w tradycji. Z wczesnych zagranicznych kontaktów muzycznych zachowała się anegdota, jak po pierwszym spotkaniu z brytyjskimi impresariami koncertowymi maestro chciał powiedzieć coś miłego, ale jeszcze niezbyt dobrze mówił po angielsku. Zamiast zwyczajowego *nice to meet you* (miło państwu poznać) powiedział: *nice to eat you* (miło państwu zjeść). Ta pomyłka wcale nie popsowała kontaktów z Brytyjczykami. Występy rewelacyjnej Polskiej Orkiestry Kameralnej wywołały zachwyt Anglików, choć przecież najlepsze w świecie orkiestry kameralne powstały właśnie u nich.

Muzycy różnych orkiestr i zespołów, z którymi Maksymiuk choć przez chwilę współpracował, mają w pamięci jego niestandardowe zachowania i odzywki. Czasami przychodził na próbę z wielką walizką wypełnioną ubraniami, ale wyjmował z niej tylko duży budzik, nakręcał go i nastawiał np. na pół godziny. Próba była najczęściej ciężka, wszyscy patrzyli na zegar i czekali, kiedy wreszcie

zadzzwoni. W którymś momencie Maksymiuk wyłączał jakby nigdy nic budzik i ciągnął próbę. Pewnego razu, gdy próba się skończyła, dyrygent niezadowolony z jej przebiegu użył wulgarnego słowa: – Wszyscy jesteście ch... Zapanowała konsternacja, ale jedna ze skrzypaczek zachowała zimną krew i zapytała: – A ja? – Pani też – wypalił dyrygent. Do tego należy się komentarz. Kapelmistrz wyznaje: – Kocham muzykę, żyję nią, myślę dźwiękami. Mam nadzieję, że wszystko będzie mi wybaczone.

Maksymiuk ma wiele ciekawych powiedzeń wiążących się ze sferą płci. Na przykład mawia, że właściwie cała muzyka klasyczna jest oparta na jednym schemacie porównywalnym do kontaktów męsko-damskich. Najpierw kompozytor przedstawia dwa tematy, jeden to mógłby być mężczyzna, drugi – kobieta. Później te tematy łączą się ze sobą, czasem lirycznie i w zgodzie, ale niekiedy wybucha straszna kłótnia. W zakończeniu oba tematy powtarzają się, następuje rozwiązanie i koniec. Ta całość to forma sonatowa. Tak się pisało przez wieki.

Piękną opinię dyrygent wyraził też o żonie, Ewie Piaseckiej-Maksymiuk.

Sibelius sporo zapisanych nut spalił w piecu. Ja też komponuję, ale nie mam odpowiedniego pieca.

– Dostałem od niej dużo więcej, niż Don Giovanni otrzymał od wszystkich swoich kobiet.

Pani Ewa bardzo dba o męża, jest prywatnym impresariem, pilnuje go podczas wszystkich koncertów, a czasem powstrzymuje przed najbardziej kontrowersyjnymi zachowaniami. W zasadzie muzyk nie powinien publicznie oceniać innych muzyków, ale Maksymiuk niekiedy wybucha. Zdarzyło się, że zaczął głośno wyrażać krytyczne uwagi o jakimś utworze Henryka Mikołaja Góreckiego. Gdyby nie pani Ewa, byłoby nieprzyjemnie.

Chyba żaden dyrygent z taką pasją i pracowitością nie przygotowuje się do koncertów. Maksymiuk przepisuje ręcznie partytury utworów

symfonicznych, bo wtedy najlepiej rozumie, co kompozytor chciał przekazać muzykom i słuchaczom. Dziś nuty się przepisuje, jeśli jest taka potrzeba, na komputerze, i wpuszcza do drukarki, ale on woli metody XIX-wieczne. To, co przepisze, gra na fortepianie i wtedy nawet czyta między wierszami, co np. Beethoven chciał osiągnąć, a co mu się nie udało, bo żadna orkiestra nie jest w stanie wykonać jego zamysłu. Wyposażony w tę wiedzę idzie na próbę i usiłuje jednak dokonać czegoś niezwykłego. Jeśli się uda, to porównuje włożony wysiłek muzyków do startu rakiety z przyłódka Canaveral na Florydzie.

Zdarza się, że przed próbą maestro spaceruje po parku i własnoręcznie wystruganą batutą dyryguje w myślach i w rzeczywistości utworem, który ma w uszach, w swojej ogromnej muzycznej pamięci. Podczas takich spacerów spotykał kiedyś skromnego mężczyznę, niespecjalnie ładnie pachnącego, i zaprzyjaźnił się z nim. Prowadził z nim długie rozmowy, a nawet zapraszał na swoje koncerty, bo czemu nie. A żeby było już zupełnie nietuzinkowo, na pytanie o ulubiony zapach odpowiada: – Zapach polskich snopków z dodatkiem krowich kup. Ale dodaje, że czasem korzysta z kobiecych perfum i dezodorantów.

– Jestem raczej smutnym człowiekiem – mówi o sobie. – Wesolego tylko udaję przy ludziach.

Waldemar Dąbrowski, dziś dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, wcześniej minister kultury, a jeszcze wcześniej urzędowy opiekun Polskiej Orkiestry Kameralnej stworzonej przez maestra, napisał na urodziny Jerzego Maksymiuka: „Każde spotkanie z taką osobowością jest wielkim przywilejem. Czasem to moment wstrząsu, przeżycie dramatyczne, inspirujące do niełatwych, nierzadko bolesnych przemyśleń, konfrontacji choćby i z samym sobą. Czasem chwila ukojenia, dającego wytchnienie od intensywności otaczających nas zdarzeń. Kiedy indziej jeszcze żart, który jak iskra wyzwoli wybuch śmiechu, uwalniający nas z rutyny, konwencjonalnych form i gestów”.

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

Nudne superego, czyli o ucieczce węża i śluzowcach

Yamaha TDM 859 sunęła przez miasto, zostawiając za sobą nie tylko paskudny ślad węglowy, ale i smugę zapachu wody toaletowej Armani, którą rozsiewał kierujący pojazdem Wojtek. Wierzył, że tuż za rogiem spotka kobietę swojego życia. Wyjeździł kilka baków i wkrótce zrozumiał błąd takiego założenia – to nie dziewczyny oglądają się za mruczącą przyjemnie yamahą, tylko młodzi chłopcy. Stoją grupkami na pętach, rozdzielają gęby. Dają się oślepić przez błyski, które szczerze rozrzuca wokół łuska karoserii.

Podobne rozczarowanie spotyka wszystkich tych, którzy biorą sobie psy w celach matrymonialnych. Krążąca podskórnie w społecznościach lokalnych opinia, że piesek pomaga w zawarciu znajomości, ma tyle wspólnego z prawdą, co Kopernik z kopertą. Natomiast parka człowiek-pies może stać się szalenie popularną atrakcją dla pokolenia, które stawia pierwsze (dosłownie) kroki w piaskownicy – z miną Krzysztofa Kolumba. Amerykańskie powiedzenie *Be careful what You wish for* (uwaga, czego sobie życzysz) trafnie opisuje tzw. zdiwko, jakie wykrzywia nam twarz, kiedy nasze plany krzyżuje mały żarcik losu. Trudno. Jak mówi Michel Foucault (tak, tak, on też miał coś do powiedzenia na temat pecha): „Trzeba zaakceptować wprowadzenie elementu losowości jako kategorii w powstawaniu wydarzeń”. No, trzeba.

Czego Państwo sobie ostatnio życzyli? Detalicznie, konkretnie – jak chce wróżbita Maciej. Ja – tekstów: masy cudzych, błyskotliwych tekstów do pisma lit., które w geście samobójczym postanowiliśmy założyć we Wrocławiu. Trzeba wiedzieć, że kiedy zapyta się o coś poetkę/poetę – najpewniej w odpowiedzi otrzyma się także pytanie. Odpowiedź na prośbę redakcji może się zacząć zdaniem „Wczoraj uciekł nam wąż...” (znaleźli go na półce między książką Herberta i Różewicza – czy to nie ironia?). Wąż zawsze staje się początkiem skwapliwej wymiany listów,

podobnie jak fakt, że ktoś się przeprowadził do Łodzi lub nagrał płytę, zakończył/rozpoczął romans, zrobił doktorat lub jest w ciąży.

Po wymianie fantastycznych mejli z 30 poetkami i poetami polskimi, ponagleniach, szantażach („Musisz dać tekst, X dał!”), błaganiach – zaczynają schodzić pierwsze teksty. Czego sobie życzyłam? Tekstów progresywnych, odważnych. Żadnych mieszczańskich pączków przez biułkę. Pierwszy był o grze, w której chodzi się (własnym) penisem. Drugi rozważał kwestię, czy śluzowce są pulchne, czy może pulchność wyklucza śluz. Trzeci zaczynał się od słowa „człowiek” i wcale się nie kończył. Piąty ogłaszał, że R. to ch... i grafoman, i kiedyś rzygnął w taksówce.

Szósty próbował graficznie (wierszem, panie, wierszem) przedstawić pracę jelita grubego, ale raczej się (*pardon*) zesrał, niż wpłynął na zmianę idiomów polskiej poezji współczesnej. *Be careful what You wish for* – zagrało mi w głowie.

Może i tak – zganiłam nudne *superego*. Ale w przypadku pisma lit. zaskoczenie to najlepsze, czego można chcieć!

Inną historię o ponurych skutkach spełniania życzeń opowiedział mi znajomy aktor. Pragnął sławy i sławę dostał – prawdziwą, spiżową i trwałą, nie jakąś błahą sezonówkę. Pouśmiewał się do świata, zarobił na auto i mieszkanie w apartamentowcu z basenem. „Zazdroszczę ci – powiedziałam, patrząc z zewnątrz na elegancki budynek. – Ale bym sobie pływała”. „Zwariowałaś? – zachnął się. – Ja tam nie pływam. Raz poszedłem”. „I co?”, dopytuję się z ciekawością. „Najpierw się tylko gapili, a potem szepotali, że mam brzuch i grzybicę paznokci. Nigdy więcej nie poszedłem na basen”. *Be careful what You wish for!* A co na to Foucault? „Baseny zawsze mnie onieśmiały, podobnie jak bycze jadra w restauracjach i nadmiernie rozchwiane mleczaki, które w każdej chwili mogą wpaść do oskrzeli”.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze i Instagramie



Męczenie aktorki dla dobra efektu? Nie, dziękuję!

Plan filmowy jest specyficznym miejscem pracy,
mocno zhierarchizowanym i patriarchalnym

Rozmawia Artur Zaborski

W połowie marca Anna Paliga pisze na Facebooku, jak wyglądała nauka w łódzkiej Filmówce, gdzie miała doświadczyć przemocy i psychicznego upokarzania. Okazuje się, że to nie jest pojedynczy przypadek. Jako stowarzyszenie proponujecie wprowadzenie na planach filmowych, w szkołach artystycznych oraz instytucjach kultury Kodeksu etyki i dobrych praktyk. To reakcja na wystąpienie Paligi?

– Jeszcze zanim nastały czasy pandemii, my, kobiety filmu, organizowałyśmy zebrania, na które zapraszałyśmy panie z naszego środowiska. Wielokrotnie byłyśmy świadkami opowieści dziewczyn, których zakres działań w branży był bardzo różny. Postanowiłyśmy zebrać wszystkie historie dotyczące dyskryminacji i stworzyć Kodeks etyki i dobrych praktyk dla naszej branży. Powstał on dużo wcześniej niż wspomniany post i był odpowiedzią na to, co się dzieje w świecie filmowym.

A co się dzieje?

– Z przejawami dyskryminacji spotykają się kobiety w całej branży, nie jest to jedynie problem aktorek czy studentek szkół filmowych. Plan filmowy jest bardzo specyficznym miejscem pracy, mocno zhierarchizowanym i patriarchalnym. Dlatego kobiety miały i mają duży problem w przebicciu się ze swoją działalnością. Mówimy tu o operatorach, reżyserkach i wszelkich innych zawodach, które według osób zarządzających planem są domeną mężczyzn. To z kolei jest pokłosiem sposobu, w jaki kształcą się kobiety, które wciąż mają utrudniony dostęp do nauki specjalizacyjnej. Do szkół przyjmowane są jedynie nieliczne. Dziewczęta są odsuwane, bo – jak



**DAGMARA
MOLGA**

– producentka
filmowa
i dystrybutor,
współzałożycielka
Stowarzyszenia
Kobiety Filmu.

się je przekonuje – nie nadają się, bo to ciężka praca, bo reżyserem może zostać tylko mężczyzna. A to wierutna bzdura.

Przykłady?

– Reżyserce, której powierzono realizację filmu, producent odmówił zatrudnienia ze względu na ciążę. Nic, że była w pierwszym miesiącu, a plan zdjęciowy został rozpisany raptem na 30 dni. Kolejny przykład to celowe obniżenie stawek dla kobiety po urlopie macierzyńskim. Większość osób na planach filmowych pracuje na umowie-zleceniu lub umowie o dzieło, nie na etacie. W związku z tym kobietom dużo trudniej utrzymać ciągłość pracy w przypadku ciąży. Powrót nie jest łatwy. Producenci wykorzystują to i zaniżają stawki z przeświadczeniem, że da na osobę i tak przyjmie stanowisko. A w tym samym czasie mężczyzna zarabia dwa razy więcej. Aktualnie przygotowujemy spot, który opisuje rzeczywistość planów filmowych.

Padają w nim autentyczne słowa, które usłyszały kobiety podczas pracy. To seksistowskie teksty w stylu: „Co jesteś taka skrzywiona? Pewnie menopauzę masz” albo „Z takim wyglądem u mnie pani nie zaliczy”. Wielokrotnie padły one też z ust profesorów szkół artystycznych pod adresem studentek. Miała miejsce również sytuacja, w której producent zwrócił się do kierowniczk produkcji, młodej dziewczyny: „To ja tu jestem producentem. Ty powinnaś padać na kolana i prosić mnie o wszystko”.

Jak to możliwe, że w 2021 r. mówiący takie słowa nie czują żenady? Te wypowiedzi brzmią jak zaczepki średnio rozgarniętych dzieci. Dlaczego kobiety takie teksty akceptują?

– Jak wspomniałam, praca na planie jest bardzo hierarchiczna, a większość osób obowiązują umowy-zlecenia. Oznacza to, że skaczą od planu do planu. Jeżeli nie zgadzasz się na takie traktowanie, rozchodzi

się fama, że jesteś osobą trudną we współpracy i nikt cię nie zatrudni. Poza tym musisz zachować ciągłość pracy, więc zgadzasz się na wszystkie warunki. Chcesz mieć pracę, musisz wyżyć od pierwszego do pierwszego. Mało tego, w Polsce finansowanie produkcji filmów jest dziurawe. W większości przypadków pieniędzy nie dostaniesz od razu po zakończeniu pracy na planie, spłyną dopiero za jakiś czas. W związku z tym musisz szybko znaleźć kolejną robotę, aby utrzymać płynność dochodu. To spirala nakręcających się zależności. Studenci opowiadali mi, że zgadzali się na takie traktowanie, ponieważ wiedzieli, że jeśli się przeciwstawia lub zaczną o tym głośno mówić, to wylecą ze szkoły, która była ich największym marzeniem i życiowym celem. Sytuacja na planie wygląda tak samo. Zależność od osób, które stoją w hierarchii wyżej od ciebie, jest ogromna.

Jak to zmienić?

– Z jednej strony, potrzebna jest zmiana mentalności, z drugiej – zmiana systemu. Dlatego stworzyliśmy Kodeks etyki i dobrych praktyk, zbiór zasad równego dostępu do pracy. Znajdują się w nim także przepisy, które mogą zostać wprowadzone do umów.

Z czym dokładnie walczyć?

– Z każdym przejawem dyskryminacji: ze względu na płeć, orientację psychoseksualną, pochodzenie, etniczność czy sytuację biologiczną, bo ona wciąż jest wykorzystywana jako argument. Choć operatorka nie dźwiga już kamer, ma być mistrzem obrazu, wciąż uważa się, że jest to dla niej zbyt ciężka praca. Idąc na studia operatorskie, moje koleżanki musiały starać się trzy razy bardziej niż mężczyźni. Często nie miały możliwości wykazać się swoim talentem. To, co stało się teraz za sprawą posta Anny Paligi, pokazało, że prawdziwy problem stanowi system kształcenia: sposób doboru kadry, ograniczenia w przyjmowaniu na studia kobiet. Takie myślenie przenosi się na plany

filmowe. Stawki dla kobiet wykonujących dokładnie tę samą pracę co mężczyźni wciąż są niższe. Producenty są zdziwieni, kiedy reżyserka przychodzi do nich z pytaniem, dlaczego, kręcąc serial pół na pół z mężczyzną, dostaje mniejsze pieniądze od niego. W odpowiedzi słyszy, że tak po prostu jest. Świat został urządzony przez mężczyzn, którzy nadal dbają o własne interesy. A skoro jest to problem programowy, zaczęliśmy się zastanawiać, jak możemy to zmienić.

A co z kobietami na stanowiskach producentów i reżyserów? One nie mobbują koleżanek?

– Są różne plany filmowe, także takie, którymi zarządzają kobiety, choć nie da się ukryć, że często wykonujemy mniej prestiżowe zajęcia niż nasi koledzy po fachu. Jednak zdarzają się sytuacje, że kobiety na szczycie hierarchii wyżywają się na tych na niższych stanowiskach. Istnieje powiedzenie, że dla takich kobiet

Z przejawami dyskryminacji spotykają się kobiety w całej branży – nie jest to tylko problem aktorek czy studentek szkół filmowych.

jest specjalne miejsce w piekle. To kwestia mentalności. Te kobiety wychodzą z założenia, że skoro udało im się wyszarpać tak wysokie stanowisko mężczyznom, muszą być jeszcze ostrzejsze niż oni, aby się na nim utrzymać. Ale wydaje mi się, że te sytuacje są sporadyczne. Miałam okazję być na planach, gdzie producentkami były kobiety i ich empatia pozwalała wyłapać zachowania, które nie są w porządku. Nie twierdzę oczywiście, że dyskryminacja na planach dotyczy jedynie kobiet, bo jej ofiarą padają też osoby nieheteroseksualne, starsze, a nawet ci, którzy nie chcą powtarzać seksistowskich wzorców. Znam przykłady mężczyzn, którzy zwracali uwagę technikom naprzykrzającym się kobietom albo pijącym na planie. „A ty co, ciota jesteś, że się z nami nie napijesz?”,

słyszeli w odpowiedzi. Musimy w końcu nabrać kultury w pracy.

Nabieramy jej?

– Seksistowska aura utrzymuje się, ale coraz częściej spotyka się ze stanowczą reakcją, bo młode pokolenie na takie traktowanie już się nie zgadza. Zmianę mentalności wywołują przemiany pokoleniowe, co jest bardzo ciekawym zjawiskiem. Coraz częściej uczestniczymy w koprodukcjach i uczymy się innych sposobów organizacji pracy, popularnych na Zachodzie. U nas jeszcze plany filmowe są rodzajem pracy nieformalnej, co powoduje, że pewne zasady są nagminnie łamane lub nieprecyzyjnie określone. Netflix ma bardzo konkretne wymagania i procedury, np. antymobbingowe, dzięki którym możemy się uczyć profesjonalizmu. Zagraniczne plany mają swoje ograniczenia, wynikające z podpisywanych umów, co sprawia, że pewne zachowania stają się nieakceptowalne.

Czyli zaczynamy równać do Zachodu?

– To, że jesteśmy profesjonalni, a nawet wybitni w swoich fachach, jest jasne. Brakuje nam jednak tego w kulturze pracy i dlatego na planach ma miejsce tak wiele specyficznych sytuacji. Na szczęście zaczynamy respektować procedury, zmienia się także nasza świadomość, co daje nam możliwość otwarcia się na inny rodzaj współdziałania. Do tej pory brakowało możliwości obrony i nadzórnej instytucji, która nadzorowałaby sytuację. Kobiety zgłaszały się do mnie i koleżanek w różnych sprawach: jedna została oszukana, druga padła ofiarą mobbingu. Pytały, czy możemy coś z tym zrobić. Byłyśmy wówczas nieformalną grupą, oferującą wsparcie w takich sytuacjach. Teraz jesteśmy Stowarzyszeniem Kobiety Filmu i nadal będziemy pomagać kobietom w tej branży. Natomiast zawierane obecnie umowy wyraźnie określają zachowania niedozwolone, za które grozi kara.

Jak idzie wam wdrażanie kodeksu?

– Kodeks wprowadziło już wiele firm z przemysłu audiowizualnego, ▶

Dagmara Molga – absolwentka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Warszawskiej Szkoły Fotografii. Od 2013 r. związana z dystrybucją filmów, odpowiedzialna m.in. za dystrybucję oscarowej „Idy” Pawła Pawlikowskiego. Producentka pełnometrażowego filmu „Maryjki” nagrodzonego na wielu festiwalach i krótkiego metrażu „HEAT” wyświetlanego na Sundance Film Festival.

► nie tylko producentów. Ostatnio zrobił to np. Heliograf, podejmując się tego również tłumacze, scenarzyści. Kodeks etyki i dobrych praktyk wyznacza standardy. Opowiada o naszej misji: chcemy stworzyć kulturę, w której uczestnictwo jest dostępne dla wszystkich, niezależnie od orientacji seksualnej, płci, wieku, sprawności.

Seksistowska aura coraz częściej spotyka się ze stanowczą reakcją, bo młode pokolenie już się na to nie zgadza.

Firma ma możliwość wprowadzenia szczegółowych zapisów do umów. W kontrakcie może się znaleźć wpis na temat tego, że nie zgadzasz się na mobbing, że w pracy obowiązują szacunek. Mówimy o tym, czym jest molestowanie, jakie zachowania są niedopuszczalne, czym kierujemy się podczas rekrutacji. Jak tworzymy miejsca pracy, zarządzane w ramach polityki różnorodności. Właśnie w niej tkwi sukces, poszerza ona horyzonty. Mówimy także o ochronie środowiska, która jest ogromnym problemem na planach. Szczęśliwie coraz częściej przywiązuje się na nich wagę do ekologii. Rezygnuje się chociażby z masy plastiku dostarczanego w ramach cateringu. Namawiamy firmy do wprowadzania kodeksu. Jesteśmy też oczywiście otwarci na szkolenia.

Będzie efekt kuli śniegowej?

– Wierzę, że coraz więcej firm będzie chciało takie zasady wdrożyć. Jeśli zatrudniając kogoś, przedstawiasz mu spisane zasady etyki pracy, dajesz mu świadomość, że zgadza się na pewne warunki, że określonych rzeczy nie wolno mu robić na planie. Jako producent pilnujesz przestrzegania reguł i w razie potrzeby możesz się powołać na kodeks. Będą go również podpisywały władze wszystkich szkół filmowych. Wzorowaliśmy się na zagranicznych kodeksach, bo na Zachodzie są one na porządku dziennym. Planujemy też kampanię społeczną. Pamiętajmy, że chociaż z wykluczeniem systemowym częściej spotykają się kobiety, dotyczy ono wszystkich. Chcemy zapewnić równość.

Jak miałyby wyglądać ewaluacja takiego kodeksu?

– Dzięki organizacji warsztatów możemy zmieniać mentalność. Uświadamiać ludziom, że mają prawo

na coś się nie godzić. A kiedy ktoś łamie zasady, które sam podpisał, może zostać zwolniony, co jest jasnym przekazem. Wszystkich obowiązuje także prawo pracy, więc sprawę można również rozwiązać sądowo. Osoba doświadczająca takich zachowań zyskuje podstawę prawną, do której może się odwołać.

Jak reagują osoby, którym proponujecie włączenie zapisów z kodeksu do umów?

– Ostatnie wydarzenia, które rozegrały się po publikacji posta Anny Paligi, spowodowały większe zainteresowanie kodeksem. Nasze warsztaty są konieczne, bo niektórzy myślą, że podpisanie kodeksu wiąże się z przyznaniem, że na ich planach coś dzieje się nie tak. Tymczasem podpisujemy go, aby okazać wzajemny szacunek. Pracuję w instytucji, która z chęcią przyjęła nasz plan. Towarzyszy nam idea, żeby sprawa nie dotyczyła tylko producentów, lecz całego przemysłu. Marzę o tym, żeby kodeks podpisywali organizatorzy festiwali, firmy związane z różnymi zawodami. Chcemy ulepszyć pracę nie tylko na planach, ale i w całej branży. Szum medialny zrobił wiele dobrego. Praca

czwartej powtórki, nie jest dobrym systemem. Po to uczymy się zawodu, żeby umieć go wykonywać, i nie jest tu potrzebny prężny emocjonalny. Nawet naturšczycy nie mogą być stawiani w takich sytuacjach. Uważam takie rozwiązania za patologiczne. Moje koleżanki i koledzy, aktorki i aktorzy, sami przyznają, że lepiej pracuje im się w atmosferze zaufania, kiedy mogą się dogadać z reżyserem. Patologią jest także praca na planie po 16 godzin lub dłużej tylko dlatego, że efekty nie zadowolają reżysera. Taki system jest wyrazem nieprzygotowania reżysera lub producenta i wymaganie takiej pracy od innych jest niepotrzebne. Bardzo się cieszę, że do Polski przedziera się pomysł na posiadanie intymacy coordinatora, czyli konsultanta do scen erotycznych. Na Zachodzie to standard. U nas oczywiście pojawia się olbrzymi opór, jednak ten pomysł jest świetny, bo wprowadza do pracy kolejny element profesjonalizmu.

Działacie w pojedynkę czy macie sojuszników?

– Każdy z zawodów ma swoje gildie, które będą broniły pracowników. Nie jesteśmy jedyną, samotnie działającą instytucją, która będzie walczyła o równouprawnienie. Profesjonalizacja jest coraz większa. Ludzie dyskryminowani mają w sobie coraz więcej odwagi, zgłaszają się do sądów i wygrywają sprawy. Oznacza

Stawki dla kobiet wykonujących dokładnie tę samą pracę co mężczyźni wciąż są niższe.

oparta na koprodukcjach, z zagranicznymi partnerami, też wymusza na nas wdrożenie odpowiednich procedur.

Od filmowców i profesorów szkół filmowych oskarżonych o przemocowe działania wciąż słyszymy, że film to praca na emocjach, w związku z czym bez przyciśnięcia początkujących do ściany nie da się osiągnąć zamierzonych efektów, a działania takie jak wasze narzucają cenzurę artystyczną.

– Absolutnie z tym się nie zgadzam. Wymienione sytuacje, które miały miejsce na planach, są po prostu chore i nie służyły niczemu. Przeciąganie zdjęć pomimo 50 dubli dla uzyskania efektu, który tak naprawdę miał miejsce już podczas

to, że część środowiska nie potępia ich już za to, co robią. A był to duży problem. Wiele osób spotykało się ze stygmatyzacją.

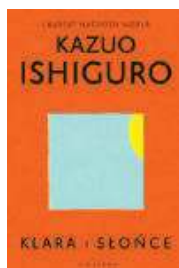
Idealnie byłoby, gdyby sytuacja się odwróciła, gdyby teraz to przemilczanie złych praktyk uchodziło za coś niewłaściwego.

– Na to właśnie czekam. Oczywiście część kobiet cały czas broni obecnego systemu, bo przyzwyczailiśmy się do takiej pracy na planie. Pokutuje poczucie, że praca to praca i widocznie nie jest ona dla wszystkich! Pod warunkiem, że będzie się odbywać w racjonalny sposób.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

SERIAL



Kazuo Ishiguro

Klara i słońce

tłum. Andrzej Szulc

Albatros, Warszawa 2021

Powieściowy świat – z raczej bliższej przyszłości – przypomina nasz. Nawet dzieciaki uczą się zdalnie. Tyle że z innego powodu, a ich zdalna edukacja jeszcze bardziej niż dziś podkreśla rozwarstwienie społeczeństwa. W tym świecie zaszła bowiem fundamentalna zmiana, ludzie stworzyli sobie kolejny powód do dzielenia się na lepszych i gorszych, ograniczając tym drugim dostęp do nauki i pracy. Szczegółów Ishiguro skąpi, oglądamy ów świat oczami bohaterki – robota do towarzystwa dla dzieci z grupy lepszych, „skorygowanych”, jak zostało to makabrycznie nazwane. Klara jest empatyczna, altruistyczna, ciekawa tego świata, ale jej wiedza o nim jest ograniczona. Fakt, Klara to maszyna, została tak zaprogramowana, ma jednak np. potrzebę wyznawania swoistej religii, darzy czcią słońce. Bywa traktowana jak osoba, ale w jej posiadaczach zwycięża myślenie użytkowe. Tu pada stare pytanie o istotę człowieczeństwa. Przecież nie jesteśmy tylko sumą możliwych do skopiowania cech, które widzą w nas inni. Jeśli zaczną powstawać androidy – nasze sobowtóry, i tak nami nie będą. Gdy umrzemy, mogą nas „kontynuować” dla kogoś w żałobie, ale czy to pomoże? Boimy się śmierci, bliskich i swojej, jednak opisane tu przemijanie urzędów każe się zastanowić, czy nasza śmiertelność nie jest przywilejem.

*Aleksandra Pańko***RYSA**

reż. Maciej Migas

i Łukasz Kośmicki,

Polska, dostępny

w AXN



Fani powieści Igora Brejdyganta mogą odetchnąć z ulgą. Serialowa „Rysa” zachowała klimat pierwowzoru, w którym klasyczny kryminał przełamany był humorem, a w tle oglądaliśmy panoramę współczesnej Warszawy (tej oficjalnej i tej z marginesu). Prawdziwą siłą powieści była jednak bohaterka – policjantka Monika Brzozowska, która cierpi na zaniki pamięci (niepamięć to stały motyw u Brejdyganta, matka Moniki mierzy się z demencją). Kobieta z przerażeniem odkrywa, że tropy prowadzą... do niej samej. Dramat jednostki, która nie ma pojęcia, co robiła, gdy dochodziło do zbrodni, wybrzmiewa na ekranie dzięki dobrej roli Julii Kijowskiej, naturalnej, nieudającej supergliny, świadomej własnych ograniczeń, ale przy tym zdecydowanej i gotowej na wiele. Gdy skupia się na rozwiązywaniu zagadki, łatwo za nią podążyć. Gorzej w scenach z życia prywatnego, które wypadają nienaturalnie. Aktorzy, zamiast wrzucić na luz i wygrać łączące ich bohaterów emocje, zachowują dystans do siebie i czujność, jakby grali sami przed sobą. A może faktycznie grają?

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

ZASŁUCHAJ SIĘ

**KRUK Z TOWER**

Premiera „Kruka z Tower” odbyła się w historycznej Sali im. Haliny Mikolajskiej. Widownia zbudowana została w stylu „widowni Lupy”, wysoko pnąc się ku sufitowi wąskimi rzędami, a na malutkiej scenie można grać jedynie sztuki kameralne albo monodramy. Na scenie Matka (Katarzyna Herman) i Syn (Konrad Szymański),

których dzieli przepaść osamotnienia. Nie potrafią się porozumieć. Matka znajduje wyjście: nawiązuje z synem (ukrywającym się pod nickiem Kruk z Tower) znajomość przez internet jako Toffi i zyskuje jego sympatię. Ta ryzykowna gra nie zmieni jednak ich relacji w prawdziwym życiu. To nie może skończyć się dobrze, mimo że aktorzy prowadzą tę grę z prawdziwym kunsztem. Inteligentnie napisany tekst, trafiający w sam środek podziałów rodziców i dzieci, którzy nie umieją już prowadzić dialogu. Sztuka białoruskiego autora Andrieja Iwanowa powstała mniej więcej przed dziesięcioma laty, z tego choćby powodu nie wiąże się z dzisiejszymi konfliktami na Białorusi, ale celnie rozpoznaje plagę samotności, niszczącą ludzi silniej niż pandemia.

Tomasz Miłkowski

Andriej Iwanow, „Kruk z Tower”, reżyseria Aldona Figura, tłumaczenie Bożena Majorczyk, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 19 lutego 2021

Edward Pałłasz

Choral Works**DUX**

Na płycie znalazły się utwory chóralne kompozytora i działacza muzycznego, człowieka oddanego kulturze polskiej, który tworzył rozmaite gatunki muzyczne. Zastąpił m.in. piosenką „Panie sierżancie, bołą nogi”, pisał też dla teatryku studenckiego Bim-Bom, ale nie zaniedbał twórczości poważniejszej, filharmonicznej – komponował utwory symfoniczne, pieśni, muzykę dla teatru i filmu. Jednak bodaj największą jego zasługą jest skuteczna obrona przed likwidacją Programu II Polskiego Radia w czasach, gdy był dyrektorem tej stacji. Na płycie mamy przegląd bogatej i różnorodnej twórczości dla chórów. Wiele utworów jest inspirowanych melodiami ludowymi, w tym z regionu Kaszub, skąd Edward Pałłasz pochodził, m.in. kaszubskie koledy, pieśni żałobne i bytowe, ale także pieśni do słów rosyjskiego poety Osipa Mandelsztama. Śpiewa bardzo dobry Chór Filharmonii Częstochowskiej pod dyrekcją Janusza Siadłaka.

Bronisław Tumitowicz



Paula Leśniewska

Niewidoczny zabójca

Plastik nie tylko zaśmieca.
Może być przyczyną wielu schorzeń

Nieżyt nosa, chrypa, kaszel, guzki na płucach, osłabienie. Objawy jak u emeryta, a zaczęły nękać 27-letnią pracownicę fabryki przetwarzającej poliestr. Leki nie działały. Podzielała... zmiana pracy. Po roku stwierdzono, że jej płuca są w znacznie lepszym stanie, a nieżyt nosa i osłabienie zniknęły. Czy winowajcą problemów zdrowotnych kobiety był poliestr? Prawdopodobnie tak. Mikroplastik, chociaż często go nie widać, jest prawie wszędzie. Nawet w arktycznym lodzie i na Mount Evereście.

Plastik zaczął być produkowany na dużą skalę mniej więcej 70 lat temu i już zdołał tak zanieczyścić planetę, jak żaden inny surowiec w historii. A jego popularność wciąż rośnie. W latach 50. XX w. produkowano na świecie około pół miliona ton plastiku rocznie. Obecnie globalna produkcja tworzyw sztucznych wzrosła do ok. 350 mln ton rocznie. W ciągu nieco ponad 70 lat w śmieciach wylądowało 8 mld ton plastiku. Szacuje się, że ok. 80% nie poddano recyklingowi. Część leży na składowiskach odpadów, a reszta pływa w oceanach. Co roku do mórz trafia ok. 15 mln ton tworzyw sztucznych. Wielka Pacyficzna Plama Śmieci ma powierzchnię niemal pięć razy większą niż Polska. W 99,9% tworzy ją plastik. I przez 300 kolejnych lat nadal będzie ją tworzył. Ba, możliwe, że nawet za 1000 lat ktoś znajdzie tam

butelkę, z której piliśmy oranżadę w ciepły letni wieczór.

Pandemia tylko pogorszyła sytuację. Zdjęcia w internecie nie kłamią – jednorazowe maseczki, rękawiczki i fartuchy walają się po plażach i zaśmiecają oceany. „Wybuch pandemii spowodował niemożliwą do opanowania ilość wyrzucanych odpadów biomedycznych z tworzyw sztucznych. Szacujemy, że każdej doby w koszu ląduje około 3,4 mld jednorazowych masek/osłon twarzy. COVID-19 odwrócił tempo wieloletniej globalnej walki o zmniejszenie zanieczyszczenia odpadami z tworzyw sztucznych”, wnioskuje naukowcy w artykule „COVID pollution: impact of COVID-19 pandemic on global plastic waste footprint” (Zanieczyszczenie po COVID: wpływ pandemii COVID-19 na globalne skażenie plastikiem), opublikowanym w czasopiśmie naukowym „Heliyon”.

Gdyby stosy plastikowych śmieci na plażach były wyłącznie problemem estetycznym, byłibyśmy w lepszej sytuacji. Okazuje się jednak, że często na obiad, razem z tuńczykiem, krewetkami, a nawet warzywami, zjadamy plastikową butelkę po napoju. A przynajmniej jej cząstki, zwane

mikroplastikiem. „Mimo że plastik jest niezwykle trwały, to jednak przecież nie trwa wiecznie i z czasem, pod wpływem różnych czynników środowiskowych, ulega procesowi starzenia i rozpada się na coraz mniejsze fragmenty – uważa prof. Barbara Urban-Malinga, biolog morza z Państwowego Instytutu Badawczego w Gdyni. – Czy jednak jest się z czego cieszyć? Czy fakt, że foliowy worek lub butelka rozpadną się w końcu na drobne cząstki, to powód do zadowolenia? Nie, bo te drobne cząstki – choć dla nas niewidoczne – mogą stanowić większe zagrożenie niż obiekt, z którego powstały. Tak zwany mikroplastik, bo to o nim mowa, to nic innego jak plastik w skali mikro, którego rozmiary mieszczą się w zakresie od 0,1 mikrometra (0,0001 mm) do 5 mm (takie kryterium przyjęto w UE i USA, ale w wielu innych krajach za górną granicę tego zakresu przyjmuje się 1 mm). Mikroplastiki powstają jednak nie tylko z rozpadu tworzyw sztucznych. Są też celowo produkowane z zamiarem wzbogacenia nimi różnych produktów codziennego użytku, takich jak kosmetyki, środki czystości czy detergenty, by poprawić np. ich lepkość, ścieralność czy

nadać im połysk. Częstki te wraz ze ściekami spływają z naszych gospodarstw domowych do oczyszczalni ścieków, które tylko częściowo je eliminują, a stamtąd wraz z wodami rzek spływają do mórz i oceanów, które są końcowym odbiorcą wszystkich zanieczyszczeń. I tak oto wraz z wodami Wisły do Bałtyku płyną różnorodne kolorowe granulki, wielokształtne fragmenty tworzyw i włókna", pisze prof. Urban-Malinga w „Magazynie PAN” (nr 3/63/2020).

Wszyscy widzieli zdjęcia żółwi, fok i ptaków zaplątanych w plastikowe sieci. Niestety, problem na tym się nie kończy – zwierzęta morskie zjadają tworzywa sztuczne. Mikroplastik jest na tyle mały, że spożywa go np. zooplankton (m.in. pierwotniaki i larwy owadów i ryb), który jest podstawą łańcucha pokarmowego wielu morskich zwierząt (m.in. ryb, koralowców, wielorybów). – Mikroplastik stwierdzono we wszystkich rodzajach organizmów morskich i planktonie, bezkręgowcach, rybach, ptakach i ssakach – informuje prof. Krystyna Cybulska z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. – Wiadomo, że nagromadza się w łańcuchach pokarmowych. Wiadomo też, że spożycie mikroplastiku przez organizmy żywe, zwłaszcza o mniejszych rozmiarach, może prowadzić u nich do zmian chorobowych przewodu pokarmowego, zapalenia tkanek, stresu wątroby, powstawania nowotworów i zaburzeń endokrynologicznych – dodaje prof. Cybulska.

Drobiny tworzyw sztucznych stanowią zagrożenie również z innego powodu. Na ich powierzchni kumulują się m.in. metale ciężkie, tzw. trwałe zanieczyszczenia organiczne (m.in. pestycydy) i mikroorganizmy. – Ponadto, mikroplastiki często wydzielają związki dodawane do nich przy produkcji, zwane plastifikatorami, które również są uważane za toksyczne – alarmuje dr Alan Puckowski, chemik z Uniwersytetu Gdańskiego. Zwraca uwagę, że mikroplastik kumuluje się w organizmach zwierząt morskich i z pożywieniem dostaje się do organizmu człowieka.

Niestety, nie pozbędziemy się drobin tworzyw sztucznych z organizmu, rezygnując tylko z jedzenia ryb i owoców morza. – Obecność mikroplastiku wykazano także w wodzie kranowej,

butelkowanej i głębinowej: 81% ze 159 próbek wody kranowej zawierało jego cząstki, głównie włókna mniejsze niż 5 µm. Na 259 przeanalizowanych próbek wody butelkowanej pochodzącej od 11 różnych producentów i z 27 różnych partii produkcyjnych aż 93% zawierało cząstki nanoplastiku – informuje Michał Rakowski, biolog z Uniwersytetu Łódzkiego. Nanoplastiku (cząstek tworzyw sztucznych o rozmiarze 1-1000 nanometra), bo mikroplastik rozpada się na jeszcze mniejsze cząsteczki, które mogą dostawać się do organizmu również

Obecność mikroplastiku wykazano w wodzie kranowej, butelkowanej i głębinowej.

z powietrza. Ich źródłem jest przede wszystkim odzież wykonana z tworzyw sztucznych (m.in. poliestru, nylonu i akrylu). Oczyszczalnie ścieków nie są w stanie wyłapać mikro- i nanoplastików. Akrylowy sweterek wrzucony do pralki albo peeling do twarzy z plastikowymi granulami spłynie do morza. Katja Broeg z Uniwersytetu w Sztokholmie obliczyła, że rocznie do wód ściekowych spływa 130 ton mikroplastików ze środków do pielęgnacji ciała, a aż 40 ton trafia do Bałtyku.

Nie wiadomo, jaka ilość mikroplastiku w organizmie jest trująca dla ludzi. Nie istnieją żadne wytyczne normujące dopuszczalną zawartość mikroplastiku w pożywieniu, powietrzu i wodzie. Chociaż z roku na rok na rynku pojawia się coraz więcej plastiku, na popularności zyskuje styl życia „zero waste”, oparty na eliminacji możliwie jak największej ilości odpadów, w szczególności niebiodegradowalnych. Według raportu IQS „Nieźrównoważeni” z 2019 r. za głównych trucicieli środowiska, oprócz m.in. przemysłu ciężkiego, elektrowni węglowych, transportu i górnictwa, pytani postrzegają producentów plastiku. Aż 74% badanych popiera dyrektywy Parlamentu Europejskiego z 5 czerwca 2019 r. o zakazie produkcji jednorazowego plastiku, a 46% Polaków uważa, że powinno się zmusić producentów do całkowitej rezygnacji z plastikowych opakowań. Jeżeli rząd przegłosuje projekt ustawy Ministerstwa Klimatu i Środowiska, od lipca tego roku będzie obowiązywał zakaz

wprowadzania na rynek m.in. plastikowych (i jednorazowych) sztućców, talerzyków, słomek, mieszańdek, patyczków do uszu i patyczków do mocowania balonów, czyli wszystkich produktów wykonanych z tworzyw sztucznych oksydegradowalnych (nienadających się do recyklingu). To jednak dopiero pierwszy krok na drodze do uprzątnięcia świata.

Podstawą zmiany są zdrowe nawyki. Wystarczy wybierać ubrania z naturalnych włókien i unikać plastiku tam, gdzie się da. Dobrze też często wieńczyć mieszkanie. Badania pokazują,

że stężenie nanoplastiku w powietrzu jest większe w zamkniętych pomieszczeniach niż na dworze. Jeżeli istnieje taka możliwość, najlepiej kupować dzieciom drewniane lub tekstylne (z naturalnych włókien) zabawki.

Polietylen (PE, polyethylene), polipropylen (PP, polypropylene), politereftalan etylenu (PET, PETE, polyethylene terephthalate) i poliestr (PES, poliester, poliester-1, poliester-11) to niektóre nazwy plastiku w kosmetykach. Jeżeli znajdują się w składzie podanym na tylnej etykiecie produktu, można sięgnąć po bardziej ekologiczny produkt. ■

W najnowszym numerze tygodnik „NIE” ujawnia, w jaki sposób jego czytelnicy uczynili „Smoleńsk” najgorszym filmem na świecie.



Jacek Karczewski

GDZIE SZUKAĆ?

Po nazwisku: w puszczach i lasach z dojrzałymi, dziuplastymi drzewami. A że takich dzisiaj ze świecą szukać, puszczyki coraz śmielej kolonizują stare aleje, parki, zadrzewione cmentarze i ogrody, wsie i miasta. Puszczyk zwyczajny jest dzisiaj naszą najliczniejszą sową, z populacją 65–75 tys. par. Z wysokim prawdopodobieństwem możemy założyć, że bliżej lub dalej naszego domu któraś z nich będzie miała swój rewir. Jeśli po nocach docierają do nas mroczne pohukiwania, a czasami upiorne piski i okrzyki, to najpewniej one.

CZEGO WYGLĄDAĆ?

Tajemniczego kształtu, który w księżycową noc bezszelestnie przemyka wśród gałęzi drzew. Ta najbardziej nocna z naszych sów dzień przeczekuje w dziupli lub innej kryjówce, a ci, którzy uparli się, żeby ją wypatrzyć, muszą przedrzeć się przez jej doskonały kamuflaż. Gdy to się uda, zobaczą pozornie dużego ptaka o zwartej, krągłej sylwetce, z wielką głową i dobrze zaznaczoną szlarą. Upierzenie rdzawe lub szare, w nieskończenie wielu odcieniach, przetykane czarno-białym, kryjącym wzorem. Czarne, lśniąco-ciemne oczy w otoczeniu puszystych piór sprawiają, że puszczyk wygląda jak pluszowa zabawka. Ale nie dajmy się zwieść – ta miękkość nie służy do przytulania, lecz do zabijania.

CZEGO NASŁUCHIWAĆ?

O ile spotkanie z nocnym markiem w dużym stopniu zależy od szczęścia, o tyle usłyszenie tej najbardziej muzycznej z naszych sów nie powinno być problemem. Intensywność, z jaką odzywają się puszczyki, oraz różnorodność ich głosów może być wręcz myląca. Najbardziej charakterystyczne są głośnie, terytorialne wołania samca: „huuu” – przerwa – „hu” – przerwa – lekko wibrujące „huhu-huhu” oraz nieskończona liczba wariacji na ten temat. Ona odpowiada kujawiakiem – i już wiadomo, dlaczego dawniej puszczyka nazywano też kuwikiem albo kuwokiem. On zresztą też czasami używa tego motywu. Puszczyk jest sową chyba naj-



Sowa z sąsiedztwa

Puszczyk wygląda jak pluszowa zabawka. Ale nie dajmy się zwieść – ta miękkość nie służy do przytulania, lecz do zabijania

częściej słyszaną w kinie i telewizji. Jego przyprawiający o ciarki głos tak bardzo spodobał się twórcom filmów grozy i sensacji, że towarzyszy wielu mrocznym scenom bez względu na to, gdzie się dzieje akcja. Ot, choćby w Hollywood, gdzie puszczyki zwyczajne na pewno nie mieszkają. Ani tam, ani nigdzie w Ameryce.

Puszczyka nazywano też kiedyś puszczem, leśnikiem lub leśniczką. Wszystkie te nazwy to echa starych, dobrych czasów, kiedy mieliśmy w Polsce prawdziwe puszcze i rozległe lasy pełne pięknych, bo dojrzałych, dziuplastych drzew. Takie krajobrazy były m.in. domem puszczyków. Te współczesne z braku lepszych rozwiązań coraz częściej zakładają gniazda na strychach, w stodółach, w nieczynnych kominach, w piwnicach, w norach, a nawet wprost na ziemi. W tych warunkach budka lęgowa będzie prawdziwym darem losu.

Jak u większości sów, samiec wyznacza granice terytorium, a samica wybiera miejsce na gniazdo.

U doświadczonych par gody rozpoczynają się już na początku zimy. On przynosi jej upolowane norniki, myszy albo szczury. Przysiada coraz bliżej, potrząsa piórami, puszy je i stroczy, aż wreszcie wygląda jak wielka puchowa kula. Dużo pomrukuje, kiwa się na boki albo w górę i w dół. W przerwach w byciu kulą zalotnie wysuwa stopę w kierunku swojej wybranki, żeby po chwili szybko schoować ją pod siebie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że starający się puszczyk wygląda niewinnie, a może nawet komicznie i rozczulająco. Gdy wreszcie i ona zaczyna się puszyć i potrząsać piórami, znak to, że oboje są na tej samej fali. Niektóre samce popisują się podniebnymi akrobacjami, którym towarzyszy klaskanie skrzydłami. Częściej para wspólnie bawi się w berka, latając pomiędzy drzewami, a euforyczny nastrój ptaków dobrze oddają dzikie okrzyki, piski, cmokania, miauczenia, jęki i co tam jeszcze możemy sobie wyobrazić. (...) Wiele sów jest też bardzo rozmownych

w czasie zbliżenia. Pani puszczykowa jeszcze długo nie może się uspokoić i podśpiewuje „uui-uui”. Tego typu sylaby w języku puszczyków są zwykle wyrazem czułości. W czasie aktu krzyczała coś jakby „ii-ii”, podczas gdy on basował „uuu”. Para kocha się bardzo często. Do tego długie godziny wzajemnego przytulania i iskania, przy których dzioby im się nie zamykają... W naszym klimacie pierwsze jaja w puszczykowych gniazdach przeważnie pojawiają się w marcu. To w lasach i na prowincji. W miastach – już w lutym, a nawet styczniu. Niemal kuliste, w liczbie od jednego do ośmiu, najczęściej jednak trzy-pięć. Jaja składane są co 48 godzin, przy czym przerwa między pierwszym a drugim może trwać nawet cztery dni. Wysiadywanie rozpoczyna się najdziej z drugim jajem i trwa około czterech tygodni. Młode usamodzielnia się w okresie od sierpnia do listopada. Większość z nich osiedla się w promieniu 10 km od miejsca urodzenia i statystycznie tylko 7% z nich leci dalej niż 100 km. Znany nam rekordzista wyprawił się z Finlandii do południowej Rosji, pokonując odległość 1960 km. Tych gnuśnych i opornych rodzice w końcu wyrzucają siłą. Bywa, że młode ptaki długo jeszcze nawołują z sąsiedztwa. Szukają kontaktu z rodzeństwem, ojcem i matką. Dopóki odżywają się z ziemi niczyjej, mogą się czuć w miarę bezpieczne. Jeśli jednak nie mają pewności co do statusu terenu, na którym przebywają,

Puszczyki zwyczajne są bardzo zaborcze. Przez cały rok stanowią swojej ziemi przed wszelkimi intruzami – drapieżnikami, pozostałymi sówami i, przede wszystkim, przed innymi puszczykami. Może dlatego ciągnie się za nimi imponująca lista przestępstw, krótsza jedynie od tej, która ciągnie się za puchaczami. Ale że akcja budzi reakcję, puszczyki są

ty. Ptaki 11,8%, żaby 10,2%, owady i bezkręgowce 14,8%. Reszta to ryby, jaszczurki, skorupiaki i inne żyjątka. Gdy bujna letnia roślinność utrudnia polowanie na gryzonie, w ich diecie szybko przybywa kretów oraz młodych ptaków. (...)

W klasycznym już eksperymencie na oczach puszczyka pod jednym z kilku identycznych pudełek umieszczano kawałek mięsa. Sowa potrafiła

Najstarszy znany nam dziki puszczyk przeżył 18 lat i 7 miesięcy. Jego ziomek w niewoli doczekał się 27 wiosen.

też jednymi z najczęściej zabijanych sów. W bezpośrednim sąsiedztwie gniazd lub z obawy o bezpieczeństwo młodych mogą też atakować ludzi. (...) Jak sobie poradzić z takim zagrożeniem? Wystarczy nie zbliżać się do gniazda lub młodych. Skąd będziemy wiedzieć, że jest tam jakieś gniazdo? Ptaki nam powiedzą – wystarczy je obserwować. Psy i koty, podobnie jak lisy i inne tzw. naturalne drapieżniki, mogą być napastowane przez cały rok. Prewencja się opłaca.

Puszczyki polują głównie z zasiadki, choć w terenie otwartym sporo czasu spędzają w powietrzu, tak jak robią to płomykówki i uszatki. Oprócz tego ściągają podwieszane w swoich kryjówkach nietoperze oraz wysiadujące w gniazdach lub śpiące na gałęziach ptaki. Kiedy trzeba, wypłaszają je w środku nocy z bezpiecznego

wskazać właściwe pudło jeszcze po 15-20 minutach, a te, pod którymi ukrywały się smakołyki o większej sile motywacyjnej, na przykład myszy, nawet po ponad 30 minutach. Puszczyki osiągały lepsze wyniki niż koty, psy czy szopy pracze, ale słabsze niż kilkuletnie dzieci i człowiekowane (rodzina naczelnych, do której obok ludzi należą goryle, szympansy i orangutany).

Puszczyki usłyszymy od Europy (z wyjątkiem jej północnych krańców i niektórych wysp) oraz północnoafrykańskich gór Atlasu do zachodniej Syberii i dalej, wypowiadając się po Chinach i Koreę. Łącznie ok. 10 podgatunków. Ze wszystkich sów to puszczyki najlepiej zaadaptowały się do naszej cywilizacji i coraz bardziej zurbanizowanych krajobrazów. Z powodzeniem skolonizowały nawet tak duże miasta jak Londyn czy Berlin. Mieszkają też m.in. w warszawskich Łazienkach. (...)

Najstarszy znany nam dziki puszczyk przeżył 18 lat i 7 miesięcy. Jego ziomek w niewoli doczekał się 27 wiosen. Średnia przeżywalność ptaków dorosłych wynosi 76,8% w skali roku – mniej więcej tyle, ile wynosi śmiertelność młodzięży, liczona od momentu opuszczenia gniazda do pierwszych urodzin. Najczęstszą przyczyną śmierci ptaków dorosłych są tzw. czynniki ludzkie.

Wiele sów jest bardzo rozmownych w czasie zbliżenia. Para kocha się często. Do tego długie godziny przytulania.

mądrzej byłoby siedzieć cicho i trochę odczekać. Tym bardziej że jesień to czas wzmożonej aktywności terytorialnych samców, które zaczynają przypominać sąsiadom o swoim istnieniu i obowiązujących granicach. Bez względu na to, jak daleko młode puszczyki leca, wszystkie poszukują dwóch najważniejszych w ich życiu rzeczy: własnego, możliwie zasobnego terytorium oraz drugiej połowy, z którą, jeśli los pozwoli, spędzą resztę życia. Raz tylko obserwowano samca, który miał dwie partnerki z gniazdami oddalonymi od siebie o 50 m.

noclegowiska, zyskując nad nimi całkowitą przewagę. Obserwowano nawet polowania w parach – jeden ptak płoszył, a drugi łapał. Puszczyki kopią w ziemi lub próchnie, żeby dostać się do soczystych chrząszczy i ich larw, albo czekają w bezruchu na dżdżownice szykujące się do wyjścia na powierzchnię. Kamery CCTV przyłapały je nawet na wyjadaniu ryb z ogrodowych sadzawek. Nie speszyły ich nawet stojące obok borsuki – wiedziały, że są z plastiku. W naszej części Europy drobne ssaki, przede wszystkim norniki, nornice, myszy i ryjówki, wypełniają 62,5% ich die-

Fragmenty książki
Jacka Karczewskiego
Noc sów. Opowieści z lasu,
Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2020



KASYNO ZAWSZE WYGRYWA

Człowiek,
który przychodzi
do kasyna, ma się
czuć królem świata.
Niezależnie od tego,
czy gra za 100 zł,
czy za 100 tys.



Rozmawia Beata Biały

Ile lat pracowałaś w kasynie?

– 11. Najpierw byłam krupierką, a potem menedżerem kasyna. Menedżer nadzoruje pracę całego kasyna, w tym również krupierów.

Co robi krupier?

– Ma zachęcać ludzi do zasiadania przy stołach, pilnować właściwego obstawiania pól i wypłacania obstawionych numerów. Zadaniem krupierów i menedżerów jest stworzenie niesamowitej atmosfery, żeby człowiek, który przychodzi do kasyna, czuł się królem świata. Niezależnie od tego, czy gra za 100 zł, czy za 100 tys. Ma mieć poczucie, że w tym momencie przy tym stole jest najważniejszą, a może nawet jedyną osobą. Tylko wtedy będzie chciał tracić pieniądze. Musi mieć też poczucie, że kasyno jest jedynym na świecie, najwspanialszym miejscem. Byliśmy specjalnie szkoleni w zakresie obsługi klienta.

Urządzone jest również tak, by stracić poczucie czasu?

– Już sam wystrój jest do tego przystosowany. Przede wszystkim kasyna zbudowane są jak labirynty,

IWONA RADOŃ

– była krupierką,
która pracowała
w amerykańskich kasynach

co ma na celu jak najdłużej zatrzymać graczy w środku. Nie ma okien ani zegarów, które by przypominały o realnym świecie. Niczego, co odrywałoby uwagę gracza od zielonego sukna stołu. Zwariowane wzory układziny podłogowej mają tworzyć atmosferę szczęścia i bez troski.

W centrum kasyna zawsze stawia się stoły, które dają najwięcej wygranych, czyli wszystkie gry progresywne, gdzie stawiasz niewiele, ale często wygrywasz niewielkie kwoty. Przy tych stołach jest zawsze najweselsza atmosfera, dużo śmiechów, żartów, widać, że ludzie są szczęśliwi. (...)

Gdybyś w kasynie zamknęła oczy, to jak byś się czuła?

– Pierwsze, co słyszę, to bezustanne klikanie żetonów. (...) Słyszę dźwięk obracającego się koła ruletki i czuję kłęby papierosowego dymu i zapach rozlanego alkoholu, który już wysycha. Gracze nie uważają na szklanki i kieliszki, alkohol często

rozlewa się na stół, na podłogę. Jego zapach miesza się z zapachem papierosowego dymu – to niepowtarzalna i niezapomniana mieszanka. Myślę, że 20% stałych bywalców przychodzi systematycznie, bo potrzebuje być w tym środowisku, być z ludźmi, których zna, wygrać się w tej atmosferze blichtru i luksusu. Kiedy pracowałam w kasynie, większość stałych bywalców znałam z imienia i nazwiska. Opowiadali mi historie swojego życia, wiedziałam doskonale, co robią, gdzie mieszkają, ile mają dzieci, do jakiej szkoły chodzą. To byli ludzie, którzy po prostu potrzebowali poczuć się dowartościowani. Kiedy gracz przegrywał, towarzyszyłam mu, żeby stworzyć wrażenie, że jesteśmy przyjaznym miejscem, i żeby – mimo przegranej – nadal chciał z nami być.

Co trzeba zrobić, żeby zostać krupierem?

– W Stanach trzeba skończyć specjalne kursy. Najczęściej zaczyna się od jednej gry, w której stajesz się specjalistą. Potem uczysz się kolejnych. Im więcej gier znasz w kasynie, tym bardziej jesteś kasynu potrzebna, bo można cię wrzucić na każdy stół. Ja potrafię grać we wszystko, ale najczęściej pracowałam przy grze

w kości, czyli *craps*. Umiem też grać w pokera i bakarata – to gra, w którą grają głównie Azjaci.

Krupier musi być uczciwy? Czy przed zatrudnieniem jest prowadzona szczególna selekcja, wywiad środowiskowy albo musi pokazać referencje?

– Żeby zostać krupierem w Stanach, każdy kandydat przechodzi szczegółową weryfikację: sprawdzana jest historia kredytowa, niekoralność, to, czy nie jest bankrutem. Dopiero gdy wszystko jest jak należy, może dostać licencję, która pozwoli go zatrudnić. Potem opieramy się na zaufaniu. Działa ta sama zasada, którą stosuje się przy wychowywaniu dzieci: masz prawo robić wszystko i ufam ci do momentu, aż nie zawiedziesz. W momencie kiedy zawalisz, będziesz bardziej obserwowany. Krupierzy muszą natomiast zdać egzamin „matematyczny”, czyli z liczenia. Kiedyś przez pół roku uczyłam krupierów gier. W zależności od tego, jak napisali egzamin matematyczny, dopasowywaliśmy ich do gier. Oczywiście ludzie, którzy napisali najlepiej, mieli znacznie większy potencjał, żeby zrozumieć i świetnie sobie poradzić przy grze w kości. Osoby, które miały średnie zdolności matematyczne, szły na ruletkę. A ludzie, którzy napisali gorzej niż reszta, szli na blackjacka, bo to gra, której najszybciej można się nauczyć.

Kto przychodzi do kasyna?

– 80% to ludzie, którzy coś celebrytują – wieczory kawalerskie, panieńskie, urodziny. Chcą po prostu raz w życiu pójść do kasyna i dobrze się bawić. 20% to stali bywalcy, którzy uważają, że uda im się odzyskać pieniądze, które do tej pory stracili.

Są to głównie ludzie bogaci, których na to stać?

– 80% stanowią ludzie, których nie stać na to, by jednej nocy stracić 2 tys. zł, bo to ich miesięczne opłaty za dom, szkołę, przedszkole, życie. Chcą się raz w życiu zabawić. Większość nie wpada w nałóg. Przychodzą, tracą 100 czy 1000 zł i więcej ich nie spotykam. Są też ludzie, których stać na taką rozrywkę. Również nie są nałogowcami, po prostu od czasu do czasu lubią zabawić się przy ruletce lub pokerze. Wychodzą z założenia, że każda zabawa kosztuje – czy jest to wyjście do kina, czy zagraniczna wycieczka, czy wieczór w kasynie.

W kasynie częściej przesiadują mężczyźni czy to tylko stereotyp?

– To zależy od gry. Mężczyźni zazwyczaj grają w kości i pokera. Najczęściej to oni zajmują miejsca przy stołach, gdzie gra się na wysokie stawki, jak choćby w blackjacku. Kobiety wybierają raczej maszyny i gry za małe pieniądze. Unikają dużego ryzyka. Decydują się też na gry lżejsze i łatwiejsze do zrozumienia – po prostu przyjemniejsze. Na przykład przy stole do gry w kości zawsze bardzo dużo się dzieje, jest czterech krupierów i dwóch kierowników nadzorujących krupierów, którzy non stop robią rotację. Ten stół jest podzielony na połowy, przy każdej połowie, obsługiwanej przez jednego krupiera, siedzi aż ośmiu graczy. Jest to bardzo szybka gra, która w krótkim czasie może przynieść duży zysk, ale też w której bardzo szybko można wszystko stracić. I przy tym stole naprawdę rzadko widuję kobiety, mimo że do kasyna przychodzą również panie z wyższym wykształceniem, najczęściej inżynierskim. Zwykle są koło czterdziestki. Choć pamiętam starszą panią, która przychodziła codziennie, niezamożną. Była chyba samotna, bo wciąż opowiadała o swoich psach. Kupowała żetony za 50 zł, a jeśli je przegrała, szła do domu. Taki miała limit. (...)

80% gości stanowią ludzie, których nie stać na to, by jednej nocy stracić 2 tys. zł, bo to ich miesięczne opłaty za dom, szkołę, przedszkole, życie.

Jaki największy dramat rozegrał się na twoich oczach?

– Pamiętam młodego chłopaka, studenta trzeciego roku prywatnej uczelni, który przyjechał do kasyna, żeby zobaczyć wielki świat. Miał przy sobie 30 tys. na czesne, mieszkanie i życie. Z przykrością obserwowałam, jak coraz więcej mu z tej puli ubywa. Mam dzieci w tym wieku, więc patrzyłam na niego nie jak krupierka, ale jak matka. I nic nie mogłam zrobić. Nie miałam prawa powiedzieć: „Chłopaku, zmykaj, przegrasz wszystko”. Do dziś mam przed oczami obraz, gdy klęczał i błagał nas, żebyśmy oddali mu pieniądze. Nie wiem, co się z nim stało. Ochrona wyprowadziła go z kasyna. Byłam świadkiem gigantycznych przegranych, ale to był zdecydowanie największy

dramat, jaki widziałam. Z kolei w kasynie pod Chicago jeden z najbardziej znanych graczy koszykówki regularnie przegrywał setki tysięcy dolarów. O jego wizycie wiedzieliśmy zwykle dwie godziny wcześniej, bo musieliśmy zarezerwować mu stolik. Przychodziły też grupy bogatych biznesmenów, zostawiających w kasynie setki tysięcy dolarów. Mieli pieniądze, więc te przegrane nie były życiowymi dramataми – po prostu dobrze się bawili i doskonale znali swoje granice. Przychodziły też znudzone żony milionerów, które w kasynie czuły się jak dziewczyny Bonda. Pamiętam też graczy, którzy byli u nas dzień w dzień. Spotykałam ich po 10 latach w tym samym kasynie jako życiowych bankrutów. Stracili wszystko, dom, samochód, firmę, rodzinę. Już nie grali, bo nie mieli za co, przychodzili tylko nasycić się atmosferą. Patrząc na nich, uświadamiasz sobie, jak straszną chorobą jest uzależnienie od hazardu, jak ona totalnie niszczy.

Kto może wejść do kasyna? Jest jakiś limit wieku?

– W Polsce każdy, kto ma ukończone 18 lat. W Stanach, gdzie przez kilka lat pracowałam – 21. Nie wpuszcza się osób, które są na liście. Kto może się na niej znaleźć? Gracz, który

zgłosi, że ma problem z hazardem i potrzebuje pomocy. W kasynie są zresztą umieszczone tabliczki informujące o tym, że jeżeli potrzebujesz pomocy, powinieneś zadzwonić pod bezpłatny numer, pod którym ją uzyskasz. Ochrona kasyna ma zdjęcia osób, które nie mogą wejść.

Co jeszcze może być powodem wydania takiego zakazu? Żona może powiedzieć: „Proszę nie wpuszczać tu mojego męża”?

– Niestety nie. Żona nawet nie jest w stanie wyciągnąć grającego męża z kasyna, jeśli on sam nie chce wyjść. Byłam świadkiem sytuacji, kiedy wypraszano panią, która przyszła po małżonka i „zakłócała spokój”. Zakaz wstępu stosuje się też wobec graczy, którzy zostali przyłapani na oszustwie, choćby na liczeniu kart.

Dlaczego nie można liczyć kart?

– Bo kasyno jest miejscem, gdzie masz się dobrze bawić. Idziesz tam dla rozrywki, a nie po pieniądze. Liczenie zwiększa szansę na wygraną, ale też odbiera beztroskę z gry. Nie możesz iść do kasyna i próbować z kasynem wygrać, używając swoich umiejętności, np. matematycznych. Ja umiem liczyć karty, przeszłam w tym celu specjalne szkolenie. I rozpoznaję gracza, który liczy. Co pewien czas przechodziłam nawet specjalny test liczenia z komputerem,

kiedy gracz zaczyna przegrywać. Staje się coraz bardziej agresywny, nadzieja w oczach przechodzi we wściekłość i obłąd, rzuca żetonami w krupiera, obraża jego, kelnerkę i pozostałych graczy. Czasem trzeba wezwać ochronę, która go wyprowadzi. Ale wielu przegranych odchodzi od stołu cichutko, w poczuciu porażki. Zupełnie inaczej wygląda i zachowuje się gracz, któremu dopisało szczęście. Ma rozszerzone źrenice, tryska energią, żartuje, opowiada historie ze swe go życia, daje dobre napiwki.

Mężczyźni zazwyczaj grają w kości i pokera.**Kobiety wybierają raczej maszyny i gry za małe pieniądze.**

żeby sprawdzić, czy nie wypadłam z formy. Zdarzało się, że gracz wygrywał nieproporcjonalnie dużo, i wtedy proszono mnie, bym przyjrzała się jego grze.

Po czym poznajesz, że gracz liczy?

– Kiedy obstawia tak, jak ja bym to zrobiła. Gdy np. niespodziewanie podwaja zakład – dla mnie to informacja, że wie, iż następna karta będzie wysoka, czyli razem ze mną liczy karty. Raz może się to zdarzyć każdemu, ale kiedy sytuacja się powtarza, to nie przypadek. Taki gracz jest wypraszany z kasyna. Nawet gdyby poszedł z tym do sądu, nie jest w stanie wygrać, bo wszystko zarejestrowane jest na kamerach. A nagranie jest dowodem na to, że nie przyszedł do kasyna dobrze się bawić, tylko wygrać. Nie sądzę, by ktoś skarżył kasyno o to, że nie pozwoliło mu liczyć kart, w każdym razie ja o takich sprawach nie słyszałam.

Taki zakaz dotyczy tylko jednego kasyna?

– Jeżeli ktoś został przyłapany i udowodniono mu, że liczył karty, automatycznie ta informacja, wraz ze zdjęciem, idzie do wszystkich kasyn. Czasem, gdy widzę, że gracz liczy, staram się przerwać jego tok myślenia. Pytam, skąd przyjechał, jak długo mieszka w tej okolicy, co robi w życiu, czy to jego pierwszy raz w kasynie, jakie gry lubi najbardziej. Pytam o wszystko, byle gracz nie był w stanie liczyć. (...)

Obserwowałaś, jak gracze zmieniają się podczas gry?

– To bardzo ciekawe doświadczenie. Zaczęłam od sytuacji najtrudniejszej,

Ale najciekawszy jest gracz, który chce się odegrać i wyciąga kolejne pieniądze. Obłąd w oczach, zacie trzewienie w gestach. Lubiałam obserwować graczy przy ruletce. Oni nie patrzą w oczy. W momencie kiedy krupier wprawia koło w ruch, ich wzrok jest skupiony na kulce i podąża tylko za nią. Nawet gdybyś bardzo chciała nawiązać z nimi kontakt wzrokowy, nie masz szans. Na ich twarzach widać podniecenie, które trwa do momentu, aż kulka spadnie na właściwe pole. Każdy z graczy ma nadzieję, że właśnie na jego. Czasem trwa to trzy sekundy, a czasem kilkadziesiąt i wtedy napięcie rośnie.

Kasyno jest miejscem, gdzie masz się dobrze bawić. Idziesz tam dla rozrywki, a nie po pieniądze.

Bo są krupierzy, którym kulka spada po trzech obrotach ruletki, ale są też tacy, którzy potrafią zakręcić mocniej i koło kręci się, kręci, kręci... A im dłużej się kręci, tym więcej zakładów można postawić. Krupier zamyka możliwość obstawiania, gdy widzi, że kulka zwalnia i ma jeszcze najwyżej dwa obroty. „No more bets”, mówi wtedy, czyli koniec zakładów.

Udzielili ci się kiedyś emocje graczy?

– Nie. Jestem to bardzo skupiona na pracy. Musiałam obserwować, jak krupierzy wypłacają, upewnić się, że wszystkie obstawienia są na właściwym miejscu, że masz odpowiednią ilość pieniędzy w „banku”, żeby dane wypłaty wypłacić. Po prostu praca. (...)

Nie możesz powiedzieć: „Pan już swoje przegrał. Proszę iść do domu”?

– Nie mogę tego zrobić. Jestem po to, żeby graczy zatrzymać w kasynie jak najdłużej, a nie wypędzać (śmiech). (...)

Nie miałaś wyrzutów sumienia, bo gość przegrał wszystko?

– Nie miałam i powiem ci dlaczego. To jest po prostu choroba, której nie można kontrolować. Jeśli on uważa, że zamiast siedzieć w domu z rodziną, woli przegrywać w kasynie, to czy ja mogę to zmienić? Tylko raz przegrana gracza poruszyła mnie do głębi – to historia tego studenta. Wtedy poczułam się jak szmata.

Krupier to niebezpieczny zawód?

– Nie. W kasynie jest ochrona. Choć koledzy opowiadali o sytuacjach, kiedy przegrany spotkał ich w restauracji i powiedział: „O, to jest ten, który zabrał moją kasę”. Krupier musi być jednak dyskretny. Nawet gdy spotyka stałych graczy, nie może pokazać, że ich zna, i powiedzieć: „O, witam pana, panie Kwiatkowski”. Gra w kasynie jest anonimowa. (...)

Wchodzi gość do kasyna, widzisz go po raz pierwszy, po czym poznasz, że jest uzależniony?

– Nie zdarzyło mi się pomylić. Rozpoznaję już od progu. Jeszcze zanim usiądzie do stołu, wiem, że nie jest tu pierwszy raz i ma kłopoty z hazardem. Nerwowo chodzi to w jedną, to w drugą stronę, rozgląda się,

jakby szukał dobrego miejsca, jego oczy są rozbiegane, a ruchy nerwowe. Ludzie, którzy przychodzą się bawić, wchodzi do sali, siadają przy pierwszym lepszym krupierze, zaczynają z nim rozmawiać, śmiać się. Po uzależnionych widzisz, że czegoś szukają, mają jakiś niedosyt.

Czego kasyno cię nauczyło?

– Cierpliwości. I tego, że w życiu nie ma nic za darmo. I że kasyno zawsze wygrywa.

Rozmowa z książką
Beaty Białej
Hazardziści. Gra o życie,
W.A.B., Warszawa 2021



Nowe idzie, stare jedzie

Taki był podpis pod rysunkowym żartem Szymona Kobylińskiego w czasie karnawału Solidarności. Obok protestującego tłumu jechał rozparty wygodnie w polonezie przedstawiciel bytch. Skojarzenie z tym rysunkiem miał niejedyn pracownik MSZ we wtorek w ubiegłym tygodniu. Wprawdzie dyrektor generalny Andrzej Papierz został odwołany, ale wielu widzi go na stanowisku szefa służby zagranicznej, gdy nowelizacja ustawy o służbie zagranicznej wejdzie w życie. A jeśli nie zostanie szefem SZ, to pojedzie jako ambasador do Ankar i będzie urzędował w pięknej ambasadzie, w centrum miasta, przy głównej ulicy, pośrodku wielkiego parku z basenem i kortem tenisowym. Warto wspomnieć, że teren Polska dostała za darmo w drugiej połowie lat 20. ubiegłego wieku, będąc jednym z pierwszych państw, które zgodziły się przenieść swoje ambasady ze Stambułu do Ankar. Architektonicznie ambasada w Ankarze jest małym Belwederem.

Nowym dyrektorem generalnym został Maciej Karasiński. Dotychczas pracował w stałym przedstawicielstwie przy UE w Brukseli. Jego CV jest klasyczne dla urzędnika MSZ. Pracuje od 20 lat, zaczynał po zaliczeniu aplikacji, potem powoli awansował, w Brukseli był I radcą. Za czasów ministra Mellera był asystentem sekretarza stanu Barbary Tuge-Erecińskiej. Specjalizuje się w problemach polityki bezpieczeństwa.

A jakie były jego pierwsze kroki na nowym stanowisku? Zaczął od Biura Spraw Osobowych, czyli od kadr. Kariery Moniki Sobczak (dyrektorki BSO) i jej zastępcy Michała Sarnickiego nie mają nic wspólnego z zasadami awansów w MSZ, czyli z drogą zawodową, którą prze-

szedł Karasiński. Pani jeszcze kilka miesięcy temu była radną PiS w Warszawie, pan aplikację odbył dwa lata temu, a teraz jest już I sekretarzem, czyli wyprzedził koleżanki i kolegów z aplikacji o ładnych kilka lat. Zgadnij, kotku, jak pisał Stefan Kisielewski, kto stał za tymi błyskawicznymi karierami? Pan Sarnicki tłumaczył kolegom swoje błyskawiczne awanse tym, że przypadkiem przechodził z tragarzami korytarzem na pierwszym piętrze, obok gabinetu dyrektora generalnego. Został wciągnięty do sekretariatu i tak już poszło. Ale ten duet krzywdy na razie nie ma: pani Sobczak została zastępcą dyrektora w BSO, a Michał Sarnicki pozostał na stanowisku.

Ich nowym szefem, czyli nowym dyrektorem BSO, został Radosław Peterman, historyk IPN, dyrektor kadr w MON za czasów Antoniego Macierewicza. Ma mieć pięciu (!) zastępców. I nie będą to osoby znające ministerstwo czy pracę na placówkach. W drugim dniu urzędowania nowy dyrektor generalny zwolnił też dyrektorów swojego biura i biura ministra, ludzi Andrzeja Papierza.

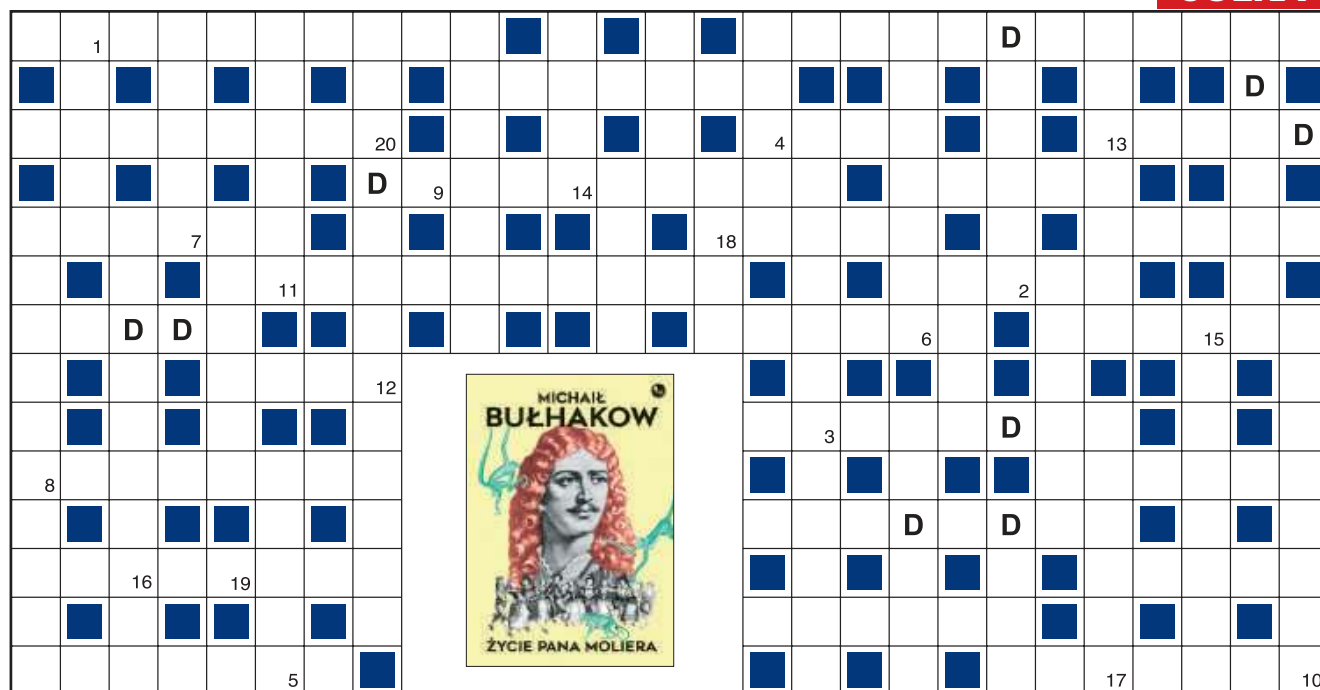
Niby rzecz oczywista, ale powiało strachem. I ci od Papierza, którzy pozostali jeszcze na stanowiskach, modlą się, by promotor ich karier został jednak szefem służby zagranicznej, a nie głównym lokatorem przy Atatürk Bulvaru 241 w Ankarze.

W latach 60. i 70. w MSZ prym wiodli gwardziści, czyli służby cywilne, potem aż do połowy drugiej dekady XXI w. wiodącymi byli legionieści, czyli służby wojskowe. Pierwsze sześć lat odzyskanego przez PiS MSZ to znowu cywilni. I oto proszę – nadchodzi rewanż, wojsko bierze wszystko!

Attaché



Śmierć księcia Filipa zasmuciła ludzi na całym świecie, nawet w odległym Vanuatu na Pacyfiku. Nz. Albi, wódz wioski Yakel, i członkowie jego rodziny, 12 kwietnia 2021 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- „...Odessy” Forsytha
- marzy o dużej gaży
- doskonały szybownik wśród ptaków morskich
- rozpatrywanie problemu z różnych stron
- inspirator lub lalkarz w teatrze
- „...Charliego”
- pomnikowy dąb w Świętokrzyskiem
- ogromna przestrzeń, dal

- zawodnik zjeżdżający po torze lodowym
- „Maly...” Bertolucciego
- zawód św. Józefa
- wielkie chłopisko, opryszek w dodatku
- mocno wyróżł i niezgrabny
- elegancik, o nienaganych manierach
- przyrząd do kreślenia w kształcie trójkąta

- na garnkach z Olkusza
- pierwsze z prawdziwych imion Orwella
- używany do zaprawiania octów ziołowych i musztardy
- odcinki wyścigu kolarskiego
- naszywka ze srebrnej lub złotej taśmy na mundurze
- wsparta na filarach przybudówka przed wejściem
- to szerzy, w co wierzy
- zawiłanie akcji w utworze literackim
- ubiega się o stanowisko, członkostwo

- blagier
- przyczyna śmierci Attyle w noc poślubną
- kędziorki
- młode króla zwierząt
- miasto rodzinne Picassa i Banderasa
- „Kosmiczny...” łączący animację z grą aktorów
- rdzenny... Australii to Aborygen
- bagno, trzęsawisko
- nieosiągalność lub wyniosłość, hardość
- krąg, granice lub łąka w zakolach rzeki
- ciut mniej liczny niż nonet
- wieloskrzydłowy to poliptyk
- błąd, np. w wylczeniach
- szczelne owijanie dla ochrony przed zimnem

- oficjalna wypowiedź przedstawiająca czyjeś stanowisko
- ostatni przystanek autobusu, tramwaju
- uciecha lub dzielnica Warszawy
- panie w wydawnictwie
- mebel w bibliotece
- kupowane na pchlim targu
- elegancik, goguś
- liczy się zwycięstwo, on jest mniej ważny
- narodowość autora trylogii „Millennium”
- wschód, zaranie
- część cyklu pracy silnika tłokowego
- karty, co przyszłość wyjawia
- kotara, a w szermierce parada
- gra podwórkowa z użyciem piłki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1009”. Do rozlosowania książki „Życie pana Moliera” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 kwietnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1006” z nr. 14: *Szczęście przychodzi zniecka.*
Nagrody otrzymują: Bernadeta Bróż z Łącuta, Justyna Chowaniec z Nowego Targu, Paweł Stankiewicz ze Zgorzeleca.

PENETRACJE

charaktery

**PROF. TOMASZ
MARUSZEWSKI,
PSYCHOLOG**

Ludzie w życiu robią różne rzeczy, czasami chwalebne, czasami mniej chwalebne. Nikt nie może powiedzieć, że jego przeszłość to pasmo sukcesów i uczciwych wyborów. Życie każdego człowieka ma jasne i ciemne strony. Święci zdarzają się niezwykle rzadko, a i oni do pewnego momentu nie byli postaciami kryształowo czystymi. Jednak wielu uważa, że nigdy nie popełniło żadnej nieprawości ani tym bardziej świństwa. Ta tendencja do mitologizowania własnej przeszłości jest tym bardziej intrygująca, że towarzyszy jej tendencja do demitologizacji przeszłości innych. Występuje ona u wszystkich.

VIVA!

**AGNIESZKA CEGIELSKA,
DZIENNIKARKA**

Gdy moja babcia Stefania w sobotę piekła chleb, to on w piątek jeszcze był dobry, a jak zostawały dwie kromki, wrzucała je do jajka, na patelnię, w jej domu nie zmarnowały się nawet okruszki. W życiu nie wyrzucił jedzenia. Kupuję tylko to, co jest mi potrzebne. W sklepach półki uginają się od żywności, ale w ogromnej części napompowanej chemią. Znaleźliśmy się w sytuacji naszych przodków: oni polowali na jedzenie, a my musimy polować na zdrowe jedzenie. Jesteśmy tym, co jemy, pijemy, jak myślimy, jakimi ludźmi się otaczamy, czym oddychamy. Według me-

dycyny chińskiej ojcem większości chorób jest stres, a matką zła dieta.

**TYGODNIK
ANGORA**

**HUBERT HURKACZ,
TENISISTA**

Po turnieju w Miami nie wróciłem do rodzinnego Wrocławia, tylko od razu przyleciałem do Monte Carlo, by przygotować się do ważnego turnieju na kortach ziemnych. Lubię Monte Carlo, to supermiejsce na świecie, od niedawna mam tutaj mieszkanie, jestem rezydentem. Są znakomite warunki do przygotowań, obok mieszka wielu tenisistów, świetnie się trenuje, przez cały rok można grać na powietrzu. Nadal cieszę się wygraną w Miami, choć żartuję, że jeszcze nie umiem całować trofeów i muszę nad tym popracować.

**Tygiel
STYL**

**AGNIESZKA
WIĘDŁOCHA,
AKTORKA**

Na scenie nie można się ukryć. Skromność na bok. Trzeba wyjść i przycisnąć widza. Oddzielenie osobistej nieśmiałości od osobowości scenicznej było kluczowe. Bez tego umarłabym ze strachu i tremy. Teraz każde wyjście przed publiczność jest podniecające. Zdarza się i tak, że gdy kobieta odnosi sukces, wciąga za sobą drabinę i nie pomaga innym. Lojalność jest ważna zwłaszcza tam, gdzie trudno się nam przebić. I gdzie wciąż panuje nierówność. A jest jej sporo.



Pływaczki synchroniczne z grupy Aquabatix znów mogą trenować dzięki ponownemu otwarciu basenów. Clissold Leisure Centre, Londyn, 12 kwietnia 2021 r.

FOT. JOHN SIBLEY/REUTERS/FORUM

Aby język giętki...

LECH WAŁĘSA

O BRACIACH KACZYŃSKICH

Mówiłem o Kaczyńskich: jeden drugiego zabije, i to zrobił. A drugi – albo wariatkowo, albo samobójstwo.

ALEKSANDER HALL

O PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ

Zaczął się wyraźny zmierzch PO, w znacznej mierze na własne życzenie.

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI

O PSYCHICE LUDZI

Staliśmy się niezwykle silni psychicznie, pod tym względem jesteśmy najsilniejszym gatunkiem na ziemi.

ANDRZEJ CHYRA

O ALTERNATYWNYCH ŚWIATACH

W Polsce każdy mówi innym językiem i co innego rozumie z rzeczywistości.

JOANNA SZCZEPKOWSKA

O NIEPODPISANEJ UMOWIE

Dyrektor ze starszego pokolenia, z istotnego dużego teatru, był przy podpisywaniu umowy o 10 rano kompletnie pijany.

DOROTA WELLMAN

O MARCINIE PROKOPIE

Na początku nie lubiłam go za całokształt. Taki kogut był, wszystkie panie były jego. Taki erotoman gawędziarz.

MAJA OSTASZEWSKA

O LEKCJACH RELIGII

Byłam jedynym dzieckiem w klasie, które nie chodziło, rówieśnicy wciąż mi dokuczali, straszili piekłem.

KRYSTYNA PROŃKO O PIENIĄDZACH

Ja w dużej mierze śpiewam dla pieniędzy. Tym lepiej, bo śpiewanie to moja pasja.

MICHAŁ ŻURAWSKI O DZIADKU

Jak któryś z synów dostał od kolegi w łeb, szedł do domu chłopaka i dawał w łeb ojcu rodziny. „Syn ci wytłumaczy za co”.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA O OJCU

Nauczył mnie szyć, robić na drutach. Prawdziwy mężczyzna nie boi się delikatności.

TOMASZ ORGANIEK O PLANACH

Skoro nie da się dogodzić wszystkim, trzeba spróbować chociaż sobie.

By wirus nie zszedł na psy

W Rosji zarejestrowano szczepionkę przeciw COVID-19 dla zwierząt futerkowych, psów i kotów. Jak podkreśla Federalna Służba Nadzoru Weterynaryjnego i Fitosanitarne- go, CarniVacCov to jedyny na świecie preparat profilaktyczny przeciwko światowej chorobie przeznaczony dla naszych braci mniejszych. U zaszczepionych osobników pojawiły się przeciwciała i teraz trwa ocena, jak długo utrzyma się nabyta odporność. Z wielką niecierpliwością (sz)czekamy na wieści!

Myszką jak pałką

Studio Corpix Games z Bytomia pracuje nad symulatorem pacyfikowania tłumów. – Praktycznie każdy dzień przynosi informacje o protestach wybuchających w różnych częściach świata. Czasem są to ruchy spontaniczne, ale czasem biorą w nich udział zorganizowane i przeszkolone jednostki. W każdym jednak przypadku jest to duże wyzwanie dla policji i innych służb państwowych, co zamierzamy realistycznie ukazać w tej grze – wyjaśnił Tomasz Supeł, prezes Games Box SA, jednego z wydawców tytułu. Produkcja ma oferować m.in. szeroki wybór miast, w których będzie rozgrywała się akcja, bogatą listę sprzętu oraz możliwość dokonywania wyborów moralnych. Tam, gdzie stało ZOMO, posiadacze komputerów PC będą mogli postać prawdopodobnie w 2022 r.

Jednomilionowe buty

Raz założone buty sportowe rapera Kanye’ego Westa zostaną sprzedane za co najmniej milion dolarów, szacują eksperci. Mowa jednak nie o byle sneakersach, lecz prototypie słynnego modelu Air Yeezy, stworzonego przez artystę we współpracy z Nike. – Ta para jest kluczowa w rozwo-



ju marki Yeezy, która obecnie jest jedną z najważniejszych w historii mody. Kanye przedstawił je na scenie w 2008 r. i oczarował fanatyków obuwia – zachwala Brahm Wachter, szef działu mody ulicznej i współczesnych gadżetów domu aukcyjnego Sotheby’s. Nawet fajne te trampki, tylko trzeba mieć odpowiednio wysoką stopę życiową.

Pokicałby jeszcze?

W angielskiej wsi Stoulton porwano najdłuższego królika na świecie. Mierzący niemal 130 cm długości Darius został uprowadzony z przydomowego ogródka. Właścicielka zwierzaka, Annette Edwards, zaoferowała 1000 funtów za pomoc w jego odnalezieniu. Zaapelowała ponadto do porwawczy o zwrot czempiona, podkreślając, że jest już zbyt stary na rozmnażanie. Ale będzie miała minę, jeśli się okaże, że to nie było uprowadzenie, tylko ucieczka do Ciechocinka...

Ciężarne w połowie odciążone

W Utah mężczyźni będą musieli pokrywać połowę kosztów ciąży, do których się przyczynili – zdecydował tamtejszy parlament. – Chcieliśmy pomóc ludziom i być rzeczywiście pro-life, a nie tylko przeciw aborcji – mówi Brady Brammer, deputowany do stanowego kongresu, który prezentował w nim projekt zmian w prawie. Nakazują one ojcu solidarny udział w wydatkach medycznych brzemiennej, takich jak dodatkowe ubezpieczenie zdrowotne. Takie Stany (błogosławione) to my rozumiemy!

MEMY BEZ ŚCIEMY





Majestatyczny taniec zwierząt. Żyrafy w Parku Narodowym Krugera w RPA utworzyły figurę tworzącą iluzję trójkątowego cudu natury. Piękne, dzikie konie z Camargue we Francji walczą, aby ustalić, kto jest dominującym samcem.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Iglińska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Władacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodorytzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Pileś? Nie jedz

18-letni Kalifornijczyk, którego ojciec zmarł w wyniku zadławienia podczas konkursu jedzenia na czas, pozwał jego organizatorów o zadośćuczynienie. Chłopak utrzymuje, że wskutek zaniedbań firmy Fresno Sports and Events jego rodzic wystartował w zawodach w jedzeniu taco, „posiadając ograniczoną wiedzę na temat ryzyka, na jakie się zgodził”. Prawnik młodzieńca zwraca uwagę, że dodatkowe zagrożenie dla uczestników stwarzała dostępność alkoholu. Przekładając to na konkrety: zabrakło tablicy ostrzegawczej „Jedzenie grozi śmiercią”.

Słodki Jezu...

Przy wejściu do kościoła św. Herberta w Wodzisławiu Śląskim pojawiła się miśka ze słodyczkami i kartka z napisem: „Policz się sam(a). Jedna krówka, jedno miejsce. Brak krówek, brak miejsc!”. W naczyniu przed każdym nabożeństwem ląduje 65 cukierków, bo tyle wynosi „epidemiczny” limit miejsc w świątyni. – Chciałem złagodzić napięcie, jakie panuje w ostatnim czasie – tłumaczy pomysłodawca krówkomatu ks. Jan Badura. Kapłan życzy wszystkim uśmiechu i nadziei oraz przypomina, że zdrowie jest najważniejsze. Amen!





Anubis dancing (Autumn)

Anubis

Joanna Karpowicz urodziła się w 1976 r., ukończyła studia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. „Papiery wartościowe (z Anubisem)” to już czwarta wystawa jej prac w galerii Artemis, w ubiegłym roku były to obrazy dedykowane Stanisławowi Lemowi. Artystka jest autorką kilku komiksów realizowanych w technice malarskiej, niedawno ukazał się jej artbook „Anubis. Thin Places”. „Nasz świat zmniejszył się ostatnio – mówi. – Tęsknimy za tym, co nieograniczone i poza naszym zasięgiem. »Papiery wartościowe« odzwierciedlają ten proces i uczucia, które nam wszystkim towarzyszą. Opowiadają o podróżach, miłości, smutku chwili, o samotności i nadziei. (...) Odbiorcy czują, że to są także ich historie. I to jest dla mnie najważniejsze”.

www.joannakarpowicz.pl
Galeria Artemis w Krakowie
 ul. Poselska 15

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Old God's All Inclusive



ATU 333



Diner

POMÓŻ NAM **POMAGAĆ**



KRS 0000225587

www.pck.pl

CANAL+ ORIGINAL

KRÓL

NA PODSTAWIE POWIEŚCI SZCZEPANA TWARDOCHA



BOX 4 DVD

**4 GODZINY
DODATKÓW**

**MATERIAŁY
SPECJALNE**

**DOKUMENTY
WYWIADY
i inne**

BOX 2 BLU-RAY

DODATKI

+

**BOOKLET
SERIALU**



PREMIERA 27 KWIETNIA



DEMOTYWATORY.PL

dla studenta.pl



empik